

ZESZYT STO TRZYNASTY

ZESZYTY
HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1995

ZESZYT STO TRZYNASTY

ZESZYTY HISTORYCZNE

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1995

BIBLIOTEKA «KULTURY»
TOM 490

ISSN 0406-0393
ISBN 2-7168-0158-4

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

Wojciech GROCHALA, Tomasz KĘDZIORA,
Michał KIELAK, Jacek KODYM, Marcin KULA,
Tadeusz MARKIEWICZ, Dionizy SMOLEŃ

MISSI DOMINICI NOWYCH CZASÓW

Wielokrotnie w dziejach centralna i centralizująca władza odczuwała potrzebę wysyłania w teren swoich ludzi. Posługiwał się nimi Karol Wielki (missi dominici), Rewolucja Francuska (reprezentanci w misji), także KC PZPR w okresie kształtowania nowego systemu politycznego w Polsce. Przy wszystkich oczywistych różnicach wymienionych sytuacji, wspólny był przynajmniej jeden ich element i wspólna przynajmniej jedna cecha wysłanników. Były to mianowicie okresy wielkich przemian instytucjonalnych, a wysłannicy mieli łączyć centralę z terenem przy pominięciu władz lokalnych.

Ponieważ wysłannicy z definicji musieli pozostawać w kontakcie z centralą, a w szczególności przekazywać jej informacje o terenie, nieraz pozostawiali sporo zapisanych świadectw. Ludzie delegowani przez Wydział Organizacyjny KC PZPR pisali nie tylko raporty, ale nawet dzienniki czynności. W ten materiał spróbowaliśmy wejrzeć w r.ak. 1993/94. Kilku uczestników mojego seminarium w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego przeprowadziło mianowicie sondę w odnośnych aktach, dotyczących miasta Warszawy (J. Kodym) oraz ówczesnych województw: olsztyńskiego (W. Grochala), pomorskiego (T. Kędziora), rzeszowskiego (M. Kielak), gdańskiego (T. Markie-

wicz) oraz krakowskiego (D. Smoleń). Sonda objęta lata 1949-1953, a więc okres niebanalny. Wcześniej miało miejsce zdobycie władzy; dopiero w wymienionych latach następowała Wielka Przemiana. Można ją nazwać Wielką Stalinizacją – aczkolwiek tworzone wówczas struktury przetrwały ich Wielkiego Autora i pozostały podstawowymi strukturami państwa aż do 1989 r.

Przemiana, o której mowa, następowała stopniowo, zaś lata te nie były oczywiście jednolite. Może powinno się je analizować przy przyjęciu chronologii za podstawową oś refleksji. Nas bardziej zajęły wszakże wybrane zagadnienia: jak system polityczny działał na co dzień, podejście ludzi do rzeczywistości oraz ich sposoby myślenia. W konsekwencji ucierpiał odzwierciedlenie ewolucji systemu oraz rozpatrywanych zjawisk w czasie. Nie byliśmy pierwszymi, którzy stwierdzili jak trudno jest połączyć w piśmiectwie historycznym analizę według chronologii z analizą problemową. Skądinąd zagadnienia, które nas zainteresowały, też mogły się różnie kształtować w różnych regionach kraju. My zrobiliśmy tylko sondę w aktach dotyczących niektórych województw.

Mimo takich zastrzeżeń nas samych owo z założenia niepełne badanie wciągnęło. Sądzymy, iż jest to dostateczny powód dla podzielenia się jego rezultatami z Czytelnikami.

Przerobione materiały są przechowywane w zespole PZPR w Archiwum Akt Nowych w Warszawie. Ponieważ wszystkie pochodzą z tego zbioru, zrezygnowaliśmy z pierwszej części ich sygnatury (237/VII) w odestaniach; ograniczyliśmy się do podawania numerów teczek i kart w nawiasach włączonych do tekstu. Fragmenty źródeł przytoczyliśmy bez poprawiania języka i pisowni. Występujące w materiale nazwiska zastąpiliśmy innymi.

W dyskusji nad wstępnymi referatami oraz nad niniejszym tekstem wzięli udział, oprócz autorów, pozostali uczestnicy seminarium. Serdecznie im za to dziękujemy.

Marcin KULA

Delegaci, wysyłani przez Wydział Organizacyjny KC PZPR, byli kadrowymi pracownikami centralnego aparatu partyjnego. Zgodnie z pragmatyką KC przysługiwał im tytuł „instruktorów”. Obok nich jeździła jednak także „w teren” druga kategoria ludzi: słuchacze szkół partyjnych. Oni również pisali raporty, częściej jednak dotyczące „obsługiwanych” przez siebie zebrań partyjnych na niskim szczeblu niż całości kształtu spraw w danym rejonie. Sprawia wrażenie, że ich działalność była bardziej (a przynajmniej także) praktycznym szkoleniem. Przygotowywane przez nich opinie są pokreślone przez czytelników jak klasówki; poprawki czerwonym atramentem naniesiono na rękopiśmienny tekst. Nb. nauka nie szła w las; z czasem takie „wypracowania” zaczęły być starannie pisane, szersze i bardziej analityczne.

Instruktorzy nie specjalizowali się w określonych działach zagadnień. Nie byli instruktorami w potocznym sensie tego słowa, tj. ludźmi uczącymi, czy doskonalącymi innych w określonych dziedzinach działalności. Jak PZPR działała na wszystkich polach, tak czynili i oni. Dziennik pracy instruktorki Heleny Hanysz z 1952 r. wskazuje, że np. raz w krótkim czasie uczestniczyła w posiedzeniu egzekutywy organizacji partyjnej w Tarnowie, w wyborach partyjnych w Miechowie oraz spotkaniu w Uniwersytecie Jagiellońskim (274, k. 147-149) – zaś innym razem przeprowadziła naradę z pełnomocnikiem jednego z Komitetów Powiatowych d/s akcji siewnej, omawiając przygotowanie do robót polnych (274, k. 157). Odnosi się wrażenie, że jej podstawowym zadaniem było czuwanie po prostu nad wszystkim i w tym zakresie była przygotowana.

Mało wiemy o instruktorach, ich pochodzeniu, drodze dojścia do PZPR, karierze. Sądząc z akt, wielokrotnie byli to ludzie prości (w tekstach występują rażące błędy ortograficzne!). Oddani partii, wykonywali swe zadania sumiennie. Czasami sprawia wprawdzie wrażenie, że w sprawozdaniach, może w celach egoistycznych, usiłowali wysunąć na pierwszy plan własną rolę – ale częściej pokazują się jako ludzie ciężko pracujący dla dobra sprawy. Jeden z nich w swym dzienniku odnotował, że nawet po położeniu się do łóżka wieczorem w hotelu czytał *Nowe Drogi*.

Wyrazem zarówno różnorodności zainteresowań instruktorów, jak ich sumiennego podchodzenia do sprawy może być dziennik pracy Stanisława Grzywacza – prawda, że instruktora wyjątkowo, jak się zdaje, pracowitego i oddanego. Jego kilkunastodniowa podróż inspekcyjna wiodła (1952) przez Elbląg, Gdańsk, Wejherowo i Suchowo. W Elblągu Grzywacz rozmawiał z sekretarzem PZPR Michalikiem, który opowiadał mu o problemach, na jakie napotykał w swej pracy: o niedoszłym strajku w Domu Młodego Robotnika, gdzie brakowało żywności na śniadania i kolacje; o buncie w szkole zawodowej na tym samym tle; o malwersacjach finansowych członków partii oraz faktach ich pobicia. Wysłuchał i odnotował Grzywacz zdania rozmówcy: „Dali mnie w takie bagno, z którego nie mogę wybrnąć” oraz „Elbląg to siedziba wszystkich szumowin” (274, k. 62-64).

W dalszej kolejności tow. Grzywacz wziął udział w konferencji, gdzie rozpatrywano problemy braku mieszkań, ich dewastacji oraz archaiczności wodociągów. Poza krytyką działań poprzedniej ekipy partyjnej, zaproponowano rozwiązanie doraźne: dokwaterowanie bezdomnych do willi zamieszkaanej przez dwie osoby.

Drugiego dnia Grzywacz udał się do Wejherowa. Tam lokalnym władzom zadał pytanie, jakie wyciągnęły wnioski z jego poprzedniej wizyty: „Pytałem towarzysza Lewina, co zrobiono w sprawie sekretarza K[omitetu] Z[akładowego] PGR w Królikowie, który jest notorycznym pijakiem, zaniedbuje pracę partyjną, co stwierdziliśmy podczas pobytu w lutym”. Z zadowoleniem usłyszał, że „Sekretarz KZ PGR tow. Grelik został zdjęty z zajmowanego stanowiska”, zaś „na sekretarza KZ został postawiony (!) jeden z najlepszych sekretarzy O[działowej] O[rganizacji] P[artyjnej]” (274, k. 66). Dalsza droga instruktora wiodła do spółdzielni produkcyjnej Suchowo w gminie Wierzchucino. Tu, wraz z lokalnymi notablami, odwiedził tow. Paszkowskiego, który, skrytykowany za niedokarmianie świń, zwrócił legitymację kandydacką PZPR. Przystępując do „walki o duszę” niefortunnego kandydata, pozwolił mu się wyzalić. Ten powiedział, że „stracił zaufanie do Partii”. Tłumaczył, że z szczęściem dzieci było mu ciężko; liczył na partię, ale się przeliczył:

„Wstąpiłem do spółdzielni produkcyjnej. Najstarszy syn jest w wojsku od jesieni. Mam dwie córki, które chcą się uczyć i chciałem je posłać na jaką (!) szkołę. Obiecano mi to zrobić. Przyjeżdżali z Komitetu Powiatowego, obiecywali, że pomogą i od tej pory nic nie zrobiono”.

W sprawie nieszczęsnych świń, zarzut, zdaniem obwinionego, nie był uzasadniony. Swego czasu – mówił Paszkowski, a instruktor w swoich zapiskach potwierdzał – „był taki okres, gdzie nie było czym karmić, ani ziemniaków, ani śruty”. „Zarząd – kontynuował Paszkowski – o to się nie troszczył, a wymagał. Z domu brałem ziemniaki i dawałem świniom swoje, a tego nikt nie widział, a krzycheć umieli. Dlatego zgniewałem się i oddałem legitymację”. Dodał jeszcze Paszkowski, że „gdyby udał się do Warszawy, to by mu załatwiono, [zaś] w powiecie nigdy” (274, k. 66-68). W konkluzji tej sprawy Grzywacz zwrócił uwagę Wydziałowi Organizacyjnemu gdańskiego Komitetu Wojewódzkiego na konieczność rozwiązania sprawy córek rolnika.

Podczas następnego, pracowitego dnia tow. Grzywacz ponownie trafił do Elbląga, gdzie wizytował Dom Małego Dziecka, a następnie odbył drugą rozmowę z sekretarzem Michalikiem. Ten skarżył mu się:

„Mamy jeszcze pracowników MO, [o] których nie wiemy kim są. Poprzedni sekretarz, tow. Kamiński często grał w pimponga (!) z szefem, który obecnie pracuje w W[ojewódzkim] U[rzędzie] B[ezpieczeństwa] P[ublicznego], a sprawy wychowania ludzi w ogóle ich nie obchodziły” (274, k. 70).

W kolejnych godzinach instruktor uczestniczył w zebraniu w Zakładzie Mechanicznym im. Świerczewskiego, skąd wyszedł niezadowolony:

„Zebranie nie zakończyło się żadnymi, realnymi wnioskami; w tej sprawie podałem parę uwag dyr. Leszkiewiczowi i sekretarzowi KZ tow. Kabczowi, którzy nie reagują na słuszne wnioski robotników” (274, k. 72).

Nowy dzień oznaczał dla Grzywacza wizytę w Komitecie

Zakładowym Stoczni Gdańskiej. Odnotował tam:

„Brak pracy polityczno-wychowawczej wśród członków Partii na stoczni (!), jak też bezpartyjnych, daje się mocno odczuć. Na rurowni (!) wyposażeniowej (!) ok[oło] 200 robotników, w tym i człon[kowie] Partii, jak Zaborowski, Nowak (...), w czasie pracy popijali wódkę, na którą robili składkę. Zamiast tą sprawą gruntownie się zająć, wyciągając wnioski po linii organizacyjnej w stosunku do człon[ków] Partii, tow. Groński kazał kierownikowi oddziału rurowni zwolnić z pracy ob. Gawłowskiego, ponieważ przyszedł do pracy pijany. Nikt przedtem z Gawłowskim nie rozmawiał. Była to robota zastraszania, a nie praca polityczno-wychowawcza. Z mającym być zwolnionym ob. Gawłowskim (...) przeprowadziłem rozmowę w obecności Grońskiego, którego trudno było przekonać o tym, że należy ludzi wychowywać, uświadamiać, a jeżeli to nie poskutkuje, wyciągnąć wnioski po stronie administracyjnej. Ob. Gawłowski stwierdził, że nie jest pijakiem. Na rurowni inni pili, robili składkę na wódkę w czasie pracy, to w tym brałem (!) udział. Wymienił przy tym szereg nazwisk, którzy tę procedurę (!) uprawiali (...). Z tego wynika, że przed człon[kami] Partii nie stawia się zadań, nie wnika się w ich życie, nie pracuje nad podniesieniem ich świadomości. Każda robota polityczna, organizacyjna, prowadzona przez organizację partyjną na Stoczni (!) jest powierzona” (274, s. 72-73).

Co dalej robił inspektor Grzywacz – nie wiemy. Najpewniej po jakimś czasie pojechał w kolejną, trudną podróż inspekcyjną. Gdy się dziś czyta zapis jego wyśiłeków oraz ma się na uwadze ich ostateczny bilans (bilans systemu), nasuwa się wszakże na myśl banalny, w oczywisty sposób przejawiony dowcip sprzed paru lat. W myśl tego dowcipu działacz partyjny po wyborach mówi do żony: „Tyle się trudziłem dla ludzi i patrz, oddano na mnie tylko dwa głosy!” Na to żona: „Co, masz jeszcze jakąś babę?!”



Instruktorzy byli najczęściej ludźmi wyrobionymi. Nie sprawiało im trudności wychycenie tego, co szwankowało.

Nie nabierali się łatwo na pozory. Jednocześnie byli kadrowymi pracownikami swego ruchu politycznego. Dzielili jego mentalność i magiczne w wielu sprawach myślenie. Przywiązywali np. zupełnie mistyczną wagę do zebrania partyjnego. Podobnie – do statystyk obecności na zebraniach, proporcji zabierających głos, czy np. do liczby nieobecnych usprawiedliwionych. Używali często specyficznego języka – *nb.* częściej po roku 1949 i częściej w wypadku szkolących się, niż w wypadku kadrowych pracowników (tym ostatnim „nowomowa” była potrzebna raczej gdy nie potrafili adekwatnie wypowiedzieć myśli, niżby rzeczywiście weszła im „w krew”).

Słowo „partia” instruktorzy pisali oczywiście z dużej litery. Mówili „został zdjęty”, „został postawiony”; także – „na rurowni”, „na fabryce”, „na odcinku pracy wśród kobiet”... Preferowali słowo „robota” (w miejsce „praca”). Lubili określenie „walka” („walka o plan”, „walka o podniesienie świadomości politycznej”). Posługiwali się terminem „bitwa klasowa” (np. w odniesieniu do skupu zboża). Nadużywali negatywnych przymiotników („bezczelna działalność”). Nadużywali nigdy bliżej nie sprecyzowanych słów „kułak”, „wróg”, „wroga działalność”, „czujność”, „czujność rewolucyjna”.

Wrogiem w oczach instruktorów stawał się ten, kto wygłaszał pogląd sprzeczny z „linią Partii” – nawet jeśli faktycznie ten ktoś prawdziwie wskazywał, że Związek Radziecki nie dostarczył części do maszyn na czas (243, k. 51: „trzeba zwrócić nań uwagę i rozpracować go, bo to chyba świadoma wroga robota”). „Wrogą robotę” uprawiał w ich przekonaniu rachmistrz spółdzielni, który prowadził źle rachunki, a miał pecha do spółdzielni nie należeć i, na dodatek, jego ojca znano z niechęci do niej (243, k. 63). „Wrogą robotę” prowadzili ci, którzy słuchali zagranicznego radia (245, k. 29: „Poważne miejsce w działalności wroga zajmowało słuchanie radia zagranicznego, próba gdzieniegdzie wykorzystania naszych świetlic wiejskich”). „Wrogą robotę” prowadzili ci, którzy nie wypełniali rubryki „wyznanie” w kwestionariuszach osobowych. Z kolei przejawem „czujności” było w oczach instruktorów wykrzycie „wrogich napisów w toalecie” oraz, w świetlicy zakładowej, „piłeczek pingpongowych produkcji angielskiej” (243, k. 4).

Mimo znaczącej obecności przytoczonego bełkotu, instruktorskie raporty nie dają się doń sprowadzić. Generalnie były one wręcz zaskakująco krytyczne – co widać choćby ze streszczonej wyżej opinii Stanisława Grzywacza. Zdarzają się w raportach nawet powtarzane za głosami na zebraniach partyjnych zdania w rodzaju: „Kiedy wieś potrzebuje chleba, przysła się pierniki” (230, k. 48); „Spółdzielnie dla wykonania planu finansowego zamiast towarów niezbędnych wypełniają plan sprzedaży wódki” (230, k. 93)...

Krytycyzm, o którym mowa, mógł wynikać z prawdziwie uważnego spojrzenia ludzi oddanych swemu ruchowi na niezadowolającą rzeczywistość. Mógł wynikać z ustawienia instruktorów w roli kontrolerów; w końcu kontroler jest zawsze zorientowany na dostrzeganie negatywów. Mógł wynikać z głębszej koncepcji ruchu: w myśl tej koncepcji klasa robotnicza była awangardą narodu, partia – awangardą klasy robotniczej, KC – awangardą partii. Nie dziwi więc, że instruktorzy KC podchodzili do „terenu”, a w tym również do lokalnych organizacji partyjnych, z pozycji „awangardy”. „Teren” traktowali trochę jak ugór do zaorania (warto pamiętać, że w tym ujęciu „terenem” była także Warszawa i jej organizacja partyjna wraz ze swoim Komitetem).

Krytycyzm mógł wynikać jednakowoż ze specyficznego, parareligijnego sposobu myślenia funkcjonariuszy partyjnych o komunizmie: jest on wprawdzie doskonały, ale grzeszni ludzie tylko w jakimś stopniu mogą się zbliżyć do doskonałości; w konsekwencji nie wypada być całkowicie zadowolonym z konstrukcji, jaką zbudowali. W myśl lansowanego wówczas wzoru osobowego komunisty, członek partii nigdy nie powinien być całkowicie zadowolony z siebie – a tym samym z siebie podobnych. Jak on sam winien był partii samokrytykę, tak winien był jej również krytykę innych.

Krytycyzm mógł w końcu wynikać z powodów bardziej trywialnych: pragmatycznego przeświadczenia, że z punktu widzenia wizytatora na ogół jest bezpieczniej skrytykować. Powiedzenie, że mogłoby być lepiej (bądź „jeszcze lepiej”), zawsze da się obronić, a „kryje” autora opinii.



Podstawowe ostrze krytyki wizytatorzy kierowali przeciw niedostatkom działalności samej partii. Brzmi to paradoksalnie – ale nie powinno zaskakiwać. Po pierwsze, jeśli przyjąć terminologię orwellowską, instruktorzy KC należeli do „partii wewnętrznej” – podczas gdy wizytowali „partię zewnętrzną”; ta z definicji wymagała nieustannych działań korygujących. Nadto, w myśl koncepcji systemu, partia stanowiła jego kręgosłup, a zatem zasługiwała na najbaczniejszą uwagę. Na partię ludzie patrzeli jako na uosobienie ustroju. W jakimś wymiarze miał rację jeden z instruktorów, gdy pisał: „Z chwilą powstania partii nowego typu masy ludowe chcą widzieć w jej szeregach nowego człowieka. Masy analizują postępowanie członków partii”. Z tego stwierdzenia ów instruktor wyciągał wniosek, że „Należy więc domagać się od nich zachowania wysokiej godności członka partii przez podnoszenie własnych wartości moralnych” (243, k. 78). Kłopot polegał „tylko” na tym, że właśnie partia, która chciała i w myśl koncepcji powinna być wszystkim, w „terenach” rysowała się w oczach wizytatorów jako słaba i niesprawna.

Wadliwe działanie PZPR przejawiało się już w streszczonej wyżej opinii instruktora Grzywacza, a znalazło odbicie także w innych raportach. Wątpliwości autorów budził skład organizacji partyjnych oraz niedostateczne przeciwdziałanie zjawiskom negatywnym w tym zakresie. Najczęściej były to „haczyki” w życiorysach członków PZPR. Instruktorzy ze zgrozą stwierdzali, iż w partii znajdowali się ludzie, którzy należeli do AK, byli żołnierzami gen. Andersa, należeli do Hitlerjugend bądź podpisali Volkslistę (warto pamiętać, że te dwie ostatnie sprawy w niektórych województwach rysowały się bardziej specyficznie niż w centralnej Polsce).

Czynnikiem obciążającym była aktywność w służbie państwa w okresie przedwojennym, czy jeszcze dawniej. W trakcie wyborów partyjnych w zakładach telefonicznych na ul. Grochowskiej w Warszawie wykreślono z listy kandydatów osobę, która była rotmistrzem armii carskiej, potem (do 1926 r.) oficerem WP, a następnie pracownikiem Komisariatu Rządu w Warszawie. Gdzie indziej wytropiono członka partii, który miał duży wpływ na decyzje personalne, a przed wojną był sędzią i to jakoby ferującym wyroki na komunistów.

Szczególną uwagę autorzy raportów kierowali na pracowników lokalnego aparatu partyjnego. Jeden z instruktorów z naganą stwierdził, że np. w Komitecie Wojewódzkim w Gdańsku pracują „elementy wrogie, obce politycznie” – a konkretnie referent i szofer, którzy podczas wojny walczyli w wileńskiej AK (184, k. 32). W Podstawowej Organizacji Partyjnej w zakładach „Kabel” w Bydgoszczy stwierdzono, że niejaki Kubacki „był u Andersa” – w związku z czym miał zostać „zwolniony z pracy partyjnej, przeniesiony na fabrykę”. Z kolei w odniesieniu do niejakiego Sawickiego instruktor zapisał: „AK, służył w wojsku niemieckim, ma być zwolniony”. W odniesieniu do trzeciej osoby, Nیزیńskiego, zapis był łagodniejszy: „brat przed wojną w żandarmerii, później w AK, sam prowadził w latach 1936-44 sklepik spożywczy – brak zastrzeżeń” (179, k. 66).

Generalnie życiorysy były bardzo ważnym narzędziem pracy partyjnej, a brak przyglądania się im – nie mówiąc o zaniechaniu żądania przedstawiania ich publicznie przed wyborami partyjnymi – wywoływał ostrą instruktorską krytykę.

Jako świadczące o słabości organizacji PZPR wysłannicy wytykali niektóre współczesne zachowania i postawy członków partii. Lista takich zachowań zaczynała się od spraw „banalnych”. Spotyka się w raportach piętnowanie członków PZPR np. za dokonywanie defraudacji finansowych, dopisywanie godzin nadliczbowych oraz wyzyskiwanie innych przez fałszerstwa kart pracy i szantaż. Kilkakrotnie piętnowane są pijaństwo i pijatyki. Raz podaje się, że np. „Sekretarz K[omite]tu G[minnego] pije i jest nierobem” (243, k. 108). Innym razem odnotowuje się, że członkowie partyjnej „wierchuszki” w zakładzie pracy „pili wódkę pudełkami od konserw, posyłając po nią ludzi z fabryki. Kto nie chciał iść, tego przesuвано na gorszą robotę” (259, k. 25). W jednym z raportów donosi się o pobiciu przez dwóch milicjantów i sekretarza partii w Nieszawie kobiety (182, k. 5).

Liczne są zarzuty z zakresu tzw. prowadzenia się członków PZPR. W jednym z raportów piętnuje się sekretarza POP jako człowieka chytrego i egoistę – zarzucając mu (trudno dociec, czy w ramach dowodu sformułowanej opinii!) życie z dwiema kobietami jednocześnie (243, k. 111). Wytyka

się, że w jednej ze szkół „sekretarz organizacji partyjnej uczniowskiej po upiciu się wraz z innymi nocą wyważył drzwi na oddział kobiecy [i] tylko zdecydowana postawa kobiet ZMP, a następnie wkroczenie MO przywróciło porządek” (243, k. 127). Jeszcze innemu sekretarzowi partii zarzuca się, że wraz z lokalnym nauczycielem zgwałcili ZMP-ówkę (180, k. 137-144).

Ze spraw odmiennego typu raporty zarzucają członkom PZPR łatwe osłabienie „czujności”. Np. w Komitecie Wojewódzkim w Rzeszowie towarzysze byli jakoby „tak upojeni bliską obecnością Związku Radzieckiego i jego żołnierzy przy granicy”, że przestawali dostrzegać rozliczne negatywy sytuacji (243, k. 4). Innym członkom PZPR zarzuca się brak przodownictwa (243, k. 75: „Towarzysze partyjni nie przodują w pracy, lepiej od nich pracują bezpartyjni”). Piętnuje się brak aktywności, brak zainteresowania działalnością, niepłacenie składek.

Instruktorzy zarzucają organizacjom partyjnym, że „indywidualne oddziaływanie członków Partii jest jeszcze niedostateczne” (206, k. 123). Sygnalizuje się także w raportach, iż nieraz sami członkowie PZPR samokrytycznie przyznawali się do „grzechu” zaniedbania – powiedzmy „pracy społecznej zleconej przez POP, jak np. nauki języka rosyjskiego” (259, k. 9).

O słabości organizacji partyjnych świadczyła oczywiście w oczach instruktorów ewentualna obcość ideologiczna członków. W jednym z raportów podano, iż spośród kandydatów w wyborach do władz partyjnych dopiero w drodze interwencji trzeba było wykreślić ludzi „za radowanie się, że w Korei wojnę przegramy” oraz „za wrogi stosunek do ZSRR i kolchozów w latach 1946-47” (257, k. 38). W stosunku do jakiegoś członka PZPR padł zarzut, iż „utrzymywał stosunki z kobietą nam obcą klasowo” (245, k. 3). W stosunku do innego – że jest „ściśle związany z księdzem” (242, k. 99). Jeden z autorów wytykał członkowi PZPR, iż „mieszka z matką, aktywistką sodalicii mariańskiej” oraz „uprawia praktyki religijne” (245, k. 1). W innym raporcie wytknięto kandydatowi do partii, iż swego czasu był w seminarium duchownym (244, k. 25). W kolejnym postulowano zwolnienie z funkcji

sekretarza człowieka określonego mianem „klerykała” (230, k. 13). Przy jeszcze innej okazji odnotowano, że wizyta u sekretarza PZPR w jednej z gmin wykazała, iż nawet u niego leżały na stole *Ład Boży* oraz *Słowo Powszechne* (180, k. 36).

Ze zgorzeniem odnotowano, iż niektórzy członkowie PZPR udali się przy okazji dożynek z wiankami do kościoła (243, k. 62). Także to, iż osoby należące do PZPR wymykały się z zebrań partyjnych po to, „aby iść do kościoła” (205, k. 62). Któryś z towarzyszy przyznał się, że miał zamiar brać ślub kościelny – a powoływał się przy tym na konstytucję (245, k. 8)! Agitator wysłany do kościoła, by zobaczyć co się tam dzieje, zwrócił legitymację partyjną (261, k. 3: „Do kościoła poszedł, lecz spytany o treść kazania oddał legitymację partyjną, mówiąc, że donoszenie o tym, co się dzieje w kościele, nie jest zgodne z jego katolickim sumieniem i dlatego woli zrezygnować z członkostwa w partii”). W jeszcze jakimś raporcie przytoczono odezwanie się pewnego Kaszuby podczas spotkania aktywu partyjnego w Kościerzynie, iż „Bóg prowadzi nas do socjalizmu” – co wywołało aplauz sali (184, k. 2). Zdarzyło się też doniesienie o umieszczeniu portretów przywódców wśród obrazów religijnych.

Z niepokojem donoszono, że „członkowie Partii nie chcą walczyć z religią (głównie na wsi, gdzie są kościoły i mieszkają księża)” (180, k. 536) oraz o tym, że „niektórzy członkowie Partii poza Partią trzymają stronę kleru i reakcji” (205, k. 62). W Jarosławiu nie odbyły się wybory do władz partyjnych wskutek „zwiększonego nacisku kleru poprzez rekolekcje i masowe spowiedzie (!), któremu to ulegają i członkowie naszej partii” (243, k. 22). W informacji o wyborach partyjnych na Bródnie w Warszawie przytoczono krytyczne głosy, że dopuszczono do kandydowania człowieka, który „woli proroka Chrystusa jak proroka Marksa, jest metodystą i marksizm nie zgadza się z jego religią” (258, k. 3).

Oczywiście o słabości partii świadczyły w oczach instruktorów postawy ociągające. Np. w Bydgoskiem odnotowano, iż nie wszyscy członkowie b. PPR i b. PPS wstępowali do nowej PZPR. Podawane powody odmów były rozmaite. Niektórzy z potencjalnych członków twierdzili, że są już sta-

rzy i nie będą użyteczni (179, k. 16). Inni – że już raz zapisali się do PPR i ponownie wstępować nie będą (179, k. 23-28). *Nb.* ociągających się było więcej w środowisku PPS niż PPR.

Nie znajdował, rzecz jasna, uznania w oczach instruktorów fakt przedstawiania przez niektórych członków PZPR rzeczywistości w czarnych barwach i twierdzenia o niewykonalności stawianych przed nimi zadań.

W notatce, sporządzonej przez wizytatora po kontroli organizacji partyjnej w Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Mielcu „od strony czujności, zaśmiecania szeregów partyjnych, prawidłowości wzrostu organizacji partyjnej i postawy członków Partii” (246, k. 5-7), znalazły się adnotacje, składające się zapewne na prawie kompletną listę minionych bądź aktualnych możliwych „grzechów” członków PZPR:

- „członek Ligi Katolickiej”,
- „[członek] Orła Białego”
- „utrzymuje bliższe kontakty z klerem”,
- „członek AK”,
- „członek ‘Startu’” (?),
- „chorąży ‘Rafu’”,
- „brat kolaborant”,
- „ojciec policjant granatowy”,
- „członek Sokoła”,
- „dwójkarz prawdopodobnie”,
- „członek Z[wiązku] Z[wiązków] Z[awodowych]”,
- „łamistał”,
- „brat siedzi”,
- „podejrzany o szeptaną propagandę”,
- „członek ZWZ”,
- „oficer rezerwy” [przedwojennej!],
- „wrogi do ZSRR”,
- „informatorka AK”,
- „członek OM TUR”,
- „typ ideologicznie obcy”,
- „typ politycznie obojętny”,
- „pijak”,
- „ukryty wróg”,
- „wrogie kawały z BBC rozpowszechniał”,
- „ojciec żandarm”,

- „kontakty z Anglią”,
- „oficer zawodowy” [przedwojenny!],
- „spadochroniarz z Anglii”,
- „PKP w Anglii” (?),
- „kontakty z zagranicą”,
- „inspektor SG”,
- „BCh, AK, TUR i SOK”,
- „uciekł do lasu”,
- „matka gosposia proboszcza”,
- „żona w zarządzie Caritasu, przesiaduje u proboszcza”,
- „ma kontakty z siostrami felicjankami”,
- „podchorąży lotnictwa Dęblin” [przed wojną!],
- „kontakty z wywiadem angielskim”,
- „powiedział, że będzie wieształ PPRowców”,
- „narzeka na warunki materialne”,
- „łamie dyscyplinę pracy”,
- „brat i dwie siostry w USA i Anglii”,
- „43-45 przebywał w Niemczech”,
- „kontakty ze Spsychalskim”,
- „wychwała ustrój sanacyjny”,
- „wrogie wypowiedzi”,
- „wroga organizacja”,
- „wroga propaganda”,
- „ochotnik w żandarmerii wojskowej”,
- „ZWC”,
- „strefa angielska Niemiec”,
- „fanatyk religijny”,
- „był w Jugosławii w 1939”,
- „kontakty ze skompromitowanymi”,
- „ojciec – carski pułkownik i białogwardzista”,
- „siał wrogie wiadomości”,
- „siał wrogi stosunek do rzeczywistości”,
- „intrygant”.



Żle w oczach instruktorów świadczyło o organizacjach partyjnych popełnianie lub dopuszczenie do popełnienia politycznie negatywnych posunięć. Oto np. w lipcu 1953 r. od-

bywała się w Gdańsku Spartakiada Międzybrygadowa „Służby Polsce”. Jedna z towarzyszek, dysponująca zaproszeniami podpisanymi *in blanco*, wysłała je do konsulatów ZSRR, USA, Anglii, Francji i Szwecji. Następnego dnia kierownictwo zgrupowania postanowiło szybko działać („bez porozumienia z KW PZPR, ZW ZMP i KG SP”). Z konsulatów Anglii, Francji i Szwecji zaproszenia wycofano – przy czym zainteresowani dyplomaci zwrócili je bez kwestii. Gorzej poszło w konsulacie amerykańskim:

„W Konsulacie amerykańskim zaproszenie było już przetłumaczone i konsul, zdradzając chęć wzięcia udziału w Spartakiadzie i ufundowania nagrody, niechętnie chciał je zwrócić”.

Konsul amerykański zwrócił zaproszenie dopiero „po dłuższej rozmowie i odnotowaniu sobie upoważnienia [i] legitymacji tow. Piel”. W tym momencie, na polecenie KC, została już wysłana do Gdańska komisja, mająca wyjaśnić okoliczności sprawy. W jej skład wchodził jeden z instruktorów Wydziału Organizacyjnego KC. W raporcie komisji stwierdzono:

„Kierownictwo Spartakiady działało żywiołowo, niekolektywnie – w pojedynkę, bez systematycznej kontroli ze strony Komendanta Zgrupowania tow. mjr. Klekowicza. Cała uwaga kierownictwa Spartakiady i Komendy Zgrupowania skupiona była wokół technicznego przygotowania imprezy, brak było politycznej roboty (...). Nie przestrzeganie kolegiałości w pracy, kontroli wykonania, zatracenie czujności i nie zawsze właściwy dobór ludzi sprzyjał[y] popełnieniu błędów, czego jaskrawym dowodem było wysłanie zaproszeń do Konsulatów”.

Uzasadniając wniosek o ukaranie winnych naganą z ostrzeżeniem i pozbawienie ich dotychczasowych stanowisk, komisja stwierdziła:

„Wysłanie zaproszeń do Konsulatów państw imperialistycznych wydaje się, że nie jest wypadkiem przypadkowym i oderwanym. Jest ono rezultatem niezdrowej i zgniłej atmosfery w Komendzie Zgrupowania S[łużby] P[olsce] Gdańsk” (277, k. 1-6).

Oczywiście fatalnie świadczyły o stanie partii odnotowane przez wysyłanych w misjach instruktorów fakty działań jawnie wrogich – takie jak np. zniszczenie czerwonych gwiazd kamieniami przez członków ZMP (180, k. 210).



Często w instruktorskich krytykach pojawiał się w podtekście motyw wypowiedziany *expressis verbis* na jednym z zebrań rzekomo jako wyraz opinii wsi i przytoczony w raporcie: „Trzeba odróżniać Partię od członków Partii – Partia jest dobra, a członkowie Partii źli” (230, k. 41). Ciekawe jednak, że faktycznie krytyki kierowały się nie tylko przeciw poszczególnym członkom PZPR – ale także przeciw całym organizacjom, bądź przeciw ich ludziom w takim uogólnieniu, iż raczej należy je uznać nie za negatywne oceny jednostek, lecz komórek partyjnych jako takich.

Wyżej była już mowa o krytyce atmosfery panującej w organizacji partyjnej Stoczni Gdańskiej, jaką zawarł w swoich notatkach instruktor Grzywacz. Podobne motywy wracają także w innych dokumentach. Instruktorzy przekazywali zasłyszane na zebraniach głosy twierdzące, jakoby *opinio communis* była taka, że w Warszawie „siedzą w Partii doskonali ludzie, którzy nas zawsze obronią”, na szczęblu województwa „też znajdują się w partii dobrzy ludzie”, „w powiecie nie ma już na kogo liczyć”, a „w gminie i w gromadzie siedzą źli partyjniacy, którzy umieją tylko krzywdzić” (230, k. 41). Terenowe organizacje partyjne rysują się w raportach jako słabe, liczące niewielu członków, działające bez przemyślanej strategii i bez dostrzegalnego wpływu na otoczenie. Jedna z nich nie potrafiła nawet zapewnić właściwej dekoracji świątecznej; została zdyskredytowana za słabe akcenty czerwieni (230, k. 94). W krytykach pojawiał się motyw małego kontaktu PZPR ze środowiskiem (209, k. 31: „Jest to efekt niedostatecznie silnej więzi organizacji partyjnej z załogą, braku znajomości i rozeznania ludzi”).

W jednym z raportów rozbrajająco szczerze zostało powiedziane w jaki sposób zapewniono obecność na dwóch konferencjach partyjnych:

„Dyscyplina konferencji, tj. że delegaci nie rozchodzili się podczas obrad, była zabezpieczona przez towarzyszy z UB, którzy stali przy wyjściu tak w Braniewie, jak i Kętrzynie” (230, k. 94).

W innym raporcie mówiono o zamykaniu bram jednego z zakładów przemysłowych w Starogardzie dla zapewnienia frekwencji na zebraniu partyjnym (184, k. 14).

W jeszcze innym znów wychwycono fakt, że uczestnicy wycieczki na Ukrainę chwalili tamtejsze stosunki podczas oficjalnych zebrań, podczas gdy wypowiadali się złośliwie w rozmowach nieoficjalnych (179, k. 56).

Instruktorzy ganili Komitety Powiatowe za ograniczanie się do wydawania poleceń Komitetom Gminnym w miejsce szerszej współpracy z nimi na co dzień i ganili Komitety Gminne za ciągłe oczekiwanie pomocy od Powiatowych. Skądinąd krytykowali sytuację, w której zadania organizacji partyjnych nie były formułowane samodzielnie, „a tylko za poleceniem wyższych instancji” (209, k. 50). Krytykowali organizacje przyjmujące tryb działania, który „nie usamodzielnia, nie uaktywnia ludzi, a prowadzi do czekania na rozkaz z góry, wychowuje matołów, a nie działaczy politycznych” (257, k. 37). Nie znajdowało ich uznania ograniczanie aktywności organizacji partyjnej do zebrań:

„Istnieje zrutyinizowanie i skostnienie metod pracy P[odstawowej] O[rganizacji] P[artyjnej], wyrażające się w stosowaniu jako podstawowej formy politycznego oddziaływania na członków Partii i bezpartyjnych różnego rodzaju masowych zebrań, odprawiania narad i zastępowaniu nimi codziennej indywidualnej pracy z ludźmi” (209, k. 30).

W raportach dostawało się obficie funkcyjnym partyjnym. O ich krytykach, formułowanych z punktu widzenia moralności publicznej bądź związków z Kościołem, była już mowa wyżej. Pojawiają się jednak również zarzuty marnego działania. Zdarza się, że mowa wręcz o kacykowatości sekretarzy. Według jednego z raportów występują „takie kacyki partyjne w terenie, które uważają, że prawo nie jest dla nich pisane” (182, k. 54).

Wskazywano w raportach na brak żarliwości sekretarzy. Krytykowano ich za opieszałość w powiększaniu własnych komórek partyjnych. Np. w sprawozdaniu z zebrania aktywu partyjnego w Olkuszu instruktor donosił:

„Charakterystyczne było, że gdy jeden z towarzyszy powiedział, iż ‘u nas w powiecie dobrych ludzi nie dopuszcza się do Partii’, rozległy się oklaski na sali” (205, k. 67).

Inny instruktor donosił podobnie:

„Nie wszędzie opieka ze strony partii nad bezpartyjnym aktywem jest dostateczna. Np. w powiecie nowotarskim chłop sam domagał się, aby go przyjęto do Partii, ale nie miał odwagi przyjść do sekretarza POP, a członkowie nie powiedzieli mu, że może wstąpić” (209, k. 7).

Z kolei, gdy w Opatowie egzekutywa Komitetu Powiatowego opracowała plan rozbudowy organizacji partyjnej, instruktor zarzucił jej, iż „ten plan nie był przemyślany, [był] nierealny, bez podania form i środków, które zagwarantowałyby jego zrealizowanie” (207, k. 56).

Natężenie takich krytyk było na tyle duże, iż powinno było nakazywać zastanowienie się nad motywacją wstąpienia funkcyjnych do PZPR bądź (i) motywacją objęcia przez nich funkcji.

W raportach pojawia się motyw beziły PZPR w terenie. Jeden z instruktorów podawał, że na Uniwersytecie w Toruniu jest znikome „upartyjnienie” studentów, a kadra profesorska, zwłaszcza starsza, nastawiona jest do PZPR negatywnie (183, k. 121). Skądinąd w którymś z raportów powiedziane jest:

„Większość członków organizacji partyjnej to pracownicy umysłowi, którzy nie mają bezpośredniej łączności z klasą robotniczą i warstwą mało- i średniorolnych chłopów (...). Ci towarzysze, oderwani od szerokich mas, mogą wypaczać politykę partii” (207, k. 81).

W niejednym raporcie pojawił się motyw małego upar-

tyjnienia chłopów, jeszcze mniejszego ich udziału w zebraniach i znikomej częstotliwości zabierania przez nich głosów w dyskusjach. Sytuację w okolicach Wadowic scharakteryzowano następująco:

„POP na gromadach politycznie na niskim poziomie i niewielkie – od 5 do 10 członków. W 30% gromad istnieją organizacje partyjne. Pomoc ze strony K[omitetów] G[minnych] znikoma, przedstawiciele K[omitetu] P[owiatowego] mało odwiedzają gromadzkie organizacje. Nie uczy się organizacji partyjnych jak ma[ją] pracować. Brak dyscypliny w Partii demoralizuje towarzyszy. Kiedy wypada jakaś akcja, KP na gwałt mobilizuje członków Partii” (208, k. 15-16).

Bezsilność PZPR w terenie przejawiała się według instruktorów w bardzo różnych sprawach. Słabe postępy kolektywizacji autorzy raportów tłumaczyli m.in. nieumiejętnymi działaniami członków PZPR, którzy jakoby nie umieli, a może nie chcieli, rozmawiać z bezpartyjnymi i przekonać ich do nowej formy gospodarowania. Jeden z instruktorów w negatywnym kontekście notował, że podczas zebrania aktywu partyjnego w Kościerzynie „ani jeden z dyskutantów nie mówił o spółdzielczości produkcyjnej. Ani jeden chłop nie mówił o wydajności z hektara” (184, k. 4). Inny z instruktorów przytaczał sformułowany na zebraniu partyjnym wyraz żalu, iż „nie umiemy skutecznie mobilizować społeczeństwa wokół takich wydarzeń jakie ma miejsce (!) wywiad z tow. Stalinem o bombie atomowej, którą posiada ZSRR” (230, k. 78). Kolejny narzekał *à propos* obchodów święta pierwszomajowego, że „około 60 wozów przejechało przed trybuną puste, bez ludzi” (230, k. 31). Dalszy wytykał, że „brak naszym członkom Partii argumentów w odpieraniu wrogiej propagandy” (205, k. 39).

Wszystkie przytoczone krytyki nabierają dodatkowego znaczenia w świetle przyszłej historii PRL. Potwierdzają one to, co zdradzały kolejne kryzysy owej formacji – a mianowicie, że PZPR nigdy nie stała się partią zbliżoną do modelu leninowskiego. Dla Bieruta nie wynikał z tego jeszcze żaden istotny problem, gdyż prawie do końca swej władzy nie musiał on posługiwać się partią jako obrońcą systemu. Dla

Gomułka był to już problem wielki, silnie – acz bezskutecznie – go absorbujący. Gierek starał się uczynić z PZPR sprawne narzędzie już nie tyle przez uczynienie z niej „partii nowego typu”, ile przez „kupienie” członków „partii wewnętrznej” dobrym życiem i różnymi przywilejami (może mniej zwracającymi uwagę niż w latach stalinowskich, ale znacznie szerzej rozdzielanymi). Od pozostałych członków PZPR Gierek oczekiwał już raczej jedynie symbolicznego hołdu w postaci przynależności.

Skutek strategii gierkowskiej był akurat odwrotny od zamierzonego. Podczas gdy w kryzysach lat 1956, 1970 i 1976 PZPR okazała się narzędziem słabym, ale mimo wszystko jakoś działającym – to w latach 1980-1981 rozsypywała się bardzo szybko. Jednocześnie przecież wspomniany Edward Gierek w całym okresie swej władzy wyraźnie zmniejszył już nacisk na PZPR jako jedyny kościół systemu. Może nawet mocniej stawiał na strukturę państwową, policyjną i wojskową. Ta z kolei koncepcja okazała się w pewnym sensie drożna. W 1981 r. wymienione siły zadziałały znacznie sprawniej niż PZPR. Jednocześnie okazały się też znacznie lepiej predestynowane do dokonania późniejszego wielkiego ustępstwa niż partia – i to mimo, iż ta była już daleko od modelu leninowskiego „zakonu”.



W krytykach kierowanych pod adresem członków PZPR i organizacji partyjnych pojawia się jeszcze jeden, dotychczas nie poruszony motyw. Jakkolwiek to brzmi zaskakująco, wizytatorzy ostro sygnalizowali wypaczenie linii PZPR w jej realizacji w terenie („przejęcie”). Wynikało to zapewne po pierwsze z ich roli: w istocie funkcji tkwiło sprawdzanie, czy i jak polityka kierownictwa jest wprowadzana w życie – a „przejęcie” były w końcu też odstępstwem od niej. Druga przyczyna mogła płynąć z faktu, że członkowie „partii wewnętrznej” najpewniej rzeczywiście byli zaangażowani w sprawę, w imię której działali. Jak ubolewali nad kompromitowaniem PZPR np. przez niemoralne prowadzenie się działaczy, tak mogli też być zaniepokojeni ponadniezbędnymi

w ich własnym przekonaniu represjami. Przyjeżdżając z centrali, mogli mieć szerszą perspektywę. Nieraz lepiej wiedzieli – i we własnym interesie musieli wiedzieć – „skąd wiatr wieje”. W konsekwencji np. po uchwale Biura Politycznego przeciw „łamaniu linii partii” w Gryficach (1951) dobrze wyczuli, że trzeba „hamować”. Co nie najmniej ważne, instruktorzy mieli też występować w roli wysłanników mądrej centrali, której dobrą politykę ewentualnie psuły terenowe ogniw władzy.

W raportach spotyka się więc – odnotowane w negatywnym, rzecz jasna, kontekście – wypadki ściągania ludzi do PZPR na siłę. Podczas wizytacji powiatowej konferencji partyjnej w Starogardzie instruktor odnotował, że w jakiejś fabryce na 194 robotników (głównie robotnic) jest 186 partyjnych – co uznał za rezultat „nacisku”, polegającego na wymogu wstąpienia wraz z przyjściem do pracy (184, k. 14). W raporcie z południa Polski odnotowano wypadek, gdy pewien sołtys wstąpił do PZPR przez nieuwagę: posłaniec przyniósł mu do wypełnienia ankietę i powiedział, że wszyscy sołtysi muszą ją wypełnić. *Post factum* zainteresowany twierdził: „Później się okazało, że jest to wpisowe do PZPR; ja nie jestem przeciwny partii, ale chcę być bezpartyjny” (206, k. 116). Rzecz jasna, wizytatorzy pragnęli, ażeby ludzie wstępowali do PZPR – lecz chcieli, by czynili to świadomie i z własnej woli.

Będąc często nieufni wobec autochtonów z Ziemi Odzyskanych jako podatnych na zagraniczną propagandę i w ogóle potencjalnie wrogich, instruktorzy nieraz przeciwdziałali jednakowoż negatywnym postawom wobec nich; postulowali szukanie dróg pozyskiwania tych ludzi. Będąc wrogo nastawieni wobec Kościoła katolickiego, pozornie paradoksalnie potrafili niekiedy oddziaływać łagodząco w wypadku stawiania na ostrzu noża kwestii przekonań religijnych członków partii (np. w odniesieniu do kandydatów w wyborach do władz partyjnych lokalnego szczebla). Zwłaszcza w początku analizowanego okresu starali się utrzymywać, że walka toczy się z Kościołem jako organizacją, a nie z religią (228, k. 3: „Zwróciłem uwagę zebranych, że sprawa kościoła nie jest w tej chwili problemem centralnym, głównym, ostrzegając przed niebezpieczeństwem wniesienia do szeregów mas robot-

nicznych elementów nienawiści religijnej”; tamże, k. 11: „Dyskusja wykazała, że niektórzy towarzysze nie rozumieją zagadnienia walki z częścią reakcyjną kleru i sprowadzają tę sprawę do walki z religią”). Oczywiście instruktorzy pragnęli, by członkowie partii odstępowali od wiary katolickiej, a ich religijność i związek z Kościołem osłabiały, jak była mowa wyżej, ocenę zarówno ich samych, jak i organizacji partyjnej. Niemniej jednak instruktorzy, w dobrze rozumianym interesie PZPR skłaniali głowę przed realiami życia.

Zdarzało się, że wizytatorzy bronili członków PZPR przed ich bezpośrednimi władzami – np. podczas akcji wymiany legitymacji partyjnych. Zgodnie ze stanowiskiem centrali sprzeciwiali się tendencjom do wykorzystania tej operacji jako swego rodzaju egzaminu. W ogóle byli relatywnie uczuleni na ludzkie sprawy. Mieli zakodowany w głowach ideologiczny kanon, w myśl którego partia winna się troszczyć o człowieka. Chcieli pokazać, że – zgodnie z ideologią – człowiek to rzecz najważniejsza. Jeden z nich zadziałał np. przeciw wykluczeniu z PZPR towarzysza, którego posądzono o handel walutą (posiadał 40 dolarów!). Na skutek interwencji instruktora „sekretarz K[omitetu] D[zielnicowego] przeprowadził z nim rozmowę, wyjaśnił sprawę i doręczył mu legitymację, co zostało przyjęte przez tego towarzysza ze łzami w oczach” (257, k. 6).

W wyżej przytoczonych notatkach instruktora Grzywacza z wizytacji woj. gdańskiego pojawił się moment oddania sprawiedliwości jakiemuś biednemu człowiekowi, zaszczeremu w ramach lokalnych stosunków. Gdzie indziej wystąpił moment obrony pracownika, któremu przez nieporozumienie odmawiano uznania wykonania normy.

Kolejnym przykładem dążenia wysłanników do korekty przebieg było odnotowywanie przez nich nadużyć w procesie kolektywizacji. Jeden opisywał np., jak to do pewnej gromady przyjechał prelegent, który przedstawił się jako wysłannik Komitetu Wojewódzkiego i zapowiedział, że „kto nie przystąpi do spółdzielni produkcyjnej, to zobaczy szubienicę”. W dalszej kolejności ów człowiek „zwołał zebranie do szkoły, gdzie wszystkich ludzi wyprosił na dwór, a potem po jednym wpuszczał do szkoły i pogrózkami zmuszał ich zapisywać się

do spółdzielni produkcyjnej”. Instruktor z żalem konkludował, że nazwiska prelegenta nie udało mu się ustalić (184, k. 16). Nie znaczyło to oczywiście, iżby choć w najmniejszym stopniu miał wątpliwości co do samej idei kolektywizacji.

Zdarzają się w raportach wypadki brania w obronę chłopów karanych za – według ówczesnej terminologii – opór w skupie zboża. W materiale występują krytyki pod adresem chłopskich trójek, powołanych dla pilnowania realizacji jego dostaw (181, k. 3). Komentując karne pozbawienie jednego z chłopów prawa do zaopatrywania się w podstawowe artykuły przemysłowe na przeciąg blisko półtora miesiąca, instruktor przekazywał wręcz opinię, że „z gromad, które nie wykonują planu zbożowego, zrobimy mogiły” (182, k. 39). Pojawiają się w raportach wypadki krytyki złego przygotowania organizacji skupu.

Nawet jakże pożądane ataki na kułaków nie zawsze spotykały się z instruktorskim aplauzem. Zwłaszcza, jak się zdaje, po sprawie gryfickiej, w raportach pojawiają się głosy niepokoju z powodu pochopnego uznawania „średniaków” za „kułaków” i w konsekwencji wyzbywania się ziemi przez tych pierwszych.

Przedmiotem krytyki wizytatorów stawały się także inne aspekty nadgorliwego działania lokalnych władz. Znamienny jest tytuł sprawozdania, które wyszło spod pióra Antoniego Hajtmana: „Uwagi o ‘przebiegach’ na Wybrzeżu”. Hajtman wskazywał w nim na szkodliwość postępowania aparatu państwowego na terenie Trójmiasta. Według instruktora dokonywano tam zbędnego legitymowania ludności po godz. 22 oraz rewizji na dworcach kolejowych w pogoni za szmuglerami („rewiduje się pasażerem teczki i walizki, a gdy ktoś ma przy sobie choćby pół kilograma kiełbasy lub słoniny, to się konfiskuje”). Nadto autor raportu wskazywał na istnienie tajemniczych komisji, mających zadbać o przestrzeganie norm zaludnienia lokali, oraz na ściąganie poniechanego już przez władze centralne podatku od luksusu (184, k. 24-25).

Z innej grupy spraw jako karygodne odstępstwo od linii PZPR zostało w jednym z raportów napiętnowane np. udekorowanie lokalu wyborczego podczas wyborów sejmowych czerwoną gwiazdą i popiersiami klasyków marksizmu –

przy braku godła i barw narodowych (260, k. 14).

Opisywane raportowanie, zmierzające do przytomniejszej realizacji linii PZPR, miało sens ambiwalentny. Z jednej strony w jakimś stopniu dobrze świadczyło o autorach raportów (na pewno lepiej niż świadczyłoby ewentualne chwalenie wszelkich bzdur!). Ilu osobom instruktorzy oszczędzili swym działaniem kłopotów – tylu oszczędzili. Z drugiej strony wszystkie te działania zakładały, że kierunek polityczny reprezentowany przez PZPR jest słuszny, a należy jedynie wyeliminować niesprawności lub (i) „przejęcia”. Nadto wypada wątpić, czy w skali społecznej rozważane działania mogły być skuteczne.



Z funkcjonującej w życiu partii ideologii teoretycznie wynikało kto może być sojusznikiem PZPR, a kto jej wrogiem. W praktyce sprawy nie przedstawiały się jednak tak prosto. Jak zostało już wspomniane wyżej, w rozpatrywanych materiałach nie funkcjonowała precyzyjna definicja wroga. W pewnym sensie nie mogła być ona precyzyjna. Z przyjętej koncepcji wynikało przecież, iż PZPR toczyła „bitwę”. W przerobionych materiałach nawet zagadnienie skupu zboża rozpatrywano jako problem „wielkiej bitwy klasowej” (230, k. 15). Była to bitwa z założenia trudna, nawet jeśli o zagwarantowanym przez teorię przyszłym pozytywnym wyniku. Otóż zdefiniowanie wroga czyniłoby bitwę łatwiejszą. Co nie mniej ważne, wróg był potrzebny właśnie po to, ażeby PZPR miała poczucie toczenia bitwy. Niebezpieczeństwo miało uzasadniać działanie, zwierać partię wewnątrz, czynić z niej bojowy oddział, zwiększać jej czujność. Z punktu widzenia referowanej socjotechniki wróg słabo zdefiniowany – taki, który może się przyczaić wszędzie – był znacznie wygodniejszy. Rola socjotechniki PZPR była w tym zakresie wiernym odbiciem funkcji stalinowskiej koncepcji zaost్రzania się walki klasowej w miarę zbliżania się do zwycięstwa.

Wróg funkcjonujący w mentalności aktywu PZPR miał jeszcze jedną cechę: brak indywidualności. Wrogiem mógł być oczywiście konkretny Kowalski – ale takim Kowalskim winny zająć się odpowiednie „organy władzy ludowej”. PZPR

rozgrywała walkę polityczną na froncie przebiegającym przez społeczeństwo i w konsekwencji interesowała się grupami społecznymi. Rzeczony Kowalski był dla niej wrogiem gdy (gdyż) należał do zbiorowości ocenianej jako wroga. Jeśli z kolei miał pecha należeć do takiej zbiorowości, to jego szanse na pozbycie się „grzechu pierworodnego” były znikome. Niewątpliwie słuszną tezę socjologii (nie tylko marksistowskiej!) o uwarunkowaniu człowieka przez warunki i otoczenie, komunizm doprowadził do absurdu. Zmienił ją w tezę o swoistej predestynacji (o całkowitym zdeterminowaniu człowieka przez warunki i otoczenie). Jego ideolodzy w oczywisty sposób zapomnieli, że Marks, Engels i Lenin pochodzili z grup społecznych w myśl referowanej koncepcji nie zasługujących na zaufanie (ze Stalinem rzecz przedstawiała się o tyle lepiej, że podobno był biedny w młodości). Nawiasem mówiąc, takich zmian zasadnych też wiedzy o społeczeństwie w absurd można znaleźć w komunizmie więcej.

Wizja wroga koncentrowała się zatem w przeanalizowanych materiałach na pewnych grupach społecznych i środowiskowych. Na pierwszym miejscu listy sytuowali się ludzie swego czasu związani z dawnym układem politycznym i jego wojennymi bądź powojennymi przedłużeniami. Wyżej była już mowa o tym, jak niepokoiła wizytatorów przynależność takich ludzi do PZPR. Sprawa dotyczyła jednak, rzecz jasna, nie tylko partii komunistycznej. Związek z „sanacją” piętnował człowieka do tego stopnia, że podczas zebrania partyjnego w Elblągu – jak donosił jeden z raportów – mówca następująco piętnował „tow. Wiesława i jego grupę”:

„Ludzie ci wywiedli się z ludu, ale nie chcieli służyć ludowi (...) Wysługiwali się oni obcemu wywiadowi, bo oni wysuwali na naczelne stanowiska ludzi z sanacji” (184, k. 47).

Drugą grupą wyraźnie wskazaną – nawet jeśli też mało precyzyjnie zdefiniowaną – byli „kułacy”. Oni w analizowanych raportach stanowili uosobienie Szatana. Ich chciano przedstawiać jako wrogów z ciała i kości (242, k. 1: „Kułak jest więc niestety jeszcze na zebraniach partyjnych postacią bezosobową”). To ich wpływy należało w ramach analizo-

wanej koncepcji zneutralizować, ażeby pozyskać „średniaków” (242, k. 1: „Nie udało się jeszcze przełamać tradycyjnego szacunku i obawy przed bogaczem na wsi”). Ich trzeba było po prostu zniszczyć. Organizacja partyjna, która nie okazała się dostatecznie bojowa w tej sprawie, zasługiwała na krytykę.

„Kułaków” oskarżano o zacołanie polskiej wsi z jednej, a o podpalanie gospodarstw z drugiej strony. Gdy nie płacili podatków byli źli; gdy płacili – też byli źli, bowiem płacili „tylko” podatki. Nawet gdy – niby w jakimś sensie zgodnie z politycznym planem władz – porzucili ziemię i uciekli do miasta, to też źle czynili (180, k. 37). Oni byli po prostu bez szans. Gdy się wręcz korzyli – np. po przymusowym wymłóceniu im zboża – to też z założenia robili to fałszywie (243, k. 148: „Po omłocie buta kułacka znikła bez śladu, pojawiły się natomiast fałszywe łzy”).

Drugim, bardzo wyraźnie wskazanym wrogiem był Kościół katolicki. W kategoriach praktycznych rysował się on jako wróg groźniejszy nawet od „kułaków”. „Kułacy” stanowili problem mimo wszystko ograniczony – przynajmniej do terenów wiejskich, w świetle ideologii uważanych za ziemie dopiero „do zdobycia”. W walce z „kułakami” spodziewano się sojuszników w warstwach biedniejszych. „Kułacy” nie przenikali społeczeństwa, nie przyciągali młodzieży, nie byli zorganizowani, nie posiadali półtajnych struktur w rodzaju zakonów, nie mieli powiązań międzynarodowych, nie aspirowali do „rządu dusz”, nie konkurowali ideologicznie i nie pojawiali się w samej PZPR – co wszystko posiadał bądź (i) czynił Kościół oraz związani z nim ludzie.

W Stalowej Woli – skarżył się autor jednego z raportów – mały jest udział ludzi w referatach i wykładach, a duży w nabożeństwach (243, k. 54). Frekwencja podczas oficjalnych obchodów w jakiejś gminie była mała, gdyż w tym samym czasie w kościele odbywała się uroczystość Pierwszej Komunii (182, k. 75). W innej znowuż gminie, po zakończeniu zebrania i odśpiewaniu „Międzynarodówki” ludzie odśpiewali „Wszystkie nasze...”. Jeszcze w jakiejś sytuacji, gdy na zebraniu atakowano duchowieństwo, na sali zapadła cisza – zaś gdy padły ostre uwagi, „połowa sali wstrzymała się od okłasków” (179, k. 7).

Zdarzały się wypadki opuszczania PZPR z motywacją, iż „partia występuje przeciwko religii, a ja jestem religijny” (206, k. 95). Wizytatorzy skarżyli się, że „kler oddziałuje na rodziny naszych towarzyszy” (205, k. 31).

W konsekwencji w raportach sporo miejsca poświęcano działaniom księży. Odnotowywano, że księża przeciwdziałają wstępowaniu ludzi do PZPR. Także to, że podburzają chłopów przeciwko spółdzielniom produkcyjnym. Po stwierdzeniu, iż w powiecie olkuskim akcja zakładania spółdzielni przebiega opornie, wizytujący instruktor napisał:

„Przyczyną odbywają[ce] się na gminach (!) t[ak] z[wane] rekolekcje, na które zjechali się zakonnicy z Krakowa i oni szczególnie prowadzą agitację ukrytą przeciwko spółdzielczości i komunistom. Na jednej parafii (!) na rekolekcji rozłożył się taki zakonnik na środku kościoła i wezwał, aby wszyscy przysięgli, że nie dadzą się złamać nadchodzącej fali” (206, k. 6).

Odnotowywano w raportach wszystkie drobne posunięcia (faktycznie złośliwości) księży, utrudniające życie „władzy ludowej”: dzwonienie w dzwony podczas pierwszomajowego przemówienia, zorganizowanie procesji podczas oficjalnych uroczystości (243, k. 69), ogłoszenie po mszy zbiórki pieniędzy na źle żywionych traktorzystów z Państwowego Ośrodka Maszynowego (243, k. 89). *Nb.* to ostatnie działanie musiało być przez władze odczute szczególnie źle, skoro POM-om przypisywano wówczas wiodącą rolę w prowadzeniu wsi do socjalizmu.

W jednym z raportów opisano jak to np. w Sędzinie dzieci poszły do kościoła z pierwszomajowymi chorągiewkami, a „miejscowy proboszcz wpadł w szal, powyrywał dzieciom chorągiewki, łamiąc je w kościele, a następnie ogłosił z ambony, że chłopci powinni dnia 1 Maja orać u niego ziemię” (181, k. 210).

Uważnie sprawozdawano co księża mówili na kazaniach. Opisywano np. jak to jakiś ksiądz wzywał wiernych, by nie posyłali dzieci do szkół bez religii, a inny ostrzegał (jak widać zasadnie!), iż „w kościele są ludzie, którzy czekają, by nas złapać za słowa” (179, k. 40-42). Autor jednego z raportów

stwierdził, że w kazaniu Stefana Wyszyńskiego z 10 września 1950 r. przejawiała się jakoby „sympatia dla anglo-amerykańskich fabrykantów broni atomowej (bezczelna sympatia)”. W dalszym ciągu autor raportu streszczał to kazanie następująco:

„Wyszyński wyraził się, że atom jest własnością Boga i w konsekwencji zwycięży materię. Do młodzieży, która krzyczała, powiedział ‘kazałem wam milczeć, wiecie co dziś czeka za prawdę’. Poza tym powiedział cały szereg niedokończonych zwrotów” (180, k. 34).

Oczywista, że nawet w takich, na ogół silnie antykościelnych raportach pojawiały się pewne koncesje i akcenty łagodzące. W końcu autorom bądź (i) wizytowanym organizacjom partyjnym nieraz zależało na pokazaniu, że sobie z wrogiem radzą, że na ich terenie duchowieństwo jest rozumniejsze, bądź że tamtejsza ludność jest światlejsza. W końcu nawet taktyka mogła doradzać różnicowanie duchowieństwa (taką metodę zastosowano w skali ogólnopolskiej przez wymyślenie „księży patriotów”).

Zdarzały się wypadki zanizania przez lokalnych sekretarzy wielkości udziału ludzi w kościelnych świętach – co wizytatorzy skrzętnie obnażali (180, k. 223-224). Sami jednak niekiedy różnicowali księży na kler „pozytywny, niezdecydowany i wyraźnie wrogi” (242, k. 93). W jednym z raportów wspomniano zakonnicę z Łańcuta, które wzięły udział w pochodzie pierwszomajowym, czy o księdzu, który wywiesił sztandar i nawoływał do udziału w uroczystości (243, k. 69).

Generalnie w raportach – powtórzmy – przeważa jednak widzenie duchowieństwa jako wroga. Zamiast słowa „duchowieństwo” używa się „kler” – bądź idąc za zwyczajowo mniej pozytywną konotacją tego słowa, bądź (i) umocniwszy jego mniej pozytywną konotację siłą własnej propagandy. Nadaje się pejoratywną konotację wyrazom „ksiądz” i „wierzący”. W sprawozdaniach wymienia się obok siebie „chodzenie do spowiedzi”, „pijaństwo” i „prywatę” (243, k. 133), zaś „pijak” sąsiaduje w nich z „dewotką” (244, k. 12). Mówi się o „kreciej działalności zakonników i zakonnicy” (242, k.2), „reakcyjnej działalności kleru” (242, k. 1), „jednej, czarnej, zbójckiej międzynarodowce” (242, k. 93). Zdarzają się

raporty, w których paragraf poświęcony aktywności księży tytułuje się „Działalność wroga” (181, k. 208). Obecność księdza w sutannie w pochodzie pierwszomajowym przynajmniej w jednym wypadku wręcz wzbudziła niepokój wizytującego instruktora (179, k. 546-549). Prawda, że – co sygnalizowano wyżej – takie fakty bywały odnotowywane jako sukces PZPR, ale ten autor chyba trafniej wyczuł nastawienie partii.

Wszystkie niepowodzenia Kościoła w dotarciu do ludzi były odnotowywane w raportach jako własny sukces. Pozytywnie relacjonowano, gdy któregoś 1 maja w jednej z miejscowości nikt nie uczestniczył w nabożeństwie (242, k. 65) – oraz gdy nikt z uczestników oficjalnej akademii nie przyłączył się do przechodzącej obok rozśpiewanej procesji, a tylko jeden chłop zdjął czapkę (244, k. 30).

Akceptująco pisano o instytucjonalnych działaniach antykościelnych – jak np. o odmowie pozwolenia na jakieś publiczne wystąpienie księży 1 listopada (243, k. 177), czy o śledztwie wdrożonym przez Urząd Bezpieczeństwa w sprawie pojawienia się flag watykańskich na przydrożnych figurach (243, k. 148).



Kolejne pytanie, jakie trzeba zadać, dotyczy tego, gdzie system polityczny upatrywał swoich sojuszników. Jego inkarnacja, partia komunistyczna, uważała się za awangardę klasy robotniczej i tę klasę też winna była najpewniej traktować jako pierwszego sojusznika. Faktycznie to w tej właśnie optyce dążono do wzmacniania ideologicznych kontaktów miasta ze wsią. Pojawia się w materiale fakt wysyłania ekip robotniczych na wieś w celu okazania pomocy tamtejszym organizacjom partyjnym. Można oczywiście zapytać, gdzie z kolei szukano sojusznika w konfliktach rozgrywających się w środowisku robotniczym. Kłopot z odpowiedzią polega jednak na tym, że ta sprawa nie znalazła odbicia w analizowanych źródłach. Możliwych wyjaśnień jest kilka. Najprostsze z nich to to, że przeprowadzona sonda w większym stopniu dotyczyła materiałów z terenów słabo uprzemysłowionych. W myśl drugiego wyjaśnienia „front walki” w środowisku robotni-

czym postrzegany był inaczej niż w wiejskim. Zgodnie z ideologią, wśród robotników mogły się pojawiać jedynie jednostki-zakały, a nie wrogie grupy. Do eliminowania obciążonych np. negatywnie ocenianą przeszłością jednostek nie potrzeba było rozglądać się za sojusznikami (wystarczyła decyzja dyrektora czy działania policyjne). Jeśli już dochodziło do masowego ruchu protestu wśród robotników (w skrajnym wypadku do strajku), to miano chyba raczej tendencję do traktowania go jako sporu w rodzinie i szybkiego tuszowania sprawy. Wykryci przywódcy, których działaniom przypisywano niewspółmierną moc, znikali z pola widzenia, zaś lokalna organizacja partyjna dostawała po uszach za niezapobiegnięcie wstydomu na czas. Walkę polityczną chciano natomiast widzieć tam, gdzie można było ją wobec publiczności i siebie przedstawić jako walkę nowego ze starym. W związku z tym to przede wszystkim w odniesieniu do terenu wiejskiego i „frontu” walki z Kościołem zasadne jest postawione pytanie, gdzie upatrywano sojuszników.

Przerobiony materiał wskazuje, że sojuszników upatrywano nade wszystko wśród biednych. „Średniacy” byli nie najgorsi – ale jednak obciążeni swoim „średniactwem”. W jednym z raportów powiedziane jest o jakimś zgromadzeniu partyjnym:

„Ogólnie konferencję można ocenić dodatnio. Jak na powiat Kwidzyń, gdzie dominuje chłop średni, polityczny poziom dyskusji uważam za zadowalający” (184, k. 9).

Mogli zdarzyć się oczywiście „średniacy” szczególnie dobry – np. przesiedleńcy ze Wschodu, którzy, jak pisze jeden z instruktorów, „dostali ziemię i lepsze gospodarstwa, czują się zobowiązani wobec państwa” (243, k. 77). Rzadziej się nawet mówiło o nich „średniacy”, który to termin chyba częściej stosowano w regionach o ustabilizowanej gospodarce chłopskiej. W zestawieniu z autochtonami, bliższymi kułaków i, jak wspomniano wyżej, stwarzającymi różne problemy polityczne na tle identyfikacji państwowej, a ponadto słabo rozumianymi przez władze (ideologia nie przewidziała!), przesiedleńcy mogli nawet zasłużyć na określenie „postępowych elementów przybyłych z Ziemi Starych” (184, k. 9).

Stawiano jednak na „biedniaków”.

W konsekwencji starano się „podgrzewać” nastroje na wsi. Jeden z instruktorów przekazał w swym raporcie odręcznie napisaną uchwałę, mocą której siedmiu chłopów postanowiło zabrać zboże znalezione w stodole u kułaczki oraz „wskazać całej gromadzie [tego] wroga Polski Ludowej” (181, k. 137). Inna sprawa jak często zdarzały się takie wypadki. Z rozważanego punktu widzenia charakterystyczne są jednak głosy instruktorskie, że np. „została przełamana bierność biednego chłopca, który dzisiaj przyjmuje aktywny udział przy omłotach w majątkach kułaków, widać z tego, że walka klasowa na wsi Rzeszowskiej pogłębia się” (243, k. 148). Charakterystyczna jest pojawiająca się w innym dokumencie opinia, iż „chłop prosty dziś lepiej rozsądzi jak wykształcony sędzia” (242, k. 41). Tylko analogiczne znaczenie mogło mieć też ciągłe akcentowanie „walki klasowej” na wsi, stwierdzanie potrzeby uwzględniania „klasowej treści” wszystkiego, stawianie na biedotę np. w spółdzielczości mleczarskiej, branie w obronę biednych w różnych sytuacjach życiowych i chętnie załatwianie ich spraw – relatywnie drobnych, ale ważnych w kategoriach osobistych.

Nawet w walce z Kościołem odwoływano się do podobnej poetyki: wychwytywano momenty pozwalające przedstawić tę instytucję bądź (i) jej przedstawicieli jako wyzyskiwaczy, przeciw którym biedota winna się zbuntować. W jednym z cytowanych wyżej raportów podano, że proboszcz wołał, iż 1 maja chłopci winni u niego orać ziemię w miejsce udziału w uroczystości (181, k. 210). Podczas zebrania w Tczewie podniesiono, że robotnicy rolni w majątkach biskupich nie otrzymali kart odzieżowych i zalegano im z poborami oraz innymi należnościami (184, k. 1). Opisujący te fakty (nie da się wykluczyć, że prawdziwe!) instruktor przytaczał wypowiedź jednego z mówców, iż administrator majątku winien się obawiać Komitetu Folwarcznego (184, k. 1: „byliśmy dotychczas kowadłem, a oni młotem, teraz jest odwrotnie”).

Drugiego obok biedoty potencjalnego sojusznika – a przynajmniej grupę, którą chciano pozyskać – stanowiły kobiety. Aktywizacja polityczna kobiet dobrze sytuowała się w całej koncepcji przejścia od „starego” do „nowego” (podob-

nie jak aktywizacja zawodowa kobiet!). Domniemywano, że księża mają większy wpływ na kobiety, a więc dążenie do ich pozyskania było jednocześnie formą działania przeciwko Kościołowi (205, k. 7: „Każda kobieta po nieszpórach wraca do domu z klerikalną prasą, która w dalszym ciągu ogłupia naród”). Sądzono, iż żony mają istotny wpływ na mężów – a więc również ze względu na owych mężów należało je przeciągnąć na swoją stronę. Były zresztą powody, by tak sądzić. W analizowanych raportach pojawia się wątek, że na zebrania przybywają kobiety (prosto z kościoła!) by przeszkodzić w obradach oraz zabrać mężów do domu.

Nawet jeśli o świadomości aktywistów partyjnych nie świadczyło najlepiej, że ich postawa wymagała wsparcia przez kobiety, to domorośli socjotechnicy PZPR dobrze wiedzieli, iż przyciągnięcie całej rodziny daje większą gwarancję wierności niż przyciągnięcie poszczególnych jej członków. Zdawano sobie także sprawę z oczywistości – a mianowicie z tego, że kobiety mają podstawowy wpływ na wychowanie następnego pokolenia (242, k. 7: „kobiety mają największy wpływ na wychowanie, a są pod wpływem kleru”). Przekonana do partii żona oznaczała wierniejszego PZPR męża, dzieci wychowane we właściwym duchu i obecność „sił postępu” w opłotkach rodzinnych przez 24 godziny na dobę. Nawiasem mówiąc, nie przypadkowo w PRL zatrudniano całe rodziny w szczególnie ważnych komunistycznych służbach – policyjnych czy ideologicznych.

W konsekwencji w raportach pojawiają się obserwacje i zalecenia takie, jak poniższe, formułowane czy to przez samych instruktorów, czy odnotowywane przez nich podczas zebrań partyjnych:

- „kobiety trzeba wyrwać spod wpływów klerikalnych” (205, k. 67);
- „być czujnym wobec dewotek, bo księża swoją robotę robią za konfesjonałem” (242, k. 2);
- „[należy] wzmocnić kampanię za spółdzielnią produkcyjną w oparciu zwłaszcza o kobiety” (245, k. 30);
- „marsz do socjalizmu przyspieszy wciągnięcie do aktywnej pracy partyjnej kobiet, zwłaszcza żon aktywistów partyjnych” (205, k. 67).

W ramach „pracy nad kobietami” (żargon analizowanych dokumentów!) starannie odnotowywano, ile spośród nich uczestniczyło w różnego typu zebraniach. W pozytywnym kontekście zwracano uwagę na wypowiedzi kobiet na forum partyjnym. Starano się zwiększyć ich udział w PZPR. Organizacje i instancje partyjne krytykowano za niepoświęcanie sprawom kobiet dostatecznej uwagi. „Istnieje poważny brak pracy na odcinku pracy wśród kobiet, mimo kilkakrotnego ponawiania prób zorganizowania Koła Gospodyń Wiejskich” – pisał instruktor po wizytacji jednej z organizacji partyjnych w powiecie Miechów (209, k. 53). Sygnalizowano, iż do kobiet można trafić „przez zorganizowanie kursów kroju, szycia, przetwórstwa i w ten sposób odgradzić [je] od wrogiej twórczości” (243, k. 117). Z satysfakcją odnotowywano, iż np. żona jednego z funkcjonariuszy partyjnych „była religijna, ale teraz czyta *Chłopską Drogę* i księży nienawidzi” (242, k. 7).

Kolejną grupą, w której PZPR z oczywistych powodów szukała sojuszników, byli nauczyciele. Analizowane raporty poświęcały dużo uwagi ich udziałowi w zebraniach partyjnych. Wizytatorzy nie omieszkiwali zaznaczyć, gdy cytowana w raporcie wypowiedź pochodziła od nauczyciela. Paradoksalnie dla analogicznych powodów na podobną uwagę zasłużyły w jednym z raportów sklepowe:

„W organizacji nie ma ani jednej sklepowej, a jak wiemy sklepowa jest w bezpośrednim styku ze społeczeństwem i nie zawsze jej postawa jest właściwa, szczególnie wtedy, kiedy notuje się brak niektórych artykułów” (230, k. 82).



Jaki był rezultat owych ciężkich prac nad eliminowaniem jednych sił, a przyciąganiem innych? Obraz, jaki rysuje się w analizowanych aktach, świadczy, że raczej marny – nawet jeśli się pamięta wspomniany już wyżej, założony w funkcji wizytatora czynnik krytycznego podejścia. Prawda, że w raportach nie odbijają się w znaczącej skali akty czynnego oporu wobec nowego systemu. Gdzieś się wspomina powołany wyżej fakt zniszczenia czerwonych gwiazd przez ZMP-owców, gdzie in-

dziej oblanie atramentem dekoracji pierwszomajowych (180, k. 223), namalowanie antypaństwowych napisów na parowozach (179, k. 123), rozrzucenie ulotek (184, k. 60), „szeptaną propagandę” (179, k. 123), w paru wypadkach strajki... W rzeczywistości takich faktów było oczywiście więcej niż odnotowywano w raportach; wizytatorzy nie takimi, jawnie zdeklarowanymi, indywidualnymi czynami mieli się zajmować i nie w ich raportach znajdowały one odzwierciedlenie. Nawet jednak, gdy się ma tę okoliczność na uwadze, nie fakty otwarcie wrogiej działalności robią wrażenie w zarysującym się obrazie. Wrażenie robi powszechna niemoc, jakby może nie do końca uświadomiony bierny opór. Wrażenie robi częstotliwość zachowań, o których wręcz trudno powiedzieć, czy należy je kwalifikować jako opór – ale które sprawiają, że PZPR ciągle walczy jakby z oporem materii. Nie tyle z oporem ducha, bowiem tego już mało widać poza sprawą Kościoła – ale właśnie z oporem materii, wyrażającym przynajmniej brak entuzjazmu ducha. Partia marnie działa, jej organizacje są małe, bez wpływów i społecznego poparcia, zrutyinizowane, aktywizujące się doraźnie, bez strategii. Niektórzy ich członkowie przy okazji akcji zjednoczeniowej starają się zniknąć, a członkowie terenowych organizacji nie sprawdzają się. Nowi członkowie przybywają w zbyt nikłym stopniu. Wszyscy – partyjni i bezpartyjni – są ślamazarni. Wielu – partyjnych i bezpartyjnych – jest skorumpowanych, nieuczciwych, amoralnych. Pieniądzy na pożyczkę narodową chłopci nie chcą dawać; zasłaniają się argumentem, że pożyczek nie oddawała ani sanacja, ani Niemcy, ani Sowieci – a więc władzy ludowej też nie ma co pożyczać (182, k. 5). Do spółdzielni chłopci również nie chcą przystępować. Skup zboża kuleje mimo wprowadzenia specjalnych świadectw uznania (sic!) dla rolników terminowo odstawiających produkty (181, k. 138). W jakiejś miejscowości – według słów instruktora – „miejscowe społeczeństwo jest skłonne do podtrzymywania i komentowania każdej wrogiej propagandy” (182, k. 5), zaś gdzie indziej „sala czeka na najmniejsze potknięcie się referenta” (179, k. 38).

Nie widać w analizowanych raportach masowego, aktywnego przeciwstawiania się komunistom – ale nie widać też szerszego dla nich poparcia. Dominuje poczucie tymczasowo-

wości, postawa wyczekująca. Nowemu ustrojowi nic doraźnie i konkretnie nie zagraża – ale nowy ustrój z trudem toruje sobie drogę w Polsce „powiatowej”.

Skądinąd owa Polska „powiatowa” nie rysuje się w analizowanym materiale pociągająco. Nie miejsce tu na dyskusję, czy jej mała atrakcyjność wynikała z winy mniej czy bardziej dawnego stanu „przyrodzonego”, czy z winy komunistów, czy w końcu ze zlania się dawnego stanu z działaniami często nie skądinąd, jak właśnie z Polski „powiatowej”, wywodzących się komunistów.



Przy czytaniu analizowanych raportów zastanawia jaką w gruncie rzeczy rolę mieli odgrywać wysyłani w teren instruktorzy Wydziału Organizacyjnego KC PZPR. O kilku elementach tej roli już wspominaliśmy wyżej. Wróćmy jednak do tej kwestii.

Wysłannicy mogli oczywiście występować w roli informatorów o rzeczywistości istniejącej w terenie. Wobec braku badań opinii publicznej i prawie całkowitym braku, różnego typu socjologicznych badań terenowych (których właśnie przecież nie chciano!), panujący system polityczny dysponował dwoma podstawowymi kanałami informacji: partyjnym i bezpieczeniackim. Policja z natury była mniej zainteresowana w upiększaniu rzeczywistości niż kolejno ustawieni w hierarchii sekretarze. Można powiedzieć więcej: dla uzasadnienia swego istnienia policja była wręcz zainteresowana w donoszeniu o mało radosnym stanie rzeczy. Instruktorzy Wydziału Organizacyjnego mogli być wysyłani po to, by aparat KC dysponował własnym kanałem, lepszym od hierarchicznej partyjnej siatki przetwarzania informacji – a niezależnym od UB. Przeczy temu jednak, jak się zdaje, małe wykorzystanie analizowanych raportów. W każdym razie mało śladów wykorzystywania pozostało na nich samych.

Druga możliwa rola przypisana instruktorom to rola łącznika z terenem. W ramach ówczesnej oficjalnej ideologii aparat musiał utrzymywać z nim kontakt – a tego nie zapewniało kierowanie sprawami za pośrednictwem partyjnej struk-

tury. Nie jest zresztą powiedziane, że na owej strukturze zawsze chciano w pełni polegać. W ramach logiki działania partii komunistycznej nie mogło być tak, że jakaś komórka dowiadywała się o sprawach z raportu, który naturalną drogą przeszedł przez kolejnych sekretarzy aż do góry – a potem spadał na właściwe biurko instruktora Wydziału Organizacyjnego. Wydział, który by o jakiejś ważnej sprawie nie wiedział i dowiadywał się o niej w ten sposób, wykazywałby się zapewne karygodnym brakiem czujności.

Trzecia możliwość to ta, że rola wysyłanych instruktorów była zdefiniowana zawartą w systemie wiarą w człowieka. Brzmi to śmiesznie, gdy się zważy głęboką nieufność, jaką ludzie w tym systemie byli otoczeni – ale sprzeczność jest pozorną. W ramach logiki systemu o wszystkim decydowali ludzie. Wbrew teoretycznemu marksizmowi nie warunki, nie sytuacje, nie układ instytucjonalny, nie gry rozlicznych sił – lecz ludzie. Ich trzeba było ustawić do pracy, bodźcować, nakierowywać, wspierać... i wystawić rachunek, gdy coś nie wychodziło. Skoro bowiem podstawowe dane sytuacji były jakoby z założenia dobre, to wszystko, co nie wychodziło, mogło być skutkiem jedynie błędów „subiektywnych” (terminologia z epoki). W konsekwencji centralny orientator i bodźcownik musiał mieć jak najbliższy kontakt z ludźmi w terenie. Najważniejszy wydział w KC – Wydział Organizacyjny – musiał mieć poczucie, że oddziałuje na partię w sposób możliwie najbardziej bezpośredni i swym instruktorom wyznaczył rolę instrumentu realizacji takiego celu.

Instruktorzy dwoili się i troili. Przemierzali setki kilometrów i zapisywali setki stron. Wielu z nich na pewno działało z oddaniem i w dobrej wierze. Nie da się wykluczyć, iż – odwrotnie niż to powiedziano w jednym z cytowanych powyżej dokumentów – ludzie byli nieraz lepsi niż partia.

Dziś z tych wszystkich wysiłków pozostała jedna i jedyna rzecz wartościowa – ich produkt uboczny w postaci teczek w archiwum. Są one dobrym źródłem dla poznania, jak rozpatrywany system działał na co dzień – na styku ideologii, aparatu władzy, przeciętnych ludzi i bieżącego życia – co w naszym przekonaniu stanowi jedno z najważniejszych zagadnień w badaniu komunizmu.

Prowadząc naszą sondę, chcieliśmy zobaczyć nie wielkie, pokazowe procesy sądowe i nie zarządzenia władz centralnych (co *nb.* historycy przebadają stosunkowo najszybciej), ale ten banalny dzień codzienny, wahający się między śmiesznością a niewygodą. Chcieliśmy zobaczyć przeżywających go szarych ludzi, których historia ustawiła po różnych stronach. Chcieliśmy zobaczyć tę sytuację, w której może nie było największych dramatów, ale która była banalnie zła. Nieskromnie powiemy, że chcieliśmy napisać naszą krótką pracę „O banalności zła”.

*Wojciech GROCHALA, Tomasz KĘDZIORA,
Michał KIELAK, Jacek KODYM, Marcin KULA,
Tadeusz MARKIEWICZ, Dionizy SMOLEŃ*

Andrzej GRZYWACZ, Grzegorz MAZUR

LOTNICTWO POLSKIE W PLANIE OPERACYJNYM „WSCHÓD”

Początek lat trzydziestych XX wieku kojarzy się z brzeziennymi w skutki wydarzeniami politycznymi i wojskowymi na europejskiej scenie politycznej. Dojście do władzy Hitlera i następujące w ślad za tym najpierw tajne a od 1935 r. już jawne zbrojenia, z drugiej zaś strony gwałtowny wzrost ilościowego i jakościowego potencjału militarnego ZSSR zakreślały malejące pole możliwości polityczno-wojskowych II Rzeczypospolitej. Prowadzone w minionym okresie wysiłki zmierzające do opracowania podstaw planów operacyjnych na wypadek wojny z Niemcami lub ze Związkiem Sowieckim nie znalazły zwieńczenia w postaci gotowych dokumentów. Wydarzenia międzynarodowe, które w sposób zasadniczy przewartościowały układ wypadkowych, niezbędnych do określenia dla kontynuowania jakichkolwiek sztabowych prac planistycznych na szczeblu strategicznym, zdeaktualizowały część wcześniej uzgodnionych ustaleń i wymagały zrewidowania poglądów, do niedawna jeszcze stanowiących fundamenty polskiego planowania wojennego. 12 IV 1934 r. odbyła się w Generalnym Inspektoracie Sił Zbrojnych (GISZ) konferencja, w której udział wzięli inspektorzy armii, generałowie do prac GISZ-u wraz z oficerami swych sztabów, wreszcie minister spraw zagranicznych Józef Beck i jego

zastępca Jan Szembek. W trakcie posiedzenia Piłsudski postawił przed zebranymi pytanie: „Które z tych państw jest niebezpieczniejsze dla Polski i prędzej niebezpiecznym stać się może? Rosja czy Niemcy?”¹ Z dziewiętnastu generałów i pułkowników uczestniczących w ankiecie trzech wskazało na jednoznaczne zagrożenie ze strony ZSSR w najbliższych latach, trzech kolejnych nie sprecyzowało do końca swego stanowiska, wskazując na zagrożenie płynące ze strony obu sąsiadów, zaś trzynastu jednoznacznie określiło Niemcy, jako najbardziej niebezpiecznego przeciwnika. Pomimo tej opinii Generalny Inspektor podtrzymywał swoje przeświadczenie o konieczności koncentracji wysiłków nad przygotowaniem planu działań na wschodzie². Zgon marsz. Józefa Piłsudskiego postawił trudne zadania przed jego następcą – nowym Generalnym Inspektorem, generałem dywizji, a od listopada 1936 r. marszałkiem Edwardem Śmigłym-Rydzem, oraz nowym szefem Sztabu Głównego gen. Wacławem Stachewiczem.

Cały złożony zespół czynników wewnętrznych i międzynarodowych musiał doprowadzić do podjęcia koniecznych ustaleń, wyznaczających nowe priorytety dla studiów planistycznych. Niezwykle istotne stało się określenie, który z dwóch wielkich sąsiadów Polski może stanowić dla niej największe zagrożenie w najkrótszym przedziale czasu. Odpowiedź na to pytanie pociągała za sobą niejako automatycznie skoncentrowanie gros wysiłków koncepcyjnych nad opracowaniem planu wojny. Aby wybór priorytetu był najbardziej trafny w Sztabie Głównym podjęto z końcem 1935 r. wysiłki nad określeniem tempa i zakresu zbrojeń niemieckich, w celu ustalenia kiedy III Rzesza odbuduje na tyle swoje siły zbrojne, by możliwe stało się podjęcie przez nią ryzyka wojny dwufrontowej. Jednak jeszcze przed ujrzaniem światła dziennego przez Studium „Niemcy” Sztabu Głównego, Generalny Inspektor podjął decyzję o przyznaniu pierwszeństwa pracom

1. Cyt. za „Polski czyn zbrojny w II wojnie światowej. Wojna obronna Polski 1939”, Warszawa 1979, s. 51.

2. „Polski czyn...”, s. 51; A. Suchcitz, „Plany polskiej strategii obronnej”, w: „Napaść sowiecka i okupacja polskich ziem wschodnich (wrzesień 1939)”, Kraków 1988, s. 25-26.

nad Planem Operacyjnym „Wschód”. Zapadła ona najprawdopodobniej jesienią 1935 r.³ Gen. Stachiewicz, zaraz po przyjęciu obowiązków szefa Sztabu Głównego, zaznajomił się ze stanem zaawansowania prac, stwierdzając niemal całkowitą koncentrację wysiłków oddziałów Sztabu na zagadnieniach frontu wschodniego. Wytyczne do planu zostały ustalone przez gen. Śmigłego-Rydza w 1936 r., po czym szczegółowe prace nad nim znalazły się w rękach Sztabu Głównego oraz inspektorów armii. O takim właśnie trybie pracy można wnioskować zarówno ze wspomnień gen. Stachiewicza jak i z praktyki w podobnych przypadkach, kiedy to wysiłki planistyczne prowadzono dwutorowo, zarówno w ramach Sztabu Głównego, jak i w formie studiów operacyjnych poszczególnych odcinków frontu, zleczanych właściwym inspektorom armii⁴. Główne natężenie nad opracowaniem planu przypadło na lata 1937-1938. W zasadniczej części ukończono go w lutym-marcu 1939 r., a na początku marca został zatwierdzony przez marsz. Śmigłego-Rydza⁵.

Za takim a nie innym rozwiązaniem przemawiało szereg uwarunkowań. Położenie wojskowe Polski wobec Związku Sowieckiego przedstawiało się znacznie mniej korzystnie od położenia wobec III Rzeszy. W konflikcie z ZSSR słabym oparciem dla armii polskiej mogła służyć jedynie Rumunia,

3. Suchcitz, „Plany...”, s. 25-26; S. Feret, „Polska sztuka wojenna 1918-1939”, Warszawa 1972, s. 89-90; „Wojna obronna Polski 1939. Wybór źródeł”, Warszawa 1968, dok. 3, s. 30; R. Szubański, „Plan operacyjny ‘Wschód’”, Warszawa 1993, s. 60.

4. Suchcitz, „Plany...”, s. 26; Szubański, „Plan...”, s. 60; „Polskie Siły Zbrojne w drugiej wojnie światowej”, t. I „Kampania Wrześniowa 1939”, cz. 1 „Polityczne i wojskowe położenie Polski przed wojną”, Londyn 1951, s. 111; W. Stachiewicz, „Pisma”, t. I „Przygotowania wojenne w Polsce 1935-1939”, Paryż 1977, s. 178-180; A. Szychowski, „Przygotowanie kolejnictwa w Polsce do potrzeb mobilizacji i wojny w latach 1929-1939 oraz Kampania Wrześniowa 1939 r. Relacja (wspomnienia)”, Szczecin 1960, WIH, MID, I/2/16, s. 7-9; „Zarys dziejów wojskowości polskiej w latach 1864-1939”, Warszawa 1990, s. 611-612.

5. Feret, „Polska...”, s. 91; PSZ, t. I, cz. 1, s. 111; Stachiewicz, „Pisma”, t. I, s. 179-180, 188; Suchcitz, „Plany...”, s. 26; Szubański, „Plan...”, s. 60; Szychowski, „Przygotowanie...”, s. 9; S. Kopański, „Wspomnienia wojenne 1939-1946”, Warszawa 1990, s. 20.

pomoc ze strony Francji mogła wchodzić w grę jedynie w postaci dostaw materiału wojennego. W kierownictwie Wojska Polskiego zakładano, że gros sił Armii Czerwonej zostanie rzuconych przeciwko Polsce, jako że Związek Sowiecki nie musiał się liczyć z jakimś poważniejszym zagrożeniem swoich pozostałych granic⁶. Niebezpieczeństwo agresji niemieckiej brano pod uwagę dopiero w chwili osiągnięcia przez III Rzeszę takiego poziomu zbrojeń, który umożliwiłby Hitlerowi prowadzenie wojny dwufrontowej, z czym liczone się dopiero w 1940 r., a na pewno nie wcześniej jak w 1939 r. Znacznie groźniej od potencjału Wehrmachtu przedstawiała się wówczas możliwość bojowe Armii Czerwonej. Wszystkie te czynniki skłoniły Generalnego Inspektora do określenia prac nad opracowaniem Planu Operacyjnego „Wschód” jako zadania priorytetowego⁷.

Zapadłe decyzje wyznaczały kierunki prowadzonych prac. Pierwsza grupa zagadnień, których opracowanie stanęło przed kierownictwem wojskowym, zwiększała możliwości prowadzenia wojny tak ze Związkiem Sowieckim, jak z Niemcami. Chodziło tu przede wszystkim o przygotowanie resortów cywilnych do pracy w warunkach wojennych, rozbudowę potencjału sił zbrojnych i przemysłu wojennego, doskonalenie organizacji armii, wreszcie konstruowanie planu mobilizacyjnego wspólnego dla obu ewentualności. Drugą grupę zagadnień stanowiły kwestie wymagające oddzielnych studiów w ramach wypadku „R” i „N” – a więc przede wszystkim zagadnienia operacyjne – i tej grupy dotyczył wyraźnie priorytet określony przez Generalnego Inspektora. Zacząć należało od stworzenia dostosowanego do nowych uwarunkowań planu mobilizacyjnego, w czym główna rola musiała przypaść Oddziałowi I. Zgodnie z tym Oddziały III i IV musiały podjąć studia nad planami operacyjnymi oraz zaopatrzenia materiałowego. Zwieńczeniem wysiłków stałoby się opracowanie

6. Zwraca uwagę pominięcie zagrożenia ze strony Japonii.

7. Suchcitz, „Plany...”, s. 27-28; PSZ, t. I, cz. 1, s. 111; Stachiewicz, „Pisma, t. I, s. 51-52; M. Jabłonowski, P. Stawecki (wyd.), „Studium planu strategicznego Polski przeciw Niemcom Kutrzeby i Mossora”, Warszawa 1987, s. 45-55; E. Kozłowski (wyd.), „Studium gen. Tadeusza Kutrzeby nad możliwościami wojennymi Niemiec i Polski”, *WPH*, nr 3/1964, s. 256.

planu transportowego przez Szefostwo Komunikacji Wojskowych. Nie brano pod uwagę w rozważaniach wypadku „R+N”, i to z dwóch zasadniczych przyczyn. Po pierwsze, zarówno establishment polityczny jak i wojskowy nie liczył się poważnie z możliwością współpracy sowiecko-niemieckiej. Zmora Rapallo miała należeć do bezpowrotnej przeszłości a konflikty ideologiczne i sprzeczność interesów pomiędzy dotychczasowymi sojusznikami oceniano jako nie do pogodzenia. Stąd nadzieje na trwałą wrogość hitlerowskiej Rzeszy i stalinowskiego ZSSR traktowano jako czynnik stały, wykluczający konieczność podejmowania wysiłków nad konstruowaniem wariantu „R+N”. Pomyślnie rozwijające się odprężenie w stosunkach polsko-niemieckich sprzyjało utrwalaniu się tego poglądu. Z drugiej strony, gdyby nawet obaj sąsiedzi Polski zdecydowali się wspólnie podjąć z nią wojnę, to nawet najlepszy polski plan nie byłby w stanie zrównoważyć druzgoczącej przewagi potencjału wojskowego i wojennego przeciwników. Działania wojenne musiałyby się ograniczyć do demonstracji wojskowej, gdyż wszelkie plany nie miały nawet najmniejszych realnych podstaw. W tej sytuacji, biorąc pod uwagę ograniczone możliwości prowadzenia prac sztabowych, formułowanie wariantu „R+N” nie miało sensu, wobec czego zaniechano jakichkolwiek wysiłków w tym kierunku⁸.

Prezentowany poniżej dokument zawiera sprecyzowane zapewne w najbliższym otoczeniu marsz. Śmigłego-Rydza ogólne wytyczne do opracowania szczegółowej koncepcji użycia lotnictwa w ramach Planu Operacyjnego „Wschód”. Założenia miały służyć jako podstawa do dalszych prac sztabowych w ramach Sztabu Głównego i Sztabu Lotnictwa. Tekst przedstawiony jest bez jakichkolwiek zmian – drobne poprawki dotyczą jedynie interpunkcji oraz pisowni niektórych wyrazów. Oryginał w formie maszynopisu znajduje się w Centralnym Archiwum Wojskowym w Warszawie-Rembertowie, zespół Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych, sygnatura 302.4.345. Wszelkie przypisy pochodzą od wydawców. Strona tytułowa dokumentu zawiera następujące napisy:

8. Stachiewicz, „Pisma”, t. I, s. 53-54; Suchcitz, „Plany...”, s. 28; Szychowski, „Przygotowanie...”, s. 8-9.

Maj 1938 w lewym, górnym rogu, oraz dwie pieczęcie w prawym, górnym rogu: 1. *Mob.* i 2. *T.O.*; poniżej pieczęcie: *Zat. Nr 1. Do L. dz. 140 mob./III 38*; w środkowej części strony tytuł dokumentu: *Ogólne wytyczne użycia lotnictwa*.

Dla lepszego naświetlenia problemu wskazane byłoby przedstawienie potencjału i doktryny użycia sowieckiego lotnictwa wojskowego. Lata trzydzieste oznaczały dla lotnictwa burzliwy rozwój. W Ludowym Komisariacie Obrony powstało nowe stanowisko, zastępcy komisarza d/s lotniczych. Organizacyjnie lotnictwo dzieliło się na lotnictwo lądowe, lotnictwo morskie, wojska balonowe i lotnictwo NKWD⁹. Ze względu na rodzaje zadań jakie przed nim stały wyróżniano lotnictwo myśliwskie, rozpoznawcze, szturmowe, bombowe lekkie i ciężkie oraz transportowe¹⁰. Na czele lotnictwa stał zastępca komisarza obrony ZSSR do spraw lotniczych, pełniący równocześnie funkcję dowódcy sił powietrznych Armii Czerwonej (Jakow Ałksnis). Jego pierwszy zastępca (Wasilij Chripin) stał na czele lotnictwa specjalnego przeznaczenia. W każdym okręgu wojskowym istniała funkcja pomocnika dowódcy okręgu do spraw lotniczych, stojącego z urzędu na czele lotnictwa bojowego okręgu wojskowego. Do jego kompetencji należało zwierzchnictwo nad wszystkimi siłami lotniczymi stacjonującymi w danym okręgu, z wyjątkiem szkół lotniczych oraz lotnictwa specjalnego przeznaczenia podporządkowanego władzom centralnym (podlegało mu tylko w zakresie zaopatrzenia materiałowo-technicznego). Dysponował on ponadto magazynami materiału lotniczego¹¹. Podczas pokoju lotnictwo przydzielano wojskom lądowym jedynie na czas ćwiczeń¹².

Operacyjnie lądowe siły powietrzne dzieliły się na:

- lotnictwo specjalnego przeznaczenia
- samodzielne brygady lotnicze

9. II Oddział SG, „Lotnictwo ZSRR”, 1937 r. (?), CAW, II Oddział SG, 1775/89/1131.

10. MSWojsk., Departament Piechoty, „Obrona przeciwlotnicza piechoty sowieckiej i niemieckiej”, 24 VI 1937, CAW, GISZ, 302.4.578.

11. II Oddział SG, „Lotnictwo...”.

12. II Oddział SG, „Historia powstania armii”, elaborat II Oddziału SG pochodzący najprawdopodobniej z 1929-1930 r., CAW, II Oddział SG, 1775/89/1000.

– lotnictwo organiczne wielkich jednostek¹³.

Lotnictwo specjalnego przeznaczenia (AON) zostało utworzone w 1936 r. w celu skoncentrowania pod jednolitym dowództwem ciężkich bombowców. Sformowano je z oddziałów ciężkich bombowców zlokalizowanych w europejskiej części Rosji. Składało się z 8-10 brygad. Z 8 brygad utworzono 4 korpusy ciężkich bombowców. Dowódca AON miał do dyspozycji własny sztab. Każdy korpus AON posiadał dowództwo i 2 brygady ciężkich bombowców. Etat wojenny brygady przewidywał dowództwo, 4 dywizjony ciężkich bombowców, 1 dywizjon dalekiego rozpoznania, park lotniczy, kompanię łączności i służby. W dywizjonie znajdowały się 3 eskadry po 4 samoloty (łącznie 12 maszyn).

Wśród samodzielnych brygad lotniczych wyróżniano bombowe, szturmowe, myśliwskie, liniowe i desantowe. Organizacja sztabu oraz eskadr była identyczna jak w AON, natomiast duże różnice zaznaczały się w kwestii ilości dywizjonów oraz liczebności eskadr. Brygady lotnictwa bombowego wyposażano w 4-5 dywizjonów i dodatkowo „flagmanskij klucz” (3 samoloty), dla dowodzenia w powietrzu. Ponieważ eskadry posiadały na wyposażeniu po 3 samoloty, dywizjon dysponował siłą 19 samolotów (18 + maszyna dcy). Brygady szturmowe liczyły 4 dywizjony. W eskadrach znajdowało się po 7 samolotów – razem w każdym dyonie 22 płatowce. W brygadach myśliwskich znajdowały się 4 dyony. Każda eskadra miała na stanie 10 maszyn (dyon – 31 samolotów). Zamiast kompanii łączności w składzie brygady znajdował się batalion. Każda brygada liniowa posiadała od 3 do 5 dywizjonów. W eskadrach znajdowało się po 6 płatowców (w dyonie – 19). W Rosji Europejskiej funkcjonowały ponadto 2 brygady mieszane, utworzone ze zmiennej ilości dywizjonów różnych rodzajów lotnictwa. Brygady desantowe znajdowały się – wg ocen II Oddziału – w stadium formowania (liczono się z dwiema brygadami utworzonymi z przeformowanych innych jednostek). Podejrzewano, że mogą one stanowić część AON.

Lotnictwo organiczne wielkich jednostek występowało w

13. II Oddział SG, „Lotnictwo...”.

zróżnicowanych formach:

– samodzielna eskadra na szczelbu korpusu strz., korpusu kawalerii, korpusu z mech., brygady czołgów: 3 klucze po 3 samoloty + maszyna d-cy (razem 10 sztuk);

– klucz lotniczy na szczelbu dywizji strz. i dywizji kawalerii: 3 samoloty.

Wojska balonowe składały się z dywizjonów balonowych. Etaty przewidywały balony obserwacyjne i zaporowe. Niektóre z dywizjonów dysponowały sterowcami.

Lotnictwo morskie zorganizowane było z dwóch typów brygad: myśliwskich i ciężkich bombowców. Te ostatnie nie zaliczały się do AON. Skład brygad nie odbiegał od lotnictwa wojsk lądowych.

Lotnictwo NKWD podlegało Ludowemu Komisariatowi Spraw Wewnętrznych. Do jego głównych zadań należała policyjna ochrona pasa nadgranicznego. Większość samolotów NKWD zorganizowano w eskadry, niekiedy w dyony¹⁴.

Rozbudowa lotnictwa w drugiej połowie lat trzydziestych nabrała tempa. Zmieniał się procentowy udział poszczególnych jego rodzajów. Dane polskiego II Oddziału lokalizowały na obszarze ZSSR 49 brygad lotniczych. Aż 45% miało stacjonować w pobliżu zachodnich granic państwa¹⁵. W 1938 r. sowieckie siły powietrzne przeszły poważną reorganizację. W rezultacie analizy doświadczeń wojny domowej w Hiszpanii oraz konfliktu w Chinach zdecydowano się uczynić z pułku podstawową jednostkę taktyczną lotnictwa wojskowego. Równolegle zmniejszono liczebność dywizjonów do 12-15 maszyn (4-5 kluczy). W skład pułków bombowych i szturmowych wchodziło 5 dywizjonów, zaś pułki ciężkich bombowców i myśliwców dysponowały 4 eskadrami. Zreorganizowano tyły lotnicze. Likwidacji uległy parki, zastąpione bazami lotniczymi, wchodzącymi w skład okręgów lotniczych. Zadaniem każdej bazy było obsługiwanie do 2 pułków

14. Ibidem; „Historia sztuki wojennej do roku 1939”, Warszawa 1967, s. 529.

15. M. Zgórnjak, „Europa w przededniu wojny”, Kraków 1993, s. 215. Gen. Kutrzeba w lutym 1938 r. oceniał liczebność sowieckich sił lotniczych na 4 korpusy – ogółem 45 brygad (Jabłonowski, Stawecki, „Studium planu strategicznego...”, s. 58).

lotniczych. Na początku 1939 r. sowieckie lotnictwo wojskowe obejmowało 3 armie, 38 brygad i 115 pułków¹⁶. Szacunkowo można przyjąć, że liczba maszyn osiągnęła 5.520 – 8.682 płatowce¹⁷.

Sowiecka doktryna użycia wojsk lotniczych powstała dość wcześnie. Podstawowe poglądy zawarte zostały w pracy prof. Aleksandra Łapczyńskiego „Wozdusznyje siły w boju i operacji”, wydanej w 1932 r. Instrukcja w sprawie samodzielnego użycia lotnictwa Armii Czerwonej ukazała się w 1936 r. Druga połowa lat trzydziestych przyniosła opracowanie instrukcji oraz podręczników odnoszących się do działań poszczególnych rodzajów lotnictwa¹⁸. Projekt regulaminu polowego z 1939 r. głosił, że *lotnictwo dysponuje groźną bronią, osiąga dużą prędkość lotu i może działać na znaczną odległość. Stanowi ono potężny środek niszczenia siły żywej i sprzętu technicznego nieprzyjaciela, zwalczania jego lotnictwa i burzenia ważnych obiektów. Lotnictwo współdziała z wojskami lądowymi w skali operacyjnej i taktycznej, wykonuje samodzielne ataki powietrzne na obiekty położone na głębokim zapleczu nieprzyjaciela i prowadzi walkę z jego lotnictwem, zapewniając sobie panowanie w powietrzu*¹⁹. Główne zadanie lotnictwa wiązało się ze współdziałaniem z własnymi wojskami lądowymi. Podczas działań ofensywnych, realizowanych zgodnie z teorią głębokiej operacji zaczepnej, lotnictwo powinno wywalczyć panowanie w powietrzu, wspierać wojska lądowe w trakcie przełamywania taktycznej strefy obrony, osłaniać własne wojska i tyły przed nieprzyjacielskimi nalotami, bombardować odwody operacyjne i strategiczne wroga oraz niszczyć ważne obiekty na jego tyłach, zabezpieczać wprowadzenie w

16. „Historia II wojny światowej”, t. II „W przededniu wojny”, Warszawa 1977, s. 262-263.

17. Zgórniak, „Europa...”, s. 216. Podczas rokowań wojskowych w Moskwie B. Szaposznikow podał liczbę 5.000-5.500 myśliwców i bombowców w europejskiej części ZSSR, R. Nazarewicz (wyd.), „Międzynarodowe tło agresji Rzeszy Niemieckiej na Polskę w 1939 roku. Wybór dokumentów”, Warszawa 1986, dok. 44, s. 123.

18. Zgórniak, „Europa...”, s. 223.

19. Cyt. za: M. Kożewnikow, „Dowodzenie lotnictwem radzieckim w drugiej wojnie światowej”, Warszawa 1981, s. 37.

wyłom wojsk II rzutu oraz ich działania, wysadzać desanty powietrzne i wspierać ich działania, zaopatrywać własne wojska drogą lotniczą, wreszcie prowadzić rozpoznanie lotnicze. Formy walki o panowanie w powietrzu mogły być zróżnicowane. W latach dwudziestych dominowało przekonanie o wyłącznej roli walk powietrznych dla wywalczenia panowania w powietrzu. Od początku lat trzydziestych dała się zaobserwować ewolucja w kierunku przyznawania coraz większej roli lotnictwu bombowemu i szturmowemu. Myśliwce, współdziałając ze szturmowcami i bombowcami, powinny oprócz walk powietrznych dokonywać nalotów na lotniska przeciwnika w celu zniszczenia jego samolotów na ziemi. Walka o panowanie w powietrzu powinna się – zdaniem sowieckich teoretyków – rozegrać na terytorium przeciwnika. Działania obronne traktowano jako wymuszone. Pod wpływem doświadczeń wojny hiszpańskiej oraz chińsko-japońskiej koncepcje wojny powietrznej ewoluowały w kierunku rozwiązań jeszcze bardziej ofensywnych i przyznających coraz większe znaczenie niszczeniu lotnictwa nieprzyjaciela na ziemi²⁰. Sowiecka doktryna lotnicza nie była wolna od braków. Zlekceważono problem przydzielenia odpowiednio silnej osłony myśliwskiej dla innych rodzajów lotnictwa, zwłaszcza bombowego. Nie opracowano również zagadnienia współdziałania w walkach powietrznych lotnictwa na szczeblu wyższym niż front. Nadmierny nacisk położony na zaczepne elementy doktryny doprowadził do zbagatelizowania obrony przed zmasowanymi uderzeniami powietrznymi. Także kwestie związane z przygotowaniem i prowadzeniem operacji powietrznych zmierzających do zniszczenia lotnictwa nieprzyjaciela opracowano w sposób nadmiernie ogólnikowy²¹.

20. „Historia Wielkiej Wojny Narodowej Związku Radzieckiego 1941-1945”, t. I „Przygotowanie i rozpętanie wojny przez mocarstwa imperialistyczne”, Warszawa 1974, s. 571-574; S. Czumur, „Walka o panowanie w powietrzu”, Warszawa 1988, s. 125-129.

21. Czumur, „Walka...”, s. 159-160; „Historia Wielkiej Wojny...”, t. I, s. 574.

OGÓLNE WYTYCZNE UŻYCIA LOTNICTWA

Znaczna niższość liczebna własnego lotnictwa walki (myśliwskiego i bombowego) nie pozwala na rozpraszenie go tak pod względem dyspozycyjnym jak i przez obarczanie go równoczesne zbyt wielką ilością zadań. Gros tego lotnictwa zostanie skoncentrowana na szczeblu Naczelnego Wodza, jako lotnictwo dyspozycyjne.

Skład i zadanie lotnictwa dyspozycyjnego Naczelnego Wodza i lotnictwa będącego w dyspozycji dowódców armii będą różne w okresie od rozpoczęcia wojny aż do ukończenia koncentracji (okres I) i po ukończeniu koncentracji (okres II).

A. OKRES I – DO CZASU UKOŃCZENIA KONCENTRACJI

I. Lotnictwo w dyspozycji Naczelnego Wodza

1. W skład lotnictwa dyspozycyjnego Nacz. Wodza wejdzie:

- całość lotnictwa bombowego,
- znaczna część lotnictwa liniowego, jako lotnictwo, lekkie i szturmowe,
- całość lotnictwa myśliwskiego.

2. Zadania lotnictwa dyspozycyjnego Naczelnego Wodza w tym okresie są następujące:

- a) Lotnictwo bombowe i liniowe:
 - zwalczanie lotnictwa npla, przede wszystkim bombowego i myśliwskiego przez bombardowanie lotnisk,
 - przeszkadzanie nplowi w koncentracji przez niszczenie komunikacji i transportów,
 - działanie interwencyjne na polu bitwy, szczególnie przeciw w.j. pancernym i kawalerii.

Lotnictwo to będzie samo przeprowadzało rozpoznanie związane z jego zadaniem, wykorzystując jednak jak najbardziej wyniki rozpoznania lotnictwa armii.

b) Lotnictwo myśliwskie:

– całe lotnictwo myśliwskie będzie użyte do osłony transportów koncentracyjnych przed rozpoznaniem i bombardowaniem.

W wykonaniu tego zadania:

– część eskadr myśliwskich będzie wysunięta naprzód w strefę przyfrontową i rozstawiona w „zasadki”. „Zasadki” nie będą użyte ani do zwalczania nalotów bombowych, ani też do działań na froncie; ich jedyną rolą będzie zwalczanie kierujących się na nasze tyły samolotów rozpoznawczych npla, które przez rozpoznanie celów przygotowują działania lotnictwa bombowego;

– reszta lotnictwa myśliwskiego, zebrana w dwa silne zgrupowania, będzie zwalczać wyprawy lotnictwa bombowego npla w terenie położonym na północ od ogólnej linii Sarny-Kowel-Chełm i na zachód od ogólnej linii Grajewo-Białystok-Brześć-Chełm. Skuteczne przeciwstawienie się wyprawom bombowym także na południe względnie wschód od wyżej wymienionych linii, przy obecnej sile lotnictwa myśliwskiego, nie jest możliwe.

II. Lotnictwo w dyspozycji dowódców armii

1. W skład lotnictwa armii wejdą tylko jednostki lotnictwa liniowego i towarzyszącego.

2. Podstawowym zadaniem lotnictwa liniowego jest rozpoznanie dalekie (operacyjne), a głównym celem tego rozpoznania w okresie I będzie stwierdzenie, które z przewidywań dotyczących działań npla jest realizowane. Wiadomości, poszukiwane na szczeblu Naczelnego Wodza, będą w przeważającej części pokrywać się z wiadomościami poszukiwanymi na szczeblu armii, w związku z tym całe rozpoznanie dalekie będzie wykonywane przez lotnictwo armii, przy czym dowódcy armii otrzymają szczegółowe zadanie rozpoznań lotniczych na rzecz Naczelnego Wodza.

W związku z małą wartością bojową samolotów będących obecnie na wyposażeniu lotnictwa towarzyszącego eskadry liniowe będą musiały wykonywać również rozpoznanie bliskie

(taktyczne). Rozpoznanie bliskie w tym okresie nie może być jednak wykonywane kosztem rozpoznania dalekiego, którego wszystkie potrzeby muszą być zaspokajane w pierwszej kolejności.

3. Lotnictwo towarzyszące (przy obecnym wyposażeniu) może wykonywać tylko rozpoznanie bojowe znad własnych linii, względnie wykonując krótkie wypadki na najbliższe tyły nieprzyjaciela (do 10 km).

4. Brak lotnictwa myśliwskiego w dyspozycji dowódców armii spowoduje:

- dużą swobodę pracy bojowej lotnictwa npla wykonującego rozpoznanie bojowe i bliskie,
- trudność pracy bojowej własnego lotnictwa, wykonującego w.w. rozpoznania.

B. OKRES II – PO UKOŃCZENIU KONCENTRACJI

I. *Lotnictwo w dyspozycji Naczelnego Wodza*

1. Skład lotnictwa dyspozycyjnego Naczelnego Wodza odnośnie jednostek lotnictwa bombowego i liniowego nie ulegnie zmianie. Zmniejszy się ilość jednostek lotnictwa myśliwskiego, z których część zostanie oddana dowódcom armii do ich dyspozycji.

2. Zadania lotnictwa dyspozycyjnego Naczelnego Wodza w tym okresie będą następujące:

- a) Lotnictwo bombowe i liniowe:
 - dalsze prowadzenie walki z lotnictwem npla przez zwalczanie go na lotniskach,
 - działania interwencyjne na polu bitwy,
 - zwalczanie transportów operacyjnych i zaopatrywania.
- b) Lotnictwo myśliwskie:
 - współdziałanie z lotnictwem bombowym i liniowym, wykonującym działania interwencyjne na polu bitwy;
 - współdziałanie w o.p.l. tyłów.

II. Lotnictwo w dyspozycji dowódców armii

1. Lotnictwo armii zostanie wzmocnione jednostkami lotnictwa myśliwskiego.

2. Lotnictwo liniowe przesunie punkt ciężkości swej pracy rozpoznawczej na rozpoznanie bliskie, będzie ono jednak w dalszym ciągu obciążone zadaniami rozpoznania dalekiego na rzecz Naczelnego Wodza.

3. Podstawowym zadaniem lotnictwa myśliwskiego będzie ułatwić pracę rozpoznawczą własnemu lotnictwu w strefie bojowej i utrudnić tę pracę lotnictwu nieprzyjaciela. Wobec ograniczonych sił wykona ono zadanie skutecznie, koncentrując swój wysiłek na ważnych odcinkach frontu.

III. Lotniska

Dane dotyczące lotnisk na obszarze armii zostaną podane dodatkowo.

(Uwaga: Odbito w 11 egzemplarzach – 10 dla Oddziału III, 1 dla Sztabu Lotn.)

opracowali Andrzej GRZYWACZ, Grzegorz MAZUR

Władysław ZAJEWSKI

POLSKA – BELGIA: DWIE DROGI DO NIEPODLEGŁOŚCI

Belgia proklamuje niepodległość

Wcielenie Belgii do Holandii na podstawie tzw. traktatu VIII artykułów z czerwca 1814 (potwierdzonego w końcowym traktacie wiedeńskim) było pomysłem księcia Wellingtona zrealizowanym tuż po klęsce Napoleona. Decyzja ta początkowo, jak napisze historyk Frans Van Kalken, nie wywołała żadnych szczególnych reakcji Belgów, „ani w sensie korzystnym, ani też w sensie niekorzystnym dla nowego państwa”¹. Nowe państwo holenderskie stało się umiarkowaną monarchią konstytucyjną z dwuizbowym parlamentem. Pierwsza izba złożona z mianowanych arystokratów (do 60 osób) wzorowana była na angielskiej Izbie Lordów, natomiast druga, niższa izba składała się z 55 przedstawicieli Północy (Holandii) oraz 55 reprezentantów Południa (Belgii). Należy wszakże pamiętać, iż *les Etats Généraux* posiadały właściwie strukturę z epoki *ancien régime* i w istocie rzeczy podporządkowane były woli monarchy Wilhelma I (z dynastii Orange-Nassau). Ten ostatni, tzn. Wilhelm I był, jak pisze historyk

1. Frans Van Kalken, *Histoire du Royaume des Pays-Bas et de la révolution belge de 1830*, Bruxelles 1910, s. 90.

Jacques Logie, „oświeconym despotą, ozdobionym pióropuszem liberalizmu”².

W rzeczywistości nie było żadnego równouprawnienia między Północą i Południem. Na każdym odcinku życia państwowego dominowała Północ. Polityka wyznaniowa Wilhelma I polegała na ostentacyjnym popieraniu protestantyzmu. Monarcha był zwolennikiem „józefinizmu” czyli rygorystycznej kontroli władz państwowych przede wszystkim nad szkołami katolickimi w Belgii. Również obsadzanie administracji państwowej i głównych stanowisk w armii Holendrami (w 1830 roku na 21 generałów poruczników było tylko 2 Belgów; na 50 generałów majorów tylko 5 Belgów, na 1060 oficerów piechoty tylko 210 Belgów, na 360 oficerów artylerii tylko 33 Belgów) wywołało potęgujące się niezadowolenie Południa, a pamiętać należy, że Belgowie niemal dwukrotnie byli liczniejsi od Holendrów! O tym, że sytuacja wewnętrzna w Królestwie Niderlandów rychło się pogorszyła świadczą bardzo liczne relacje dyplomatów akredytowanych w Hadze. Znamienna jest szczególnie relacja dyplomaty rosyjskiego Czernyszewa, który już w 1816 pisał do kanclerza Nesselrodego:

„Belgowie i Holendrzy nienawidzą się wzajemnie. Zgodni są tylko w jednym punkcie, że wspólnota tych dwóch krajów, zawierająca tak różnorodne części składowe, jest absolutnie niemożliwa i trzeba, aby każdy z nich posiadał oddzielną administrację zgodnie ze swoją naturą”.

Wilhelm I zlekceważył i nie dostrzegł dwóch faktów, a mianowicie w latach 1825-1829 nastąpił w Belgii znaczny rozwój sił produkcyjnych, w tym rozwój przemysłu bawełnianego, hutnictwa i wydobywania węgla. W 1830 wystąpiło zjawisko nadprodukcji i akumulacji towarów. Brak było wolnych kapitałów, ceny żywności oraz opału poszły znacznie do góry już w 1829. Spotęgowało to wzrost niezadowolenia społecznego, a to niezadowolenie skupiło się na administracji holenderskiej. Po wtóre król nie docenił przeobrażeń w opo-

2. J. Logie, *De la régionalisation à l'indépendance: 1830*. Préface de Jean Stengers, Bruxelles 1980, Editions Duclot, s. 22.

zycji, która dotąd podzielona na liberałów skupionych wokół redakcji czasopisma *Mathieu Laensbergh* i katolików wokół redakcji *Courrier de la Meuse* nie wydawała się być groźną. Ale w 1828 r. nastąpiło pojednanie i zbliżenie obu odłamów opozycji we wspólnym antyholenderskim froncie. Lekceważenie konstytucji, niespektowanie praw obywatelskich, brutalne podporządkowanie i kontrola nad szkolnictwem katolickim, zawieszenie wolności prasy i druku, mnożenie procesów politycznych, rozpałiło namiętności mieszczaństwa i pospólstwa belgijskiego. Ale jeszcze 24 sierpnia 1830 prokurator generalny Schuermans uspokajał monarchę pisząc w raporcie, iż:

„99 procent porządných mieszczan życzy sobie spokojności i ma nastawienie proholenderskie. Przyznając jednak, iż uskarżają się na to, że Holendrzy są bardziej preferowani niż Belgowie. Ale uskarżanie się to właściwość Belgów, oni rzadko bowiem są zadowoleni”.

Ale sytuacja nie była już tak stabilna jakby sobie życzył prokurator królewski w Brukseli. W nocy z 25 na 26 sierpnia 1830 tłum młodych ludzi po wyjściu z opery Auber'a pt. *La Muette de Portici* granej w Théâtre de la Monnaie zaatakował siedziby prokuratora generalnego Schuermansa, zienawidzonego ministra sprawiedliwości Van Maanena oraz siedzibę prorządowego dziennika *National*, spalono wiele gmachów, zaburzenia przedłużyły się w dniu następnym. Na przedmieściach Brukseli tłum podpalił wiele fabryk, niszczone maszyny i narzędzia, przypominało to raczej zaburzenia luddystów angielskich z lat 1827-1828. Podstarzały gubernator Brabantu gen. van der Fosse i komendant placu gen. Wauthier nie zdołali stłumić rozruchów w zarodku. Znaleźli się w przymusowej sytuacji i musieli się zgodzić na utworzenie niezawisłej Gwardii Mieszczańskiej, której organizacją zajął się *ex-officer* napoleoński Charles Plentickx, zaś komendantem formalnym został baron Emmanuel Van der Linden d'Hooghvorst.

Od tej chwili stanowiska obu stron ulegały powolnemu, lecz stanowczemu usztywnieniu. Belgowie mnożyli żądania, które wyraźnie zmierzały do wprowadzenia autonomii, oddzielnej administracji dla Belgii, natomiast monarcha w Ha-

dze widział wyłącznie anarchię i awanturnictwo garstki młodzieży i żądał stłumienia siłą wszelkich zaburzeń na terenie Brukseli. Ostatnią próbą zażegnania konfliktu zbrojnego było nadzwyczajne posiedzenie Stanów Generalnych w Hadze 13 września w 1830 roku, na które deputowani z Brukseli pojechali z wielkim biciem serca i po spisaniu testamentów! Jak było do przewidzenia, król Wilhelm I wystąpił z gwałtowną mową w której zapowiedział, że „nigdy nie ustąpi przed duchem partii i nigdy nie zgodzi się na środki, które poświęciłyby dobro ojczyzny dla namiętności i gwałtu”. Oznaczało to odrzucenie postulatów autonomii administracyjnej dla Belgii i utrzymanie istniejącej od 1815 roku struktury prawnej.

Poinformowany, że Gwardia Mieszczańska w Brukseli jest dość skłócona, ewentualny duch oporu słaby, król Wilhelm I polecił swemu młodszemu synowi księciu Fryderykowi, aby na czele blisko 12 tys. korpusu ekspedycyjnego siłą zajął Brukselę, a w wypadku oporu spalił miasto, dając przykładną naukę Belgom jak mają szanować prawo i porządek. W rzeczy samej sztab wojenny ks. Fryderyka uznał zajęcie Brukseli za zadanie łatwe. O świcie 23 września 1830 4 kolumnami zaatakowano Brukselę, z tego 2 kolumny natrafiły na silny opór mieszczan, zaś 2 wtargnęły do górnej części miasta w okolicach Parku Królewskiego. Na nieszczęście dla Holendrów, ks. Fryderyk stracił w górnej części miasta cenne godziny, nie wykazując zdecydowania, siły jego zostały zablokowane w okolicach Parku oraz rue Royale. Siły powstańcze odzyskały po południu prężność i energię, zadając poważne straty siłom rządowym, gdy te próbowały rozbić barykady przy pomocy baterii konnej. Zacięte walki w dniach 24, 25 i 26 września 1830 nie przyniosły żadnego sukcesu Holendrom. Ostatecznie napastnicy pozostawili 103 zabitych, 158 jeńców oraz 596 rannych i opuścili Brukselę.

Dnia 26 września 1830 powołano Rząd Tymczasowy (*Gouvernement Provisoire*) w składzie: radykał Charles Rogier, baron Emmanuel d'Hooghvorst, szef Gwardii Mieszczańskiej – Jolly, radykał republikański Aleksander Gendebien, prawnik Sylvain Van de Weyer i katolik liberalny hrabia Felix de Mérode. Dwa dni później dokooptowano republikanina Louis De Pottera, który przybył z wygnania w

Francji. Dn. 4 października 1830 Rząd Tymczasowy proklamował niepodległość Belgii.

Krokiem następnym było ogłoszenie przez belgijski Kongres Narodowy 24 listopada 1830, na wniosek deputowanego M.C. Rodenbacha z Flandrii zachodniej, detronizacji dynastii Orange-Nassau. Sytuacja w Europie stała się zapalna i niebezpieczna. Sprawa belgijska mogła przeobrazić się w zbrojny konflikt europejski. Wilhelm I, po porażce korpusu ekspedycyjnego w Brukseli, postanowił zwrócić się o pomoc do pięciu mocarstw: Austrii, Rosji, Prus, Anglii i Francji, które sygnowały traktat wiedeński i ponosiły odpowiedzialność za jego realizację. Z początkiem października 1830 wystosowano z Hagi notę dyplomatyczną żądającą od sygnatariuszy traktatów paryskiego i wiedeńskiego pomocy w zaprowadzeniu porządku w Królestwie Niderlandzkim i przywołania do porządku zbuntowanych poddanych belgijskich. W odpowiedzi na to żądanie, 4 listopada 1830 zebrała się w Londynie Konferencja pięciu mocarstw celem rozpatrzenia sytuacji w Królestwie Niderlandów i choć później w 1832 roku Metternich się skarżył, iż „prawdziwy cel Konferencji Londyńskiej nigdy nie został określony dokładnie”, to jednak wówczas, w listopadzie 1830 nikt nie miał wątpliwości, iż jej celem będzie przywrócenie porządku i ponowne podporządkowanie Belgii Holandii. Nikt nie wątpił w to, że ostatecznie ton konferencji nadadzą państwa Świętego Przymierza: Austria, Prusy i Rosja, zgodnie z protokołem opawskim z 19 listopada 1820 roku, który upoważniał do użycia siły w wypadku pogwałcenia zasad legitymizmu, detronizacji legalnego monarchy lub też wymuszenia siłą konstytucji i potwierdziła to uroczysta deklaracja tychże państw z 13 lutego 1821, wydana z okazji interwencji zbrojnej Austrii w Neapolu. Mikołaj I był wstrząśnięty samowolną decyzją Belgów przyznania sobie niepodległości i na marginesie raportu kanclerza Nesselrodego, który obszernie mu relacjonował 20 października 1830 sytuację w Królestwie Niderlandów, zanotował:

„To nie Belgię chciałbym tam pobić, to rewolucję ogólną, która zbliża się krok po kroku i szybciej niż sądzimy zagrozi nam samym skoro zobaczą, że trzęsiemy się przed nią”.

Rewolucja 29 listopada 1830 w Warszawie i ocalenie Belgii

W odpowiedzi na anarchię rewolucyjną w Belgii, car Mikołaj I już 17 października 1830 wydał rozkaz ministrowi wojny Czernyszewowi oraz marszałkowi Sackanowi postawienia armii w stan gotowości bojowej, w tym także armii polskiej, która wspólnie z armią rosyjską miała pomaszerować na Zachód celem stłumienia rewolucji w Belgii. Na polecenie cara, minister sekretarz stanu gen. Stefan Grabowski przekazał rozkaz cara z 17 października ministrowi finansów w Królestwie Polskim, księciu Ksaweremu Lubeckiemu z poleceniem, aby przygotował finanse na ten cel. Stan gotowości wojennej został oznaczony na 22 grudnia 1830 roku. Detronizacja Wilhelma I przyjęta została przez Mikołaja I jako osobista obraza, był wszak szwagrem starszego syna monarchy holenderskiego księcia Wilhelma, który w 1816 ożenił się był z siostrą Mikołaja księżną Anną Pawłówną. Nikt w Europie nie miał wątpliwości, że Mikołaj I udzieli pomocy zbrojnej teściowi swej siostry, nawet jeśli Austria i Prusy nie wykazywały entuzjazmu do udziału w nowej awanturze wojennej. Wszystko już było przemyślane, zaplanowane i zadecydowane. Do swego brata w Warszawie w.ks. Konstantego car Mikołaj I pisał: „Przyznaję, że pragnę, abyś osobiście pomaszerował w tym wypadku ze swoją armią, nawet gdybyś nie dokończył przygotowań”... Swój mieszany polsko-rosyjski korpus ekspedycyjny Mikołaj obliczał na 60 tys. żołnierzy.

Mikołaj I nie wziął tylko jednego pod uwagę – reakcji wojska polskiego, szczególnie tych kręgów armii polskiej, gdzie bardzo żywa była tradycja insurekcji kościuszkowskiej i wojen napoleońskich. Tymi właśnie tradycjami czynnej walki zbrojnej o niepodległość ożywione było Sprzysiężenie Piotra Wysockiego w Szkole Podchorążych Piechoty, powstałe w grudniu 1828 roku.

Uczestnicy tego Sprzysiężenia tak „cywile” jak i „wojskowi” zwracają uwagę na fakt, jak wielkim dla nich dopingiem stały się zwycięskie rewolucje zbrojne w Paryżu i w Brukseli!

I tak Ksawery Bronikowski pozostający w kontaktach z opozycją sejmową (Joachimem Lelewelem i Romanem Sołtykiem) zwrócił uwagę na dwa bardzo ważne fakty w genezie powstania listopadowego, a mianowicie rewolucja lipcowa 1830 wydała się członkom Sprzysiężenia triumfem zasady sprawiedliwości narodowej i nieinterwencji, potwierdzonym następnie przez rewolucję w Belgii. Po wtóre uznano za bardzo pomyśły fakt, iż w Anglii upadł konserwatywny rząd torysowski lorda Wellingtona, nieprzyjaciela wszelkich rewolucji, a na czele nowej ekipy rządowej stanął były przyjaciel Kościuszki liberalny lord Grey. Wieści te zbiegły się z wiadomościami o częściowym postawieniu armii polskiej w stan gotowości bojowej, o czym poinformowały liczne gazety warszawskie przedrukowując rozkaz Mikołaja I z gazety petersburskiej. Informacja ta ukazała się w Warszawie 18 i 19 listopada 1830 roku. Sprzysiężeni, choć różnili się w poglądach co do daty wybuchu, zgodni wszakże byli w jednym, iż „dla Polaków byłoby ostatnią zniewagą iść razem z kozakami przeciw ludowi, co broni swej wolności”. Wieść o tym, że Mikołaj domaga się surowych represji od w.ks. Konstantego przeciw wszelkim podejrzanym o udział w spisku antyrządowym oraz wiadomości o postawieniu w stan gotowości bojowej armii polskiej z przeznaczeniem jej do wymarszu i wiadomość o upadku gabinetu lorda Wellingtona w dniu 25 listopada, zdecydowały ostatecznie o dacie wybuchu zbrojnej insurekcji na 29 listopada 1830.

Gdy więc się już wydawało, że w Londynie zapadnie surowy werdykt potępienia na rewolucję belgijską – pisze historyk belgijski Léon Van Der Essen: „przypadkowe wydarzenie przechyliło szalę na stronę mocarstw liberalnych Anglii i Francji. Stanowczo zdecydowany interweniować w Belgii, car Rosji skoncentrował w Warszawie pułki polskie, które miały pomaszerować na Brukselę. Na wieść o rewolucji belgijskiej w chwili wymarszu Polacy zdecydowali naśladować Belgów i podjęli próbę zrzucenia jarzma rosyjskiego. Pułki przeznaczone do represji w Belgii zbuntowały się i wypowiedziały posłuszeństwo. To wydarzenie ocaliło Rząd Tymczasowy i pozwoliło Anglii i Francji zająć właściwe stanowisko na Konferencji Londyńskiej i dwa mocarstwa liberalne natych-

miast ogłosiły zasadę nieinterwencji³. Także historyk, już wspomniany Frans Van Kalken utrzymuje, że rewolucja 29 listopada 1830 w Warszawie ocaliła Belgię przed zbrojną interwencją rosyjską i całkowicie zmieniła sytuację międzynarodową na korzyść Belgii⁴. Najtrafniej nową sytuację określił historyk belgijski stosunków międzynarodowych F. de Lannoy pisząc: „Rewolucja polska ocaliła Belgię. Mikołaj zamiast zwalczania rewolucji za Renem, w Belgii, musiał pokonać ją w obrębie własnego państwa, siły militarne Rosji zostały unieruchomione na długie miesiące⁵. Formalnie Mikołaj I nie przyznawał się na arenie dyplomatycznej, iż rewolucja w Warszawie zmieniła jego decyzję czy też sytuację samej Rosji. Jeszcze 16 grudnia 1830 pisał kanclerz Nesselrode do swego ambasadora w Londynie Ch. Lievena, że „wydarzenia w Warszawie nie zmieniają stanowiska gabinetu cesarskiego wobec spraw Europy”. Co do spraw Belgii, to kanclerz Nesselrode polecał zabiegać stanowczo o 1) „utrzymanie Belgii dla domu nassauskiego”; 2) rozważyć ewentualność administracyjnego oddzielenia Belgów od Holendrów z tym, że musi to być aprobowane przez monarchę holenderskiego Wilhelma I; 3) nie dopuścić do usadowienia się w Belgii żadnej obcej dynastii. Ale jednocześnie Nesselrode zalecał utrzymanie jak najbardziej przyjacielskich kontaktów i stosunków z Anglią. W obecnej sytuacji Rosja nie może sobie pozwolić na jakieś napięcia dyplomatyczne z Anglią.

Dwie miary Konferencji Londyńskiej 1830-1831

Nasza historiografia, szczególnie jej nurt popularny, czy nawet publicystyczny, dopatruje się naszej klęski w 1831 roku przede wszystkim w nieudolności wodzów naczelnych, fatalnie jakoby rozegranych bitwach i braku ducha walki. Niedostateczna znajomość archiwów europejskich i literatury

3. Léon Van Der Essen, *La révolution belge et les origines de notre indépendance 1830-1839*, Bruxelles 1924, s. 33-34.

4. Frans Van Kalken, *op. cit.*, s. 187.

5. F. de Lannoy, *La Russie et la révolution belge*, „*La Revue Générale*” t. 82, 1905, s. 797.

naukowej sprawiła, iż niektórzy historycy bądź przeoczyli bądź okazali całkowitą bezradność w wytlumaczeniu pewnych generalnych zjawisk panujących w Europie w latach 30-tych XIX wieku.

Od dawna już utrzymuję, że żadne nowe państwo nie mogło się w tym czasie pojawić w Europie wyłącznie w oparciu o ostrze szabli. To ostatnie mogło tylko ułatwić sytuację, umożliwić narodziny państwa, ale zalegalizować je po Kongresie Wiedeńskim mogła li tylko zgodna aprobatą pięciu wielkich mocarstw: Anglii, Rosji, Austrii, Francji i Prus, które w wyjątkowych sytuacjach, sytuacjach przymusowych godziły się na pewne korekty w układach wiedeńskich 1815 roku na zasadzie wzajemnego kompromisu i utrzymania równowagi sił. W tym czasie owa Konferencja Londyńska zalegalizowała dwa organizmy państwowe, które wyłoniły się z mroków rewolucji lecz ostatecznie uzyskały sankcję międzynarodową, innymi słowy zostały „zalegalizowane” w sensie prawnym, dyplomatycznym i politycznym, a mianowicie: Grecja i Belgia. Legalizacja niezawisłości Grecji za którą stały Anglia i Rosja oraz Francja dokonała się w 1830. Konferencja Londyńska bez wahania zaaprobowałaby pacyfikację Belgii, gdyby nie fakt, iż wiele czynników działało na korzyść tego małego kraju, pozbawionego nawet własnej armii. Ze sceny politycznej zszedł lord Wellington, który był przeciwnikiem odrębnej, niepodległej Belgii. Nowa ekipa rządowa w Anglii z lordem Charlesem Greyem i lordem Palmerstonem uznała, że niezawisła Belgia leży jak najbardziej w interesie politycznym i handlowym Anglii pod warunkiem, że będzie to państwo suwerenne, niezależne od powiązań dynastycznych z Francją, a już w żadnym wypadku nie może być prowincją, częścią składową Francji. W interesie Francji także leżała niezawisła Belgia, co stwarzało możliwość likwidacji twierdz na granicy belgijsko-francuskiej i stwarzało większe możliwości polityczne na przyszłość, jako iż silne były wówczas tendencje unifikacyjne z Francją wśród ludności walońskiej.

Tak zrodził się słynny protokół Konferencji Londyńskiej z 20 grudnia 1830, po burzliwych 10-godzinnych naradach podpisany przez przedstawicieli pięciu mocarstw, w tym Rosji: Lievena i Matuszewicza, który *de facto* uznał niezawisłość Belgii.

wisłość Belgii. Później przedstawiciele Rosji tak tłumaczyli złożenie swoich podpisów w depeszy do kanclerza Nesselrodego:

„Odmowa podpisania protokołu oznaczałaby poróżnienie się z Anglią, zerwanie, a tego nasze instrukcje nakazywały nam uniknąć za wszelką cenę. Rosja miała do wyboru: albo wraz z Europą uznać fakt oddzielenia Belgii od Holandii, albo wszcząć wojnę, której rezultatem najbardziej bezpośrednio byłoby zagarnięcie Belgii przez Francję”⁶.

Protokół z 20 grudnia, który tak bardzo oburzył dyplomatów holenderskich, zapoczątkował całą serię protokołów dyplomatycznych kształtujących niepodległą Belgię. Proces długi i żmudny, przerwany wojną 10-dniową z Holandią w sierpniu 1831 oraz dwiema zbrojnymi interwencjami na korzyść Belgii dokonanymi przez Francję, przy nieukrywanej irytacji dyplomacji angielskiej, która zatroszczyła się o jak najszybszą ewakuację oddziałów francuskich z Belgii. Rewolucyjne wstrząsy zapoczątkowane w sierpniu-wrześniu 1830 zakończone zostały podpisaniem traktatu pokojowego z Holandią dopiero 19 kwietnia 1839. Belgia stała się częścią składową Europy uznaną *de iure* lub *de facto* przez wszystkie główne mocarstwa.

Dlaczego Konferencja Londyńska nie chciała się zająć sprawą polską, mimo że podstawy prawne, sytuacja prawna Królestwa Polskiego w 1831 roku dawała większe możliwości uczestnikom Konferencji Londyńskiej wypowiedzenia się po stronie walczącej Polski? Jak pisał polski minister spraw zagranicznych Gustaw Małachowski 27 lutego 1831 r. do naszej misji paryskiej:

„Rewolucja belgijska zerwała równowagę Europy, nasza dąży do jej przywrócenia. Belgia nie istniała oddzielnie, tworzyła jedno ciało z Holandią... Belgia nie miała ani oddziel-

6. Wł. Zajewski, „Wpływ rewolucji lipcowej na wybuch powstania listopadowego” (w:) „Powstanie Listopadowe 1830-1831. Dzieje wewnętrzne – Militaria – Europa wobec powstania”, Warszawa 1990, wyd. II, s. 40-41.

nego wojska, ani znaków ani sztandarów narodowych, ani też instytucji parlamentarnych osobnych, przeciwnie przyłączoną była nierozdzielnie, czyli raczej wcieloną do Królestwa Niderlandów. U nas oddzielny byt armii polskiej, oddzielne kolory, oddzielne sztandary zostały zaręczone jeszcze we Francji w 1814 r.”

Daremnie jednak nasza dyplomacja apelowała do Konferencji Londyńskiej, daremnie odwoływała się do traktatów wiedeńskich nie dotrzymany przez Mikołaja, na wszystkie te apele, odwoływania i prośby, gospodarze konferencji czyli dyplomacja angielska pozostała głucha i niewzruszona. Nie dopuszczono Polaków do udziału w tej konferencji jako strony walczącej, nie uznano Polski za stronę, za państwo, zastosowano całkiem odmienną miarkę, choć racje prawne strony polskiej były bardziej jasne i oczywiste niż belgijskiej. Dlaczego? Z tej prostej przyczyny, że oba państwa zachodnie choć głośno wyrażały i lansowały zasadę nieinterwencji, to jednak ograniczały ją bardzo wyraźnie w sensie terytorialnym, geograficznym. Oba państwa, Anglia i Francja nie miały żadnych swoich interesów w tej części Europy, w jakiej była położona Polska. Nie chciały absolutnie angażować się w sprawę polską z tej prostej racji, iż poza konfliktem z Rosją oraz dwoma pozostałymi państwami Świętego Przymierza Austrią i Prusami niczego taka interwencja nie przynosiła, co gorsza zdaniem kół rządowych obu wymienionych mocarstw zachodnich nastąpiłoby zburzenie równowagi europejskiej, nieuchronne osłabienie Rosji, Austrii i Prus, a wzmocnienie tylko i wyłącznie Francji, bowiem odrodzone państwo polskie znalazłoby się w rydwanie polityki francuskiej, tak jak to było za Napoleona. Trafnie właśnie Napoleon kiedyś powiedział: „Polityka państw jest wpisana w ich geografie”. Zaś apologeta polityki napoleońskiej, historyk francuski Jacques Bainville zauważył: „Belgia jest tak położona, iż wokół niej organizuje się polityka europejska i od której zależy wojna i pokój w Europie”. Tak niestety nie było ze sprawą polską. Dlatego na Konferencji Londyńskiej zastosowano dwie miary: jedną konstruktywną wobec Belgii i drugą, najzupełniej negatywną wobec Polski, uznając jej sprawę za nie istniejącą. Milcząca zgoda rządu lorda Greya na zdławienie rewolucji nad Wisłą

przyniosła pożądany owoc w postaci milczącej aprobaty Mikołaja I na niepodległą Belgię.

Nie oszukujmy się jednak i nie twórzmy legendy historyograficznej, że Polska w 1830 powstała w obronie Belgii i Francji, zagrożonych widmem interwencji carskiej. To była tylko jedna z przesłanek decyzji podjęcia powstania w dniu 29 listopada. Ale Polacy bili się i walczyli o własną niepodległość, o własny los, o własne suwerenne państwo, o własne interesy. Słusznie pisał *Rocznik Polski* w 1857 roku:

„Żaden naród dla ocalenia drugiego nie rzucił się jeszcze nigdy w przepaść, a Francja straszniejsze też niż te, co jej w roku 1830 groziły, bez nas odparła zastępy... Od roku 1830 tyle nam naopowiadano o naszych poświęceniach dla Zachodu, o jego dla nas niesprawiedliwości, że chociaż na Zachodzie nikogo nie przekonaliśmy, sami siebie oszukaliśmy dostatecznie”.

Prawda jest okrutna, ale historyk musi ją wyrazić nawet wbrew swoim uczuciom: w polityce państw decyduje własny, egoistyczny interes i kierując się tym własnym interesem państwa zachodnie pozostały w zasadzie bezczynne i obojętne na wydarzenia nad Wisłą, Bugiem i Niemnem w 1831 roku. W urzędowej, powiedeńskiej Europie nie było miejsca dla Polski. Jakże przewidująco, bo już 23 grudnia 1830 napisze w raporcie do ministra spraw zagranicznych Francji H. Sébastianiego jego specjalny wysłannik do Wiednia na rozmowy z kancleżem Metternichem, marszałek Maison: „Przewiduje się tutaj [tzn. w Wiedniu – uwaga Wł. Z.], że cesarz Mikołaj odwoła konstytucję i zlikwiduje resztki autonomii Królestwa Polskiego. Stanie się ono tylko prowincją rosyjską”⁷. Niestety, to przypuszczenie dyplomaty francuskiego spełniło się co do joty!

Rewolucja belgijska natrafiła na opór przeciwnika zdesperowanego, lecz militarnie ograniczonego; po jej stronie wypowiedziały się Anglia i Francja, ta ostatnia dwukrotnie interweniowała zbrojnie na korzyść Belgów. Rewolucja polska 29 listopada 1830 natrafiła na najsilniejsze na kontynencie euro-

7. Tamże, s. 42.

pejskim mocarstwo, które z góry zdecydowanie i stanowczo odrzuciło wszelkie ustępstwa, świadome, że sprawa polska, niezależnie od stopnia sympatii wyrażonej przez narody i społeczeństwa państw zachodnich, nie uzyska żadnego urzędowego poparcia. Dlatego Mikołaj parł do prostego rozstrzygnięcia militarnego, świadom przewagi swej armii i jej ogromnych rezerw, bez względu na koszty ludzkie i materialne. Każdy, kto zaduma się dziś 165 lat po wybuchu obu tych rewolucji, musi zdawać sobie dobrze sprawę z ich specyfiki i odrębności, a wtedy lepiej zrozumie dlaczego rewolucja belgijska zakończyła się niesłychanym triumfem, zaś rewolucja 29 listopada 1830 klęską, mimo że Belgia nie miała własnej armii i dopiero ją tworzyła, zaś Polacy dysponowali znakomicie wyszkoloną, choć małą liczebnie armią. Jakże wymowne są słowa listu lorda Palmerstona do ministra spraw zagranicznych Belgii Sylvaina Van de Weyera z października 1831 roku: „...wątpię czy istnieje w historii przykład innego narodu, który w tak krótkim czasie i przy tak nikłych ofiarach uzyskał niepodległość uznaną i zagwarantowaną przez wszystkie inne mocarstwa, które go otaczają”⁸.

Władysław ZAJEWSKI

8. T. Juste, *Palmerston*, Bruxelles 1873, s. 60.

WSPOMNIENIA

Bohdan SKARADZIŃSKI

WRONKI – WARSZAWA – WRONKI

(WSPOMINKI KOMBATANTA
NIEBOHATERSKIEGO)

Niezwyczajnie zaczął mi się ów dzień. Zatrzymany zostałem w celi przed regulaminowo należnym „spacerem”, choć nie podlegałem akurat żadnym karom. We Wronkach każda zmiana może być tylko na gorsze. Drażni już samo wytrącenie człowieka z więziennego rytmu dni i nocy, który tu jest najlepszym sposobem na upływający czas.

Co te dranie, znowu, ze mną kombinują? Prowadzony jestem przez specjalnego strażnika przez cały ogrom I pawilonu na skrzydło „D”. I zamykany w pustej celce. Wiadomo, tu same pojedynki. W którejś z nich zamordowano płk. Wacława Lipińskiego, piśsudczyka i działacza antykomunistycznego podziemia – nie fatygując nijakiego sądu, czy prokuratora... Tak, jak i płk. lotnictwa Abakanowicza z NSZ. Ale nie rewidują mnie, nie odbierają papierosów i zapalek. A więc – żadna kara. Coś innego. Jakaś nowość. Męczą teraz speku-

lację, cóż nowego może bowiem w ogóle dopaść człowieka po dawno uprawomocnionym wyroku, w samym wnętrzu „Centralnego Więzienia Karnego”? Dłuży się czas, ale tego akurat tu nie brakuje.

Zły znak, bo u komendanta pawilonu – w oszklonym „bocianim gnieździe” u zbiegu czterech więziennych skrzydeł – odbiera mnie, kwitując, aż oficer. I jazda przez kolejne bramy-kraty, strażnik który nie otwiera następnej nim starannie nie zarygluje poprzedniej. Kancelaria samego naczelnika. Tutaj to istny dygnitarz, major, a więc progi nie na moje nogi. Staję regulaminowo twarzą w ścianę. Znowu dłuży się, choć zamalowany olejno chropowaty tynk tworzy niebanalne desenie.

Ten sam oficerek, ale długie korytarze są dla mnie całkiem nowe mimo minionych tu już miesięcy. Na dyżurce wewnętrznej zaopatrzone zostają w bochenek chleba; nie wyprowadzam ich z błędu, że dzisiejszą porcję już wziąłem; zresztą „wyszła” mi ona od tych wyczekiwań oraz spekulacji; co ma być ze mną, to i tak będzie, lecz chociaż niech się chleb nie zmarnuje... No, „częstują” mnie na dodatek skibką słoniny i przygarstką cukru. Jasne! Szykowany jestem w drogę – i to daleką. Gdzie i po co? Warszawską straż próbowałbym spytać; u nas trafiają się jeszcze ludzie nieprzesadnie regulaminowi, albo wręcz gadatliwi. Do tych tu – „poznanioków” – szkoda ryzykować otworzenia gęby.

Zresztą nagle wszystko zaczyna kręcić się szybko. Już ostatni wewnętrzny dziedziniec przed samą bramą główną. I trzech... milicjantów, śmiesznych, bo z porozpinanymi i pustymi kaburami. Oczywiście, gdyż z bronią nikogo się do więzienia nie wpuszcza. I pewnie to mój konwój. Aż tak okazały? Wreszcie człowieka gdzieś docenili... Cholera, aż nadto. Na wartowni przy samej bramie milicjanci pobierają swoją broń. Prócz pistoletów jest karabin i dwie pepesze; ostentacyjne ładowanie z pierwszym nabojem w lufę. A bezpośrednio dla mnie – kajdanki. S...syny, wykręcają mi ręce do tyłu. A bochenek chleba? Należy się, a nie mam jak go wziąć. Zmartwienie to konwoju. Lecz ci się lenią. Wpychają mi bochenek pod wykręcony łokieć. Przy najlepszych chęciach długo tak chleba nie utrzymam. O chęciach zaś szkoda i gadać, bo teraz szarpie mną złość.

I zaraz dochodzi poczucie całkowitej bezkarności... Konwój kwituje odbiór więźnia. Ja wysłuchuję pouczenia, że przechodzę pod władzę Milicji Obywatelskiej i że mam „nie robić wstydu” swemu zakładowi karnemu. A także gróźb o użytku z broni palnej... Akurat! Milicja mi sądowego wyroku nie wydłuży, ani do karceru nie zamknie. Chcą mnie konwojować bez kłopotów oraz rzucania się w oczy „ludności”. No, to okaże się w drodze. Będą mi mogli wtedy naskoczyć.

Zaraz za bramą powietrze wali w łeb i ugina nogi. Od więzienia wyprowadza ku miasteczku Wronki droga, wysadzana dorodnymi lipami, które akurat kwitną. A na dodatek sama „tiumra” tkwi w zakolu rzeki Warta – tej z naszego hymnu narodowego – i bije tu zapachem z łąk. Upija zgoła. Zewnętrzna ochrona więzienia, już wojskowa, nie robi żadnego wrażenia, choć z betonowych strzelnic szczerzą zęby rkm-y; nic im do nas, żołnierze gapią się z nudów, bo we Wronkach konwój w biały dzień, to widok jednak niecodzienny. I łup... wyleciał mi spod pachy bochenek. Słowo daję, bez premedytacji. Zapomniałem nawet o chlebie. Ale mój konwój w krzyk.

– „Zaraz byś dostał, gdyby to nie ulica! Bierz pod drugi łokieć. I pilnuj się! Zaraz stacja. Jak rzucisz chleb przy ludziach, to nas popamiętasz”.

Sam wiem, że przy ludziach muszę się pilnować. Będzie szok, bo nie widziałem ich od miesiący. Kobiet w szczególności. Dzieci. Wszelkie straże i konwoje za ludzi uważać przecież nie sposób. A jak tu teraz nie prezentować się na – obraz nędzy i rozpaczy? Postura więcej niż skromna, szczeniacki wygląd. Konwój, jak na złość, z chłopów na schwał. Z długą bronią. A u mnie jeszcze ten chleb pod łokciem, zupełnie zdrętwiałym. I klekot drewniakami na kilometr. Muszę się prostować, nie garbić. Żadnych póz cierpiętніка. Patrzeć trzeba ludziom prosto w oczy.

Shok jest o wiele silniejszy niż sobie wyobrazić mogłem. Oto chodzą sobie jeszcze po Polsce, okazuje się, normalni ludzie. Bochenek wypada mi na samym środku peronu; najmłodszy z konwoju, kapral, podnosi go bez słowa i, nie pytając się sierżanta, kryje chleb w swojej raportówce... Od kobiet aż dech zapiera; prowincjonalna stacyjka, a wszystkie ładne,

młode i kolorowe. Jak jedna. A nie mniej ciekawe są małe dzieci. Zdaje się, że popatrują na mnie z przerażeniem, więc próbuję się do nich uśmiechać. Sierżant wściekły, syczy, że złoży raport. Do ministra? Ażeż ty... co najwyżej możesz mnie pocałować...

Poznański, podmiejski pociąg jest zatłoczony i na przemian – rozpędza się bądź hamuje. Trudno mi na korytarzu ustać, rzuca mną, bo rękoma, ciągle z tyłu, nie mam jak się trzymać. Za oknami migają wielkopolskie osiedla w całym ich ładzie i krasie, nawet strzępki prawdziwego lasu. A nade wszystko – gospodarskie pola i pola o poznańskiej staranności, na których właśnie ruszają żniwa... Moich starań, by się utrzymać na nogach, nie wytrzymuje jakaś kobieta z najbliższego przedziału; nie oglądając się na zbrojną eskortę, wprost sadza mnie na własnym miejscu. To jest dopiero luksus. Rozmowy, niestety milkną, jak nożem uciął. Sierżant z konwoju, regulaminowo, próbuje się wepchnąć możliwie blisko, ale milczy. Mogę przyglądać się ludziom normalnym, ile zapragnie dusza. Oni raczej omijają mnie wzrokiem, jeśli dzieci nie liczyć; te o coś szeptem wypytują opiekunów. Moje starania, by „trzymać fason”, muszą mieć skuteczność ograniczoną. Niemal jednocześnie z dwóch krańców przedziału pada pod adresem konwoju pytanie, czy wolno mi podać wody. Rzeczywiście, jest gorąco. Ale i trochę śmiesznie; u nas, na Mazowszu, najpierw by wodę podano, a dopiero później zagadywano by o przyzwolenie władzy.

Zabudowania zgęszczają się, tory dwoją i troją, stuk zwrotnic już nie milknie. Poznań! Tyle czasu, chcąc nie chcąc, zjadam wielkopolski chleb, a tutejszej metropolii nie widziałem od lat... Tędy wieźli nas, gdy po 17 czerwca 1953 roku – na fali „kontrewolucji berlińskiej” – historycznie opróżniane były warszawskie więzienia. Staliśmy długo w noc na jakiejś ślepej bocznicy; aż tak długo, że posnęli wszyscy mimo duchoty i nieludzkiego stłoczenia, jako że była to już trzecia noc szalejącej „czystki”; usnęła nawet nasza czujka przy pracowni wydrapanej w pancерnej szybie dziurce – z zadaniem stwierdzenia, czy z Poznania będziemy pchnięci na południe, na Rawicz, czy też na północ, ku nie gorzej osławionym – właśnie – Wronkom.

Sposobność wizyty w Poznaniu, zdaje się, minie mnie i tym razem. Będzie tylko przesiadka na pociąg warszawski; tu nie może mieć do mnie żadnych interesów ani „bezpieka”, ani wymiar sprawiedliwości. To i lepiej; więcej będzie „turystyki więziennej”, a z wolna zaczynam w takowej smakować. Człowiek sobie podróżuje, przypomina, jak wygląda polski świat Boży, zaś ma to zaliczone do wyroku... Nie, wyprowadzają mnie, gdy tylko pustoszeje peron, do kolejowego komisariatu. Jest woda i „kibel”. Znowu czekanie i czekanie. Aż sierżant z konwoju, z zatroskaniem niemal w głosie, oświadcza, iż samochodu nie będzie, musimy więc ruszać piechotą. – Do Warszawy? Uśmiechnął się wbrew regulaminowi. – „Tylko na 27 Grudnia, to nie tak daleko, wytrzymacie”.

No, tak „defilować” nie zdarzyło mi się w żadnym jeszcze mieście; szczęśliwie – po dziś dzień. Te dranie spędziły mnie na jezdni z jednym konwojentem za plecami. Jestem na oczach wszystkich mijanych ludzi. Jak żyję, tak nigdy żadne dziewczyny nie wlepiły we mnie oczu. Niestety, nie jest to moja *via triumphalis*. Niech cholera weźmie wszystkich „pознаńczyków” – z moimi konwojentami, rzecz jasna, na czele. Coraz większa teraz sztuka trzymać jakikolwiek „fason”, bo drewniaki nie nadają się do maszerowania; sztywne są i groteskowo hałasują na bruku. A kajdanki, zacisnięte złośliwie, nawet już nie uwierają, bo ręce mam całkiem zdrętwiałe.

Na owej ulicy 27 Grudnia, w samym centrum Poznania, był wówczas podręczny areszt wszelakich miejscowych organów „ładu i porządku”. Dyskretny, a przestronny. Tylko na parterze tłumnie, nawet z pijackimi krzykami i śpiewami. Proszę, Poznaniacy wcale nie tacy święci, za jakich lubią uchodzić. Mój konwój ulatnia się z wyraźną ulgą; ja też rozstaję się z nim bez żalu, chociaż mógł mi się trafić jeszcze gorszy. To przecież psia służba... Ale w areście ląduje na najwyższym piętrze. I strażnik milicyjny ma lwowski akcent, więc – odprężając się – zagaduję. Trafiam dobrze. Fasuję trzecią tego dnia porcję chleba, i co tu tyle gadać o poznańskiej gospodarności? Na dodatek michę grochówki. Da się jeszcze trochę pożyć! W szczególności, gdy człowiek ma już z rąk zdjęte te cholerne kajdanki. Zaś strażnik, jak to lwowiak, jest gadułą. Prosto tłumaczy fakt, że mnie „gości”.

To cele dla konwojów, ale zejść w nich mi może i parę dni. Wronki mają ścisłe rygory „wypożyczania” swoich pensjonariuszy, zaś Poznań nie na każde zawołanie jest w stanie skompletować eskortę na dalszą drogę. Gazety? Tyle lat mój rozmówca żyje, a w żadnej niczego mądrego nie wyczytał. Może jednak jakieś przynieść. Lecz niech wpierw powiem, jak to naprawdę żyje się w tych Wronkach, bo ludzie mówią różnie.

Cela pusta, z drewnianą podłogą, ale za takie jej utrzymanie człowiek we Wronkach nie wyrzałby z karceru. Rozbrzmiewa za to... muzyką. Na ulicy jest sklep z instrumentami i płytami. Lecą same szlagiery. A z górnej pryczy – widok na całą „wolność”. Z mnóstwem dziewczyn. I szmatem chodnika z galerią wystawowych okien. Wyglądanie, oczywiście, surowo jest zakazane. Ale wręcz rozkoszne. I gdyby robić to tylko, co dozwolone, zbankrutowałyby całe nasze, psia jego mać, więziennictwo. Jeszcze więc i jeszcze. Nie ma tu capstrzyku, ani wystawiania na zewnątrz ubrania „w kostkę”. Jak w sanatorium. Choć i tam nie kołyszają człowieka do snu najmodniejszą muzyką, tylko że trochę nazbyt hałaśliwą.

I w tym Poznaniu, okazuje się rano, nie molestują ludzi skoro świt rytualną pobudką. Najgorszym więziennym sygnałem. Zawsze budzi on do beznadziejnej rzeczywistości, a czasem nawet urywa sen piękny, bo od tejsze rzeczywistości całkiem odległy... Tu byczenie się w betach do znużenia. Kawa z nieregulaminowym opóźnieniem i razowcem, który nie umywa się do wronkowskiego. Ale na ulicy rusza na nowo szlagierowa muzyka. I teatrum ludzi, którzy chodzą sobie „rozkonwojowani” tam i z powrotem.

Cóż robić z dzionkiem rozpoczętym tak niebanalnie? Trzeba dobijać się o niedzielną *Trybunę*, będzie grubo do czytania. Zmieniony strażnik, poznaniak, do rozmówek się nie nadaje, a cele obok puste. Może chwycić się z sercem za te zapuszczone dechy podłogi? Nie byłoby od rzeczy pokazać tym poznaniakom, jak naprawdę powinien wyglądać wzorowy porządek. E, co ich tam będę rozbestwiał... Trochę gimnastyki. I wyglądanie na ulicę to właściwie też gimnastyka, bo szpara w „blindzie” jest wysoko i szczęścia mego tyle, iż blachę ktoś już naderwał. Byle nie zagłębiać się w medytację,

dlaczego zatęskniły za mną warszawskie władze. Nie mam żadnych przesłanek. Byłoby najgorzej, gdyby coś nowego wygrzebało sobie UB. Nie ma na świecie śledztwa bez wątków rozwikłanych połowicznie. Albo i takich, które dały się zataić. Znowu Pałac Mostowskich? Zobaczymy. Ma teraz człowiek doświadczenie i twardość, o jakich próżno by marzyć w szoku pierwszych dni aresztowania. I przeświadczenie, że już niczego więcej UB nie jest w stanie mi zrobić. Pytanie jednak „cimi” niczym ząb, który zaczyna boleć.

Deski podłogi warto sprawdzić centymetr po centymetrze, bo to najlepsze skrytki na więzienne różności. Jakoś czas leci. Na obiad cholerna kasza, ale przecież luksusowo stoję z chlebem. A w zapasie – wronkowska słonina.

Najlepszy jest wieczór, bo można leżeć bez czekania na capstrzyk. I ludzie na ulicy urządzają istne promenady; kolorowi, opaleni, z dziećmi...

Zrywają mnie, cholery, o poniedziałkowym, bladym świącie. Na dyżurce nowy konwój, jeszcze bardziej paradny, gdyż z oficerem; ale jest i znajomy już młody kapral, który w piątek dzwigał za mnie chleb; zakładając kajdanki pyta, czy nie za mocno je zacisnął. Mamy samochód. Dużo to lepsze od człapania w moich drewniakach przez same centrum miasta. Warszawski, oczywiście, pociąg też już czeka. I całkiem dla nas pół przedziału. Będzie luksus. Tym bardziej, iż kapral bez dyskusji „przekuwa” mi ręce do przodu – i to na całkiem wczasowy „luz”.

Mijamy stoki Cytadeli, Wartę z jej odnogami, a wśród nich Ostrów Tumski, naszpikowany kościelnymi wieżami. Mój los, acz o skali mrówki, jakoś mi się komponuje z wielką historią. Walimy na wschód, a to zawsze bliżej swoich. Może nie będą nimi tylko funkcjonariusze „III wydziału” stołecznego Urzędu.

Pola i pola w żniwnej mordędze. Eh, wolałbym się i ja pouwijać trochę na tym skwarze... Służę za to jako strach na wróble dla dwójki milutkich dzieciaków. Wpatrują się, jak urzeczone, poszeptują coś z matką. Poza tym grobowa cisza, chociaż zrobiło się tłoczno. Dorośli obserwują nasz konwój dyskretnie; ani życzliwie, ani wrogo. Pewnie, któż może wiedzieć, co ja tam wiozę – na swoim sumieniu? Starsze z dzieci

wysuwa ku mnie dorodnego pomidora, z własnego pewnie ogródka, ale pytanie do chorążego kieruje matka. – „Nie, nie wolno, bo popije wodą i będzie kłopot”. – „Ale ja tu mam herbatę w termosie...”. Rozstrzygam te wątpliwości, biorąc od dziecka pomidor i dziękując głośno.

Wypatruję łapczywie przez okno i ma to dla mnie smak niezłego filmu, choć kiedyś już widzianego. Czy uchwycę w przelocie granicę starą między Wielkim Księstwem Poznańskim – z łaski cesarza Wilhelma – a Królestwem Polskim spod berła cesarzy Aleksandrów i Mikołajów? Krótkie wahanie. Ot, jest, chociaż nie znaczą jej od dawna żadne słupy czy szlabany. Tyle już lat, a ciągle inaczej prezentują się budynki, podwórka, pola i zagajniki. Nie powiem, że – w sumie – milej... „Mieszkam” sobie w Poznańskim już dość z łaski... Wojskowego Sądu Rejonowego, ale „od-mazurzyć” się jakoś nie mogę. Rygory miejscowej straży mają w tym coś do rzeczy. W całym wronkowskim „mamrze” poznaniaków, jako pensjonariuszy, niemal nie uświadczą. Trzon „klientów” dostarcza Lubelszczyzna, Kieleckie, dawne Wileńskie i Lwowskie – z zupełnie przyzwoitą reprezentacją regionu warszawskiego. Raz nam się trafił, przypadkiem, poznaniak „pod celę”. Niezły chłopak, więc brałem go w obronę, bo wszyscy na niego „huzia”. Ale miał wbite do głowy, że jedyne porządne powstanie polskie, to zrobili właśnie „poznańczycy” w 1918 roku, bo wygrali. Akurat... Wtedy wygraliśmy i w Warszawie, i w Krakowie, a nawet w Wilnie oraz Lwowie. I bez tego nie ruszyłby się w ogóle Poznań. W polskich dziejach są takie czasy, kiedy udaje się nawet sporo. Ale przychodzą również inne, w których nic tylko raz po raz brać trzeba w d... – „Zgadnijcie, chłopcy, co dla nas Opatrzność wyznaczyła?” Wszyscy zgodnie w śmiech, choć taki był jeszcze szmat głodnych godzin do obiadu.

Już klekocą zwrotnice Kutna. Dobrze, iż nie ma tu mego wronkowskiego poznaniaka. Podjąłby melodię, że nawet we Wrześniu jedyna prawdziwa bitwa była robotą Wielkopolan...

Łowicz-Sochaczew to już warszawska strefa. Zaraz inni ludzie dosiadają się do pociągu. Chcą mnie częstować czereśniami, kanapkami, mlekiem... Chłopina jakiś, widząc jak borykam się z zapałkami i kajdankami, śpieszy ze swoim ogniem.

I bez pytania wciska mi w kieszeń paczkę papierosów. Plutonowy i kapral widzieć to musieli, lecz nie zareagowali. Rodak stołeczny więc rusza z pytaniem do mnie: – „Jak tam teraz w więzieniach, dają jeszcze w ogóle coś jeść?” Interwieniuje chorąży, że rozmawiać nie wolno. – „Toteż i ja nie rozmawiam, a tylko się pytam”, pada błyskawiczna riposta. Śmieją się wszyscy w przedziale... Z uchylonego okna zawiewa Puszcą Kampinoską – pół na pół z wyziewami chemicznymi jakiegoś Chodakowa, czy Błonia. Dojeżdżamy naprawdę. Powinienem poczuć wzruszenie. Ale przede wszystkim mam kłopot. Ludzie widzą niemrawość konwoju i nawet z sąsiednich przedziałów niosą mi owoce, kiełbasę, słodycze, a ja przecież nie mam jak tego wszystkiego zabrać.

Przy opustoszałym już peronie „Warszawy Głównej” grupa umorusanych robociarzy majstruje coś przy torach. Rzucają robotę. Jeden biegnie ku mnie z czapką... papierosów – całe paczki, połówki, najwięcej sztuk pojedynczych. Ręce mam znowu „do tyłu”, kolejarz więc sam upycha mi „zrzutkę” po wszystkich kieszeniach, nie przejmując się pokrzykiwaniem zniecierpliwionego konwoju. Pomagam, by nie przeciągnąć struny, lecz i zaraz inkasuję inny profit. – „Gdzie teraz idziemy?” – „Do sądu na Koszykowej”. No, to wszystko jasne. Jakieś świadkowanie. Żadne tam UB. Ale wątpię, czy „wysoka sprawiedliwość” będzie miała ze mnie pożytek większy, aniżeli pies daje gnoju.

Droga krótka. Niewiele liznąć można widoków warszawskiej ulicy. Dziewczyn na niej nie brak i wszystkie, choroby, dziwnie wyładniały i ubarwiły się; nic nie wskazuje, aby odczuwały, że mnie w stolicy zabrakło... i całej tej czeredy chłopaków, niektórzy całkiem do rzeczy, jacy właśnie zaludniają różne Wronki, Rawicze i Sztumy, kopalnie węgla i uranu, kamieniołomy... Babska niewdzięczność!

Biurowiec sądowy, chroniony przez żołnierzy z KBW z bagnietami na broni, może i na kimś budził grozę. Przyłożono tu pieczętąki i podpisy do niejednej ludzkiej tragedii. Ja wkraczam rażno, bo moje wspomnienie stąd nie jest ponure. Raczej krotochwilne... Własny wyrok znałem z góry. Zapowiedział mi go śledczy oficer UB, zadowolony, że kończy robotę, ja zaś – po raz pierwszy – mu uwierzyłem. Intuicja mnie nie

zawiodła... Wojskowy sąd, obrońców nie wyłączając, był dalej kinem. Ale jego seanse, rozciągnięte na cały miesiąc, o ileż były ciekawsze od tkwienia miesiącami w piwnicach Pałacu Mostowskich – szlag by ów ród kasztelański trafił. Nawet nasi mecenasi stanowili atrakcję; przynosili papierosy i kanapki, a także wiadomości z domu. W „pałacu” wtedy dbano o człowieka, jak nigdy; łaźnia, fryzjer, czysta koszula, prasowane spodnie i lekarz na każde zawołanie. Ale najbardziej fajne było oglądanie na zatłoczonej, z reguły, sali sądowej normalnych ludzi; pierwsze ławki, wiadomo, okupowało UB i „rezerwa” sądownictwa, lecz zaraz za tym zobaczyć dawało się rodzinę, jakichś ciekawskich i koleżanki; znajomi płci męskiej, a wieku „poborowego”, słusznie stronili od widowiska, aby nie wplątać się w oczy UB pod zarzutem, iż „wiedział, a nie powiedział”. No, i rodziny na różne sposoby podkarmiły nas, jak za domowych czasów. Z mnóstwem papierosów, a to „w ciupie” twarda waluta. Był też swoisty sport, czyli przemykanie w drodze powrotnej nielegalnych przedmiotów. Głównie skrawków gazet, bo nawet *Trybunę* w „pałacu” dyskryminowano. Ale też i „draskę” od zapalek, bo ogień w celach podawano tylko urzędowo, cztery razy dziennie. Z tą „draską” to było już kino całkowite. Nie mogła zmoknąć. Zaś murowany sposób jej przerzutu, to w ustach, pod policzkiem, albo w diametralnie przeciwległym krańcu ludzkiego... przewodu pokarmowego. Należało znać upodobania, i docieklivość, danej zmiany „ubeckiej” straży. Nie zawsze się udawało. Lecz cały ten sport stanowił grę o jednej tylko bramce, gdyż w toku sądu – za podobne wykroczenie – karceru nie było zwyczaju aplikować.

Tym jednak razem w sądowych drzwiach gną mi się nogi i uderza do głowy... Widzę matkę. Jakim cudem zwiedziła się? Jak długo tu już wyczekuje? Ile zdążyło ją tu spotkać przykrości i upokorzeń? Co czuje – oglądając mnie w pełnym słońcu, w aresztanckim całkowitym „rynsztunku” i konwojowym rytuale?

Ja swój los jakoś sobie sam wybrałem. Nieprawdą jest, że komuniści zamykają wyłącznie tylko niewinnych. I zawsze mogę, chociaż sam przed sobą, zgrywać się na ideowca, czy bojowca, czy jeńca w tej specyficznej polskiej wojnie. A matka...?

To dopiero jest prawdziwa niesprawiedliwość, gdy główna część kary spada na osobę zaiste bez żadnej winy. Chyba że winą w Polsce jest – żyć i rodzić dzieci.

Niczym w narkozie ląduję w dużej celi przejściowej z gromadką starych kumpli, którzy – najgłupiej, jakby nie mieli już za sobą miesiący i miesiący odsiadki – podnoszą radosny rumor, od którego sądowy szef aresztantów, wojskowy chorąży, zgarnia mnie z miejsca do izolatki; świadek nie ma prawa kontaktować się z podsądnymi! Prawa, istotnie, nie mam, ale za to parę wypraktykowanych sposobów. Nie potrzebuję uzgadniać z kolegami zeznań; jesteśmy już „starym wojskiem”. Chcę wiedzieć, co tym razem jest grane. I czy UB, broń Boże, ma w naszej sprawie jakieś „nowości”, czy też puszcza zdartą swą płytę? Co mówić, wiem dobrze: „prawdę i tylko prawdę”, bo mnie – bezprawnie – zapewne zaprzysięgną. Ale w swej studenckiej grupie byłem najlepszy w... marksistowskiej dialektyce. Nie ma prawd abstrakcyjnych. Wszystko zależy od okoliczności czasu i miejsca. I od klasowych interesów. A czyż my, aktualnie, nie stanowimy w PRL odrębnej klasy społecznej – pariasów „socjalizmu”?

Zjawia się w izolatce chorąży z mojego konwoju. Z amerykańskimi papierosami. Od mojej mamy! Mówi, że był proszony o widzenie i zgodę na podanie mi paczki, lecz tu znajduję się w dyspozycji dyscyplinarnej i porządkowej – sądu. Doradził więc mojej mamie, by złożyła podanie do przewodniczącego. Czysta formalność, a będę miał widzenie i paczkę, jakich nigdy jeszcze nie miałem.

Pora mego wyjścia na scenę. Matka po drodze daje znaki, że wszystko bardzo dobrze... Zaczęło się rutynowo. Lecz później szło coraz gorzej i gorzej. Wyjątkowo tępy skład sędziowski, a prokurator – wręcz kabotyn. Czy oni naprawdę myśleli zrobić ze mnie świadka oskarżenia? Może liczyli, że we Wronkach każdy kruszeje? Z góry do mnie i z krzykiem. Wykorzystuję błędny zwrot „... niech oskarżony”, muszą się poprawiać i prostować stenogram. I tak parę razy. Zeznaję obszernie, lecz bez wartości dla postępowania sądowego. Gdy powtarzają pytanie, mój słowny potok jest jeszcze obfitszy. Rachuby czasu nie mam, ale odczuwam, iż wszystko wlecze się nieprzyzwoicie długo. I beztreściwo. Przerwa w obradach

wreszcie, lecz sąd – być może – wznowi przesłuchanie. Co oznacza, że konwój nie może jeszcze zabierać mnie z powrotem do Poznania.

Nie szkodzi, nacieszę się nim jeszcze do syta... A w mojej izolatce – istna bomba. Dziewczyna z krwi i kości! Sama jedna, a za mną zaryglowane są drzwi! Cóż za przestępstwo wobec aresztanckiego regulaminu! Jak Wronki rozległe i przepaściste, nikt chyba czegoś takiego nie doświadczył... Dziewczę, oczywiście, odsiaduje swoje; za NSZ z siedleckiego Podlasia; przyłożyli jej wyrok nie gorzej niż mnie. „Siedzi” w Fordonie, a to – wiadomo – takie babskie Wronki. Na Podlasiu ciągle jakieś nowe wpadki, więc dziewczyna świadkuje trzeci już raz; i dlatego izolatka. A mój – fart! Przedstawiam się w pełni inteligentnego, wolnościowego rytuału. Nawet ze stukiem drewniakowych obcasów. Może jest i naprawdę ładna, lecz ja sam nie nazbyt dowierzam wiarygodności własnych wrażeń. Z pewnością „wyszyfowana” do samych granic więziennego regulaminu; czyściutka, biała bluzka pod drelichem, czyściutkie białe skarpetki wywinięte na drewniaki; no, szczęśliwie nie strygą ich w tym Fordonie „na pały”, jak nas, a to z Rudolfa Valentino nawet czyni „kryminalistę”. Bardzo narzeka, biedaczka, na fordońskie zwyczaje, stosunki oraz kuchnię, chociaż z opowiadanych konkretów nic nie wyławiam szczególnego. W więzieniu, jak w więzieniu. Przeklinają? Bo u nas straszliwym rozmawiamy ze sobą językiem. – „Troszeczkę”, uśmiecha się. Nie wątpię, że dziewczyny mają los dużo gorszy niż my, od urodzenia szykowani do „trudów i znojów”; i bardziej zwyczajni brudu oraz chamstwa. Niestety, moje papierosy amerykańskie są wszystkim, czym mogę zamanifestować koleżeństwo i solidarność. Oddaję całą paczkę, bo przecież w każdej chwili – ją lub mnie – mogą stąd zabrać te sukinsyny.

Wchodzi mój kapral z konwoju. Jest zmieszany, mimo potężnej paki w ręku. – „Z dziewczyną do spółki odsiaduje się karę? Cholera, sąd zakazał ci widzenia z matką. Jakichś głupot musiałeś tam nagadać. Co tu za ludzie żyją w tej waszej Warszawie! Matka twoja tu kręci się pod drzwiami, wziąłem więc od niej tę paczkę. Szybko zjadaj, bo chorąży zobaczy; „panią” poczęstuj. Chorążemu powiem w razie cze-

go, że przecież was tu trzymamy cały dzień o suchym pysku. Diabli z tym waszym sądem. Ale zaczekaj, zaczekaj... ten ch... – kapral wyraźnie się zapomina – musi zaraz jechać na Komendę Miasta, stemplować nasze rozkazy wyjazdu i wypytać się o nocne pociągi...” – „Jaki ch... panie kapralu?” – wpadam w ton oraz słownictwo. – „No, mój dowódca. Zrobię ci wtedy widzenie z matką tutaj, jak by sam pan Bóg przykazał, albo i jeszcze lepiej”. Śmieje się całą gębą, zadowolony z siebie. Najmniejszego powodu ni chęci nie mam, aby zadowolone to kwestionować.

Matczynej paczki – dobrze ponad trzy kilogramy! – nie muszę nawet rozwijać, aby być pewnym, że zawiera najlepsze delikatesy z osiągalnych w całej stolicy. A może nawet i w całym „obozie pokoju”, bo te winogrona najwyraźniej pachną Bułgarią. Zgłodnieliśmy oboje, więc ruszamy z degustacją bez zwłoki. Ale dobre, wronkowskie, liniowe wyszkolenie więzienne weszło już w krew. W każdym momencie mogą mi ją zabrać. Albo dziewczynę, albo paczkę... Trzeba więc dzielić się zawartością natychmiast; niech sobie to dziewczyna jakoś poutyka. I trzeba ratować, rozpaczliwie, własny... honor mężczyzny. Ani chwili dalszej zwłoki! – „Koniecznie musimy umówić się na randkę – zaraz na wolności. Wszystko jedno, czy będziesz wtedy mężatką, czy nawet babcią. Nazwisko i adres proszę; notować nie muszę, bo pamięć mam fotograficzną. I przyjadę do Siedlec! Takiej zresztą znajomości nie zapomina żaden człowiek na świecie”.

Nie klei mi się za to rozmowa z matką; wyobrażenie wszystkich tych matczynych zabiegów i podchodów, by wtargnąć aż tu, do mojej izolatki, paraliżuje mi głowę i język, a przecież nie będę tu prawil daremnych morałów. Wytykam skład „hulaszczej” paczki. Chleb, cebulę i słoninę – mógłbym wnieść nawet do Wronek. Domowy schab, czy sernik ocaleje o tyle, o ile zaraz go zjem. Resztę mi odbiorą najdalej na wronkowskiej bramie. – „Zdrowi wszyscy w domu? No, bo ja, to jak rydz. I dobrze psychicznie. Najgorsze już za mną. Nauczyłem się odsiadywać więzienie. Coraz rzadziej nawet śni mi się inne życie. Nic to teraz nie boli. Uciążliwości, to i wy, na wolności, musicie różne znosić. Doświadczeni koledzy wmawiają mi, że mam wyraźne szczęście. Młody, zdrowy, bez

żony, dzieci – nic tylko teraz siedzieć i siedzieć. W Polsce mało kogo to, w formie takiej czy innej, omija, więc im szybciej się odsiadkę zaliczy, tym lepiej...”. Nie wiem, czy w ogóle jestem słuchany. Siedzimy przy sobie bez świadków, nikt nie pogania – i to najważniejsze. Uśmiechamy się do siebie może nie nazbyt promiennie, ale i bez przymusu czy sztuczności.

Wraca chorąży. Widzi matkę i paczkę, lecz tylko grzecznie prosi, by kończyć widzenie. Jest zadowolony, że nie będzie trzeba nocować w „tej cholernej waszej Warszawie”. O północy jest pociąg. Międzynarodowy: Moskwa – przez Poznań – do Berlina. Same „ruskie” zwykle nim jadą, ale przygarniemy się i my. – „Będiesz miał zagraniczny konwój i to silnie wzmocniony. Aż honorowy, powiedzieć można”.

Zbieramy się w drogę bez pośpiechu, ale systematycznie. Milicjanci pomagają pakować mi matczyną wyzerkę. Noc już dobra, a ręce mi zakuwają do przodu. Żeby „wałówkę” mógł nieść. Chorąży pogania tylko, by zjadać, ile się da. – „Do Poznania?” – „E, do Wronek, już jutro. U nas powiem oficerowi dyżurnemu, że była na paczkę z domu zgoda sądu. Klawisze z Wronek nie uwierzą; to dranie i potrafią nawet na nas spisać raport”.

Moskiewski ekspres ma dobrą połowę wagonów sypialnych, więc miejsc siedzących ani na lekarstwo. Mój chorąży stawia sprawę na szczeblu oficerskim i zaraz czterech szeregowców „ruskich” łąduje na korytarzu. A ja rozpieram się przy oknie i stoliczku. Jest gdzie rozłożyć prowiant. Lustruję sytuację. Naprzeciw młodszy lejtnant i starszyna, sliping pewnie od majora wzwyż. Baczniej mnie teraz oni lustrują niż ja ich. Przydają się tu kolorowe tablice przeglądowe ze Studium Wojskowego, na temat „Armie Sprzymierzone”. Ale jedna tam tylko odmalowana była, no, nie byle jaka – Armia Radziecka. Niezgorzej mi się trafiło, jej ekspresowi przedstawiciele to wojska pancerne. Urlopnicy pewnie. Ale w służbie też muszą swoje dobrze brać w d... Szeregowcy z korytarza świecą ogolonymi „pałami” głów jeszcze lepiej niż ja. Kręcą się pod drzwiami by mnie podejrzeć, na ile tylko osoba lejtnanta to umożliwia.

Panuje zgodne milczenie. Mam zjadać, więc rozwijam swoje pakunki. Z winogronami żaden problem, jak i z tor-

towym sernikiem. Ale schab pieczony nie chce się łamać, a bułka – jeszcze gorzej. Nie patrzę na „ruskich” i dopiero po czasie uświadamiam sobie, iż – chcąc nie chcąc – funduję im widowisko, że niech się schowa... Wojskowy Sąd Rejonowy. „Zakluczonyj” na takim żarcu! Niech poznają sobie polskiego „jaśniepana”! Dokładam jeszcze na stolik kolorowe amerykańskie papierosy.

Lejtnant wyciąga ku mnie, ni więcej ni mniej, tylko otwarty szczyryk, bym się nie męczył z tym schabem. No, „tiuremnych” regulaminów, widać, w Armii Czerwonej jeszcze nie uczą nawet w oficerskich szkołach... Rewanżuję się amerykańskimi papierosami – „po wsiech”. Biorą! W przedziale robi się istna wędzarnia, więc „gospoda oficery” wędrują sobie zgodnie na korytarz. – „Zegarkami będą handlować” – mówi głośno mój kapral. Co mnie do tego? Okrutnie jestem objedzony. Ale do senności mi daleko.

Ruski starszyna „wyjeżdża” ze swej strony z papierosami – „Bielomor kanał”. Ot, byłby temat do rozmowy; to przedwojenny jeszcze kanał sławny wielce, a wymoszczony kośćmi więźniów. Lecz po co mi ich prowokować? Na Łabie czy innej Sprewie są najbardziej zewnętrzną ochroną Wronek. I wszystkich innych „białomorskich kanałów”. I mego Wojskowego Sądu Rejonowego. A domyślają się tego chociaż? Pięciu groszy bym nie dał...

Ale starszyna nie wytrzymuje naporu swego zaciekawienia, chociaż wiedzieć musi, że rozmowa z konwojowanym, to rzecz najsurowiej wzbroniona. – „To tak was karmią?” – „No, nie zawsze” – odpowiadam wyjątkowo prawdziwie. – „To i, widać, przeżyć można. A za co wy popadli w tiurmu?” Odpowiadam jeszcze bardziej zgodnie z prawdą. – „To i chociaż sprawiedliwie. Bo u nas zdarzało się, że i zamykali „za bezdurno”. Siedzieć w więzieniu, czy latami służyć w wojsku, to nie taka duża różnica. Zwłaszcza u was, bo klimat ciepły i wyżywienie, widzę, całkiem przyzwoite. I służyć w wojsku – czy odsiadywać swoje – można chociaż blisko domu. U nas straszne są odległości; ja spod Uralu, a teraz znad koreańskiej granicy rzucają mnie do Germanii; tyle że karmią tam, ludzie mówią, nie gorzej niż w waszej tiurmie; mało z tego pociechy, bo rodziny z sobą zabrać nie dali, ale chociaż się popatrzy,

jak ci Germańcy, sobaki, sobie żyją; ja, widzicie, frontowik jeszcze, pięć mi służby zostaje, to szybko mnie, rzucanemu ciągle, zleci... Nie bójcie się, zleci i wam. Przyjdzie i wolność, i żona, i dzieci”.

Trafił mi się pocieszyciel. Za szybami ekspresu mignął Konin, a niebo z każdym kwadransiem sinieje. Ale tylko zdrzemnąć się, to pobudka już w Poznaniu. Pociąg ruski, a ciągnie jak szatan. Z tym starszyną też nie wiedzieć, co myśleć; najeżdźca, wróg, niespecjalnie lotny, a człowiek lepszy może od niejednego poznaniaka; od warszawiaka niejednego, prawdę powiedzieć, też...

Budzę się wcześniej od mojego konwoju; kapral tylko drzemał czujnie, na jedno oko, reszta zaś – z dowódcą na czele – niczym worki z kartoflami. Ale nie będę pisał na nich raportu, że źle pilnują. Jak tak potrafią pełnić służbę nawet poznaniacy, to jak ona musi wyglądać na przykład na Podlasiu? I niekoniecznie tylko w milicji i wojsku... Już i fabryki Poznania. Szkoda, pospałbym jeszcze. Lecz zbieram się z całym konwojem bez przykrości. Zaraz będziemy na... 27 Grudnia i będę wylegiwał się bezczelnie w biały dzień. Wstyd się przyznać, ale odczucie podobne jest wracaniu na swoje stare śmiecie. „Spoznaniaczyłem” się i ja? E, raczej zmęczenie; tyleż wrażeniami, co i fatywą. Częstość Rosjan wszystkich po „amerykanie”, bo i tak ich wszystkich do Wronek nie przeszwarcuję. Starszyna rewanżuje się ledwo ruszoną paczką „Białomor kanałów”. – „Macie, widzę, co palić, ale w „tiurmie” za dużo jest tylko wyroku”. A lejtnant, mimo komsołmskiej odznaki, życzy szybkiego powrotu do domu.

W kolejowym komisariacie cała nasza ekipa chrapie w jeden głos na siedząco, z głowami na urzędowym stole, bo samochód z komendy wcale się ku nam nie śpieszy. W areszcie „na Grudnia” rewizja, a jakżeżby inaczej, lecz moje trofea spożywcze i tytoniowe tyleż tu ich obchodzą, co zeszłoroczny śnieg; nawet papierosów nie łamią w połówki; przecież fabrycznie paczkowane, usprawiedliwia się (przede mną?!) plutonowy, zaspany, widać, niezgorzej. I zaraz z muzycznego sklepu na ulicy ryk... „Kwiatu paproci”, na przemian z „Nocą w Zakopanem” i „Letnią przygodą”. Jako szykanę w ramach męczenia się za Ojczyznę, trzeba wytrzymać. Teraz ja zmie-

niam się w bezkształtny i nieświadomy – wór kartofli. Nawet nie chce mi się wyrzeć ponad „blindą”, czy przypadkiem nie zaczynają już chodzić po ulicy... dziewczyny.

Następnego ranka konwój całkiem nowy. To źle, bo nas-troszony i... nastraszony wronkowską famą; będę musiał od początku rozgryzać ich pojedynczo i oswajać. Ale też i dobrze; mogę im wmawiać, co chcę, o łaskawości aprowizacyjnej warszawskiego sądownictwa wojskowego; najwyżej sobie pomyślą, że dużo tam „zakapowałem” i dali nagrodę; będą rygorystyczni z regulaminem, żebym i ich nie „urządził”, ale teraz droga do Wronek krótka i jak strzelił. Nie tak, jak było z przyjazdem tam, by w tym zakolu Warty ugrzęznąć już po dziś dzień.

Pociąg nasz, to na Szamotuły-Krzyż. Polskiej geografii wreszcie człowiek się trochę poduczy. Szamotuły, coś pamiętam, nie stanowiły w Wielkopolsce społeczności szczególnie sfornej, tolerowały różnych innowierców i raz za razem dawały powstańców. Ale Krzyż? Żeby mi wcześniej grożono nawet urżnięciem łba, nie wykrztusiłbym, gdzie takie miasto może u nas być. Północny skraj Puszczy Noteckiej. Duży węzeł kolejowy. Ale tuż przed nim, na południowym skraju lasów, właśnie Wronki. Jeszcze niemiecko-cesarski zamysł i takąż robota.

A jak to wypadło z naszą zsyłką tutaj? Już wspomniałem o szaleństwie w więzieniach warszawskich, kiedy – zaraz po śmierci Stalina – berlińscy Niemcy rozpętali istną kontrrewolucję... Stołeczna zaś komuna z pasją jęła opróżniać pod ręczne kryminały. Dzień i noc oraz transport za transportem. U nas, w praskim zakładzie przy ulicy – *nomen omen* – 11 Listopada, zabierano w drogę jednakowo ludzi z karą śmierci, jak i z tygodniami odsiadki tylko do końca wyroku. Byliśmy wszyscy w strachu. Strażniczej zmiany „władza ludowa” nie puściła do domów, a wzmocniła ją zmianą nocną. Wszędzie zdwojono warty; na wieżyczkach pojawiły się rkm-y. Pogodnie było, więc całą więzienną kancelarię rozlokowano na dziedzińcu, by tasować *non stop* papiery, wyroki, transporty, a nade wszystko – ludzi. Pędzili ich, dranie, z workami „depozytów” w rękach ku zewnętrznej bramie, gdzie odbierało ich już, po trzy razy licząc i sprawdzając – wojsko. Nie byle

jakie, z granatowymi otokami, a więc Korpus Bezpieczeństwa Wewnętrznego. W asyście rozstawionych wokół rkm-ów i ujadających, strażniczych psów. A nie sposób było dowiedzieć się, co w ogóle zaszło. W kraju, czy na świecie? Coś wielkiego, to jasne, bo nikt z nas podobnej operacji nigdy nie oglądał; nie było takowej nawet wówczas, gdy umarł Stalin. A więc wojna, albo...

Nasz transport zestawiono dopiero trzeciego dnia szaleństwa. Skład niczego dobrego nie wróżył, mój wyrok był tu najniższy i – jeden tylko. Ludzi z „k.s.” jednak odłączono po godzinie. Wyczekiwaliśmy o chlebie i wodzie, gdyż kucharzy wywieziono szybko. Tyle, że nikt nie uskarżał się na głód. Frapowało nas – wojna to, czy nie wojna. I, prawdę mówiąc, dławił lęk. Wiadomo, co praktyka „socjalistycznego budownictwa” nakazuje uczynić z więźniami, gdy chwieją się zasadnicze ideowe pryncypia ustroju. Ale klasyczne symptomy wojny widocznymi nie były; zaciemnienie, syreny, pogotowie przeciwlotnicze... Może być, iż to dopiero mobilizacja. Też niewesoło... Nasza władza, rzecz jasna, bazowała na co dzień na sąsiedzkiej „przyjaźni oraz współpracy”, to cóż powiedzieć o chwili zagrożenia? Grupa nasza, gwardziści wyroków, tylko w łasce boskiej lokować mogła nadzieję. No ale – przecież nie zaraz to musi być Kołyma czy Workuta. Związek Sowiecki jest rozległy i klimatycznie zróżnicowany. Byli przecież wśród nas i tacy, którzy tam jakoś przeżyli.

Spekulację urywa rozkaz maszerowania do bramy. W asyście zbrojnej, co wewnątrz więzienia stanowi osobliwość, ale to jeszcze zwyczajni „klawisze”. Trzeciej bodaj zmiany... Zaś zaraz za bramą – szpaler żołnierzy KBW. Prosto ku „sukom”, więziennym autobusom, które Rosjanie zowią „czornymi woronami”. Zbłądzić nie sposób. Lecz gdyby i komuś to się zdarzyło, pomoże mu drugi kordon KBW, otaczający cały plac przed więzieniem. Żołnierze są rozstawieni dużo luźniej, ale to wśród nich pieklą się teraz psy i przyciągają kolby leżący celowniczo rkm-ów; mają dobrze pomyślane pole ostrzału, bo tylko nas i więzienny, wysoki mur.

„Suki” jadą mozolnie, bo przeładowane są nami oraz eskortą, i cholernie długo, gdyż w duchocie niesamowitego tłoku i rozpalonych upałem blach. I w zupełnej niewiedzy tak

celu, jak i bodaj kierunku. Na jakichś rozległych kolejowych bocznicach przeładowywani jesteśmy – z erkaemowym ceremoniałem – do kolejowych wagonów, które wtedy jeszcze i u nas nazywano „stołypinkami”. Na pamiątkę carskiego ministra spraw wewnętrznych, czy może sprawiedliwości... Było teraz kwestią kapitalną, do jakiego pociągu zostaniemy podczepieni. Nic nie widać na zewnątrz, lepsze szpary ma chyba trumna; nasze najlepsze „złote rączki” biorą się jednak z miejsca za potrójnie zabezpieczone okienka. Wagony przetaczane są tam i z powrotem, aż wreszcie słychać wyraźny zgiełk wielkiego dworca. I megafony kolejowe, spokojnie zapowiadające odjazdy i przyjazdy. Nic – z kierunku wschodniego! Lecz diabeł nie śpi nigdy. Zarządzamy i u siebie absolutną ciszę, jak na bombardowanym okręcie podwodnym. Trzeba wyłowić moment, kiedy megafonowa zapowiedź zbiegnie się z ruszeniem naszego pociągu.

– „Pociąg osobowy do Poznania przez Kutno, Wrześnię...” i koła u nas drgnęły. Trwamy w ciszy aż do rozwiania najmniejszych wątpliwości. Żaden wschód, ale ordynarny zachód! Nie nasza jedna cela taka mądra; gdzieś z drugiego końca wagonu zrywa się istny ryk „Nie rzucim ziemi”, ale stopniowo górę bierze śpiew „Warszawianki”. Ile jeszcze sił w zaschniętych gardłach, włączamy się i my.

Pęd pociągu chłodzi blachy, zresztą pofolgowało już chyba słońce. Na korytarzyku żołnierze KBW roznoszą wodę. Ten carski minister, choć ruski, musiał być człowiekiem inteligentnym; nasze celki można z zewnątrz otwierać na łańcuch, za pierwszym taktem tylko tyle, by podać do środka kubek, lecz przy takcie drugim – przez drzwiczki wsunęłaby się i niezła micha. Eskorta bez pepesz i bagnetów na karabinach, to inni zupełnie ludzie. Krążą z tą wodą bez wytchnienia. Młodzi, wiejscy, konopiaści chłopcy – jakich, wypisz wymaluj, bez liku jest i wśród nas.

W Poznaniu wówczas, głęboką już nocą, długie tkwienie gdzieś na odludnej bocznicy. Nasi pesymiści, wspominałem już, zachodzą w głowę, czy pisany jest nam Rawicz, czy Wronki, choć wiadomo z góry, iż tu „Pac wart pałaca, a pałac Paca”. Ja solidaryzuję się raczej z optymistami. Ci raz po raz podnoszą „błogość” sytuacji. Tak Rawicz, jak i Wronki to

„istotny” zachód. I nie jest nam szykowane „rozwiązanie ostateczne”. Któż by bowiem – w dobie planowanej gospodarki – tłukł lokomotywę i tabor taki szmat drogi, kiedy tyle miejsc na głębokie doły łatwo znaleźć pod Kampinosem czy innym Wyszkowem?

Zagrożenia hipotetyczne jednak mają ograniczoną zdolność tuszowania rzeczywistości realnej. Wesołą ona nie była. Fama Wroniek rozbrzmiewała złowrogo po całej więziennej Polsce; nawet, jeśli by skorygować ją o współczynnik przesady; represyjność, rygorizm i śmiertelność miały tu bić rekordy, a bezkarność i wszechwładzę sadystów dodatkowo chroniło schowanie się ogromnego więziennego kombinatu – w głębi głuchej prowincji. Pierwsze wrażenia obaw bynajmniej nie rozwiewały. Połączone siły konwoju, ubezpieczenia Wroniek oraz straży więziennej – były chmarą, my zaś tym bardziej bezbronną garstką. Chodziło, zdaje się, o efekt psychologiczny. Z pewnością było to główną funkcją czeredy wilczurów. I pogonienie nas w stronę wielkich, z czerwonej cegły, gmachów i murów – po sporym, jałowym wyczekiwaniu i w sytuacji, gdy tu nikomu nie było już do czego się śpieszyć. Ale tempo gonienia wewnątrz więzienia jeszcze nasilono. Człowiek momentalnie głupiał od ilości bram i długości korytarzy, a straż robiła wrażenie wręcz rozjuszonej. Drastyczna rewizja też odbywała się właściwie w biegu. Ludziom, zebranych do ostatniej suchej nitki, kazano rozsypujący się przyodziewek łapać w garść i pędzić dalej, istnym rykiem, mocno tu rezonansującym o ślepe mury, korygując kierunek. Sławetne linie białe i czarne rozgraniczające na posadzkach strefy więźniowi zakazane i dozwolone – potęgowały kaskady krzyku. I według famy przy tej okazji najciężej bito żelaznymi kluczami. Osobiście nie „oberwałem”, ani też bodaj nikt z naszych. Może mieliśmy szczęście, a może już zaczynał powoli łagodnieć wronkowski obyczaj.

Ogłupiał byłem wtedy, jak inni, ale intuicyjnie czułem, że to obróbka bardziej psychiczna niż fizyczna. Życ będzie-my... Na rozpoczęcie zaś poważnego zamartwiania się w każdym razie dość powinno być tu czasu. No, i rok tu zleciał, jak z bicza trzasł; miniony czas więzienny, to błyskawica, bo w monotonii pamięć nie ma o co się zaczepiać.

Teraz będę chociaż miał chłopakom coś nowego do opowiadania. Koloryzując, rzecz jasna, ile tylko się da, gdyż tu nie są ważne żadne fakty obiektywne, lecz zabijanie czasu. Papierosy amerykańskie, przemieszane z ruskimi, będą dobrymi rekwizytami całego przedstawienia. Były mi tylko kumpli w celi, w międzyczasie, nie przetasowali; mniej więcej co kwartał rozbijane są ludzkie składy, aby nie stały się nazbyt zgrane. Już zupełnie potraciłem z oczu chłopców z warszawskiego transportu. Ale i tak będzie przed kim robić z siebie primabalerinę.

Po pięciu nas teraz egzystuje na powierzchni ze 4 m x 3,5. Po tym co było, niemal luz... Najdziwniejszy typ, to „starszy celi”. Sprytny oraz inteligentny, pod czterdziestkę już, z Zawiercia, złączający się, gdy go nazywać Ślązakiem. Ponoć oficer-lotnik tuż sprzed wojny, później w AK – skąd w niejasny sposób trafił do Niemiec, aż uwolnili go Anglicy. Nie odwdzieczył się im specjalnie; za knajpianą strzelaninę, w której zginął brytyjski żołnierz, trafił z dużym wyrokiem do tamtejszej „tiumny”. Zwolniony przed czasem, wrócił do kraju – po karę 15 lat za szpiegostwo. Miał między nami najlepsze więzienne doświadczenia oraz kwalifikacje; utrzymywał twardo, że Wronki wcale nie są najgorszym miejscem na świecie, Poznaniacy zaś, mimo wszystko, to jednak ludzie w porównaniu do strażników niemieckich, nadzorowanych przez Anglików.

W „celowego” wieku był „zabójca”. Zabił był własnego teścia w awanturze na podczęstochowskiej wsi. Miał dożywocie dlatego ponoć, że ów teść dzierżył urząd gminnego sekretarza PZPR; lecz „zabójca”, naciśnięty przez nas, wyznał, że i sam należał jeszcze do PPR... Jedyne w celi bez wykształcenia. Ale najspokojniejszy i najpocziwszy. O pracowitości już nie mówiąc; dobra połowa rygorystycznego, wronkowskiego porządku w celi, z czystością „kibla” także wewnątrz – jego właśnie stanowiła załugę.

Drugie dożywocie w celi ma Grzegorz, Ukrainiec spod Lubaczowa, zresztą z ułaskawienia po karze śmierci. Oczywiście za UPA, bo na nią sypały się wyroki naprawdę drastyczne. Siedział ładnie już parę lat, chociaż tak w ogóle to miał sam tych lat ledwo 25. Zwinięto go tuż przed maturą, już po akcji

„Wisła”, gdzieś na Mazurach. Nie wykluczam, że służył w „pol-wychu” UPA, albo w jej „bezpieczeństwie”, sugerowałby to wymiar kary. Nic o tym sam nie mówił i zresztą nic i nigdy nie opowiadał o swojej wojaczce. Ani o śledztwie. Inaczej niż my... W ogóle nie poruszał z nami żadnych spraw ukraińskich, starych czy aktualnych. Też od nas odmiennie; kampanię 1939 roku na przykład, albo Powstanie Warszawskie, ze wszystkimi preliminariami potrafilismy wałkować w celi dłużej, aniżeli one trwały; przysłuchiwał się, wyglądało, z ciekawością, ale bez zabierania głosu. Zachowywał wobec nas, polskiej większości, w ogóle swoisty dystans. Wiedział, że źle jesteśmy nastawieni do Ukraińców oraz UPA, jak i cała Polska. Pilnowaliśmy się tylko, aby go nie urazić, bo tu dzielił z nami wspólny, sobaczy los. „Celowy”, najstarszy wyga, ocenił nawet Grzegorza, jako poza podejrzeniami o donosicielstwo dla więziennego UB; „Ukraińcy, to dranie – mówił – ale w innym gatunku; nie słyszałem, aby któryś z nich szpiclował bodaj przeciw Polakom”.

Paweł był czwartym. I trochę na specjalnym statusie... Przeszedł do nas prosto ze szpitala MBP, gdzie kurowano go z ciężkiego postrzału w głowę. Mało co mógł zbujać, gdyż wybite oko widział każdy, jak i świeżutką bliznę na policzku, gdzie ów pocisk wyszedł... Żartował, iż ma pecha przemieszanego z cholernym szczęściem. Ponoć nie dłużej niż miesiąc „chodził” sobie po białostockich lasach. W zasadzce KBW padł od pierwszej serii; zdążył usłyszeć tylko: „obywatelu poruczniku, bandzior ubity, to i urlop w kieszeni” – zanim zapadł w ciemność. Reszta grupy uszła, więc z rannym Pawłem ubecja urządziła istny cyrk. Samolotem – do wojskowego szpitala w Olsztynie. Tam prosto na stół operacyjny. Ponoć raz, drugi i trzeci... Zaśmiewaliśmy się do łez, gdy opowiadał, jak ubowcy kręcili się koło jego szpitalnego łóżka, błagając najpokorniej, by Paweł sobie cokolwiek przypomniał i im zeznał. Lekarze wojskowi odganiaли ich, biedaków, niemal kijem. Pielęgniarki łąły im w żywe oczy, fałszowały zapisy ciśnienia oraz temperatury. Paweł zaraz wyuczył się takiego odkastywania, żeby na życzenie mieć... krwotok. Jak tylko ubeckie wścibstwo przekraczało miarę, zaraz aplikował swoją sztuczkę. I wybuchała dzika awantura medyków z ubekami.

Słyszał ich bezsilne skargi: – „popatrz, my z nim grzeczniej niż z własną żoną, a ten s...syn krwawi i krwawi”.

Był Paweł ciągle w kondycji, prawdę mówiąc, marnej. I to chyba dlatego sąd wojskowy, miast zwyczajowej „piętnastki”, przypisał mu był w wyroku lat jedynie 13. My zaś oszczędzaliśmy go, chociaż się wzbraniał, w porządkowych robotach; najwięcej nasz „zabójca” z PPR... Dramatem Pawła, którego nawet nie próbował zbywać żarcikami, była sprawa jego ojca, majora Wojsk Ochrony Pogranicza. Zdegradowany i wyrzucony ze służby za Pawła, przyjechał z drugiego końca Polski na widzenie do Wronek. – „Mnie nic nie będzie – desperował później chłopak w celi – ale starego już całkiem dobili”.

Kompletu załogi dopełniał niżej podpisany. Była ona raczej przeciętna. Na pewno w sensie „stopy życiowej”; dwóch tylko z nas miało regulaminowe wsparcie materialne z domu, więc cela się nie przejadała, a palenie wypadało bardzo oszczędnie. Psychozy i napięcia, zwane „zajobami”, też utrzymywały się w więziennej normie. „Celowy” lubił powtarzać, że nie tylko Paweł stuknięty jest w łeb, lecz my wszyscy na miarę odsiedzianego już kryminału...I miał rację. Mnie uczepili się z racji najniższego w celi wyroku; wywodzili, że takie coś odsiedzieć można nie wstając z „kibla”, a już na pewno tuż pod nim – i najdalej od okna – powinienem spać. Nie zgadzałem się, lokalizację noclegu względem wspomnianych punktów odniesienia regulował zwyczajowo staż w danej celi, albo staż więzienny. Bzdura, którą brałem całkiem poważnie. I kiedyś przeze mnie raz podpadliśmy „inspekcyjnemu” wszyscy w ramach zbiorowej odpowiedzialności; metalowe okucia celowych akcesoriów, pucowane do błysku dzień w dzień, na moim dyżurze nie świeciły się, jak... no, wiadomo co. Była pretensja.

Ale teraz już sobie wyobrażałem miny ich wszystkich oraz umizgi, gdy rozłożę wreszcie w celi zdobycze tytoniowe oraz spożywcze. I gdy zacznę snuć przed nimi barwną opowieść.

Niestety. Do poczęstunku, oczywiście, długo zapraszać nie musiałem. I zaraz zadymiło w celi niczym w smolarni. Ale – skołowany – nazbyt szybko i wiernie pochwaliłem się sensacją, iż godzinami przebywałem w celi sam na sam – z

dziewczyną. Wstrząśnięci byli. Co tu kryć, niezgulstwem moim. Paweł to wprost chwycił się z jękiem za swą poharataną łepetynę. – „Jedne tylko takie cztery litery zamknięte są w całych Wronkach, i owe właśnie musieli wysłać do Warszawy. Sprawiedliwości nie było, nie ma i nie będzie. Wyobrażacie sobie, jak teraz my wszyscy wyglądamy – w babskich pogaduszkach u nich, w Fordonie?”

Bohdan SKARADZIŃSKI

Władysław KEMPMI

MIĘDZY KATOWICAMI, WROCŁAWIEM I LEGNICĄ

Władysław KEMPMI urodzony w 1903 roku, jako uczeń klasy siódmej Gimnazjum imienia Zamoyskiego wziął udział w wojnie polsko-sowieckiej 1920 roku w 8 Dywizjonie Artylerii Konnej. Zdawszy w 1922 roku w tymże Gimnazjum maturę rozpoczął studia na Wydziale Prawa i Nauk Politycznych (tak się wówczas Wydział ten nazywał!) Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 1927-1929 był prezesem Towarzystwa Bratnia Pomoc Studentów UW a także prezesem Ogólnopolskiego Związku Bratnich Pomocy. Po ukończeniu w 1927 roku studiów prawniczych jakiś czas w dalszym ciągu był zaangażowany w pracę w akademickich organizacjach, a następnie wstąpił do służby samorządowej w warszawskim Zarządzie Miejskim. W roku 1935 otworzył w Warszawie – czynną do kwietnia 1940 roku – kancelarię adwokacką. Uczestniczył jako podporucznik rezerwy 36 pułku piechoty Legii Akademickiej w kampanii wrześniowej i w obronie Warszawy. W latach okupacji przetrzymywany był na Pawiaku a potem między majem i lipcem 1940 roku więziony w obozach Sachsenhausen i Mauthausen-Gusen.

Po zakończeniu wojny w maju 1945 roku udał się wraz z ekipą Banku Gospodarstwa Krajowego na Ziemię Odzyskane do Wrocławia i Legnicy. W lutym 1951 wrócił do Warszawy. Od 1951 do przejścia na emeryturę w 1974 pracował jako radca prawny szeregu instytucji i w tym dłuższy czas jako naczelnik Wydziału Prawnego Zarządu Ruchu Lotniczego i Lotnisk Komunikacyjnych. Zmarł w Warszawie dnia 23 kwietnia 1981 roku.

Zmarły pozostawił po sobie, będące w posiadaniu rodziny obszerne Pamiętniki, których fragmenty zamieszczone poniżej przygotował do druku syn, Andrzej Kempfi.



Pamiętam, że akurat 9 maja byłem w Katowicach. Była to niedziela i poszedłem do kościoła. W czasie Mszy świętej wszedł na ambonę ksiądz i ogłosił, że właśnie w tej chwili nadeszła wiadomość, nadana przez radio, o kapitulacji Niemców i o końcu „tej strasznej”, jak się wyraził ksiądz, wojny.

Wiadomość powinna być radosna, ale jakoś radośnie jej nie przyjąłem, bo koniec wojny nie przynosił nam tego, na co czekaliśmy... Miesiąc maj 1945 roku był miesiącem, w którym krążąc między Częstochową a Katowicami i z powrotem czekałem na okazję dostania się do Wrocławia, którego przypadnięcie wraz z Dolnym Śląskiem Polsce było wydarzeniem dnia. W początku czerwca uruchomiono – na krótko zresztą – komunikację lotniczą z Katowic do Wrocławia. Biuro „Lotu” znajdowało się na ulicy Mariackiej. Ponieważ inne możliwości komunikacyjne zawodziły – kolej jeszcze do Wrocławia nie kursowała a o jakąś komunikację samochodową było bardzo trudno – skorzystałem z możliwości przelotu samolotem. Przelatywałem między innymi nad Opolem, przy czym widok, z niewielkiej zresztą wysokości, był straszny. Wydawało się, że sterczą same tylko kikuty kominów, które pozostały po spalonych domach. Tak samo wyglądał z góry i Wrocław.

Samolot wylądował na jakimś podwrocławskim lotnisku. Do miasta dowieziono nas jakimś starym „gratem”, samochodem pocztowym. Wysadzono nas przed centrum ówczesnego życia – gmachem sądownym, który ocalał i w którym funkcjo-

nowa! już Zarząd Miejski z prezydentem Drobnerem na czele. Ekipa Drobnera przyjechała z Krakowa, gdzie była organizowana już wcześniej. *Nota bene* i ja także starałem się wcześniej przez Kraków dostać do Wrocławia, ale to mi się nie udało. Łatwiej jednak było z Katowic.

Jeszcze w Katowicach powiedziano mi, że we Wrocławiu zarezerwowany został dla Banku Gospodarstwa Krajowego któryś z poniemieckich gmachów bankowych. Jednak adresu przez BGK zajętego gmachu, i to mimo tego, że jak później się okazało znajdował się on bardzo blisko, dowiedzieć się mi w Zarządzie Miejskim nie udało. Skierowany zostałem na ówczesną Gartenstrasse (późniejsza ulica Ogrodowa a następnie Świerczewskiego), gdzie miały być hotele. Na Gartenstrasse leżący lepszy hotel „Vier Jahreszeiten” był już wszakże całkowicie zapełniony i doradzono mi, bym zwrócił się do innego bliżej Dworca Głównego położonego hoteliku w którym istotnie znalazłem nocleg. Materacy było „bez liku”, ale okna były bez szyb. Było to jednak lato, czerwiec. Wrocław się jeszcze palił. Były to pożary spowodowane przeważnie przez – że użyję słowa które zrobiło wówczas karierę – „szabrowników” plądrujących po piwnicach wypalonych domów i składów towarowych.

Bo wtedy we Wrocławiu rzeczywiście „pieniądze leżały na ulicy”. Trzeba tylko było chcieć i umieć się zabrać do zbierania tych pieniędzy, a także mieć samochód, benzynę, słońcę i spirytus, a można było załadować wszelkiego rodzaju dobro i wywieźć je do Polski centralnej, aby tam sprzedać za dobre pieniądze. Takich kombinatorów, zwanych szabrownikami, było już wtedy bardzo wielu.

Następnego dnia bez trudu odnalazłem gmach zarezerwowany dla BGK. Było to na Schlossstrasse, małej uliczce w pobliżu Rynku Głównego. Zastałem tam członka ekipy bankowej, p. Paradowskiego, który poinformował mnie, że główny oddział Banku usadowił się nie we Wrocławiu a w Legnicy i tam też wraz z innymi członkami ekipy pojechał dyrektor Marian Lewicki. Zapadła bowiem decyzja ulokowania władz i instytucji wojewódzkich właśnie w Legnicy (czy raczej, że użyję będącej wówczas w obiegu formy w Lignicy – niemiecka Liegnitz) zamiast w potwornie zniszczonym i

gdzieniegdzie palącym się jeszcze Wrocławiu.

Czekałem więc na okazję wyjazdu do Legnicy, co nie było łatwe. A tymczasem chodziłem po ruinach Wrocławia, ale w dzień tylko, bo już o zmierzchu było niebezpiecznie wychylać się poza miejsce tymczasowego pobytu. Działy już jakieś stołówki, w których jadło się tylko pochodzącą z zarekwirowanych zapasów wojskowych marynowaną wieprzowinę.

Po kilku dniach w dużej grupie osób dostałem się samochodem ciężarowym do Legnicy. Wśród pasażerów samochodu tego były osoby cywilne i wojskowe – Sowieci. Chroniło to nas zresztą przed różnymi niespodziankami na tak zwanych „kontrolnych punktach” rozmieszczonych wzdłuż autostrady z Wrocławia do Legnicy. A także zabezpieczało przed grasującymi na trasie bandytami.

Do Legnicy dojechałem już wieczorem i zanocewałem na kwaterze u pierwszych lepszych napotkanych Polaków. Ludzie byli wtedy przyjaźnie do siebie usposobieni i wzajemnie sobie pomagali, a zwłaszcza wtedy gdy chodziło o jedzenie i „popicie”. Następnego dnia łatwo już odnalazłem ekipę bankową. Dyrektorem tej ekipy był już wspomniany stary urzędnik bankowy, p. Michał Lewicki, a co do lokalu na pomieszczenie dla Banku to zarezerwowano go na legnickim Starym Rynku w pobliżu zachowanych dawnych kamieniczek. Był to lokal lichy nie bardzo nadający się na oddział tak dużego i znanego banku, jakim był Bank Gospodarstwa Krajowego.

Dyrektor Lewicki zajął dla siebie lokal mieszkalny w nowoczesnej dzielnicy Legnicy przy ulicy, która nosiła nazwę „Raupachstrasse”. Tam też na razie i ja się zatrzymałem, zajmując jeden z małych pokoików. Lokali było zresztą dużo, bo co zamożniejsi Niemcy przeważnie uciekali przed nadchodzącymi wojskami sowieckimi a pozostała tylko biedota.

W ogóle koncentracja władz i instytucji wojewódzkich sprawiała, że w Legnicy raz po raz spotykało się wielu ludzi i w tym – podążających bądź z zachodu na wschód, bądź też odwrotnie – wielu znajomych.

Życie na gruncie legnickim w tym początkowym okresie płynęło raczej beztrudnie. W kościele Świętego Jana odbywały się już polskie nabożeństwa, więc chodziło się do kościoła. Kościół ten stał tuż przy starym ratuszu, który ocalał i w

którym miały siedzibę powstające polskie władze miejskie, i był to w zasadzie kościół ewangelicki (odbywały się tam jeszcze nabożeństwa ewangelickie dla nielicznych pozostałych Niemców).

Wynalazłem sobie i uzyskałem formalny przydział na mieszkanie przy ulicy „Frauenstrasse” – później Panieńskiej – w którym mieszkała jeszcze jego właścicielka, będąca jednocześnie właścicielką wielkiego składu aptecznego mieszczącego się na parterze, oraz magazynów zajmujących całą oficynę. Mimo „rozsabrowania” do którego zdążyło już dojść było tam pełno jeszcze wszelkiego dobra.

W mieszkaniu zająłem na razie jeden duży i ładny pokój, w którym nocowałem. Resztę dużego mieszkania zajmowała jego właścicielka, która zresztą w niedługim czasie z jakąś grupą Niemców wyjechała a raczej wyszła z Legnicy, bo żadnej innej komunikacji Niemcy nie mieli.

W ogóle z satysfakcją się wówczas patrzyło, jak to Niemcy z drobnym dobytkiem na wózkach przez nich samych ciągniętych wychodzili na zachód w kierunku Drezna. Wszystkie meble i inne rzeczy oczywiście zostawiali.

Dworzec kolejowy w Legnicy, nie zniszczony, był wtedy niedostępny z powodu jego zanieczyszczenia, jako że była to jedna wielka kloaka. Pociągi przechodziły, ale tylko towarowe, wojskowe.

Osobne słowo należy się działającej podówczas w wojewódzkiej Legnicy Wojewódzkiej Grupie Operacyjnej Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów – Grupie podówczas powszechnie i nie bez podstaw określanej mianem „grupy szabrowniczej”. Otóż pewnego razu jako radca prawny Banku wraz z dyrektorem Banku Lewickim wezwany zostałem na odprawę kierowników powiatowych grup tej właśnie Grupy Operacyjnej. Na odprawie tej każdy z powiatowych kierowników składał sprawozdanie, w którym miał się wypowiedzieć na trzy tematy: o stosunku z władzami wojennymi (sowieckimi), o stosunku z władzami administracyjnymi (już polskimi), no i o sytuacji ekonomicznej powiatu (sprawa zabezpieczenia obiektów majątkowych).

Przy wyczytywaniu nazwisk jednych z tych kierowników odzywały się głosy: „O, tego już nie ma! Wyjechał”. A przy

innym wywołanym ktoś oświadczył: „Ten to wyprowadził całą kolumnę samochodów i nie ma go”. Dodać trzeba, że taki „trofiejny” samochód, na przykład „Dekawkę” i to nową, można było na Dolnym Śląsku kupić od Sowietów za 20-25 tysięcy złotych, podczas gdy w Polsce centralnej za samochód taki płacono około 150 tysięcy ówczesnych polskich złotych. Dla kombinatorów zatem i cwaniaków pole do interesów było na Dolnym Śląsku wielkie.

Gdy idzie o stosunki z władzami wojennymi i administracyjnymi, w swych sprawozdaniach składanych na odprawie kierownicy grup mniej lub więcej się skarżyli. Ale znalazł się jeden taki kierownik powiatowy, który oświadczył: „Ja z władzami administracyjnymi stosunki mam świetne, a z władzami wojennymi jeszcze lepsze przez... gorzelnię!” Wyjaśnił przy tym, że jego powiat graniczył z Czechosłowacją, a w jednym z czeskich miasteczek na samym pograniczu była uruchomiona z powodu dewastacji gorzelnia. Posłał więc nocą odpowiednią ekipę na stronę czeską, gdzie zabrano potrzebne do uruchomienia gorzelnianych elementów, gorzelnię uruchomiono i stąd te świetne stosunki!

Zainstalowany na legnickiej Frauenstrasse po jakimś czasie zatęskniłem za pozostawioną w Częstochowie rodziną i zacząłem szukać możliwości zrobienia tam do niej wypadu. Możliwość taka wyjazdu samochodem ciężarowym do Częstochowy niebawem się nadarzyła i nie omieszkałem z niej skorzystać.

Po krótkim pobycie u rodziny w Częstochowie uznałem, że czas już wracać do Legnicy. Udałem się do Katowic i w Katowicach rozglądać się począłem za okazją znalezienia środka lokomocji, którym bym mógł dojechać naprzód do Wrocławia a potem do Legnicy. Zabrałem się jakimś ambulansem pocztowym i dotarłem nim poprzez zniszczone Opole do Wrocławia. Znalazłszy się we Wrocławiu udałem się do zajętego dla BGK gmachu przy ulicy Zamkowej (przedtem Schloßstrasse). Tam ku mojemu zdumieniu i zaskoczeniu zastałem ekipę bankową z Legnicy z dyrektorem Lewickim na czele i dowiedziałem się, że do Legnicy – nie ma już po co jechać, bo w znacznej części miasta zakwaterowali się Sowietci a Polakom kazano się przenieść na przedmieście za rzeką,

która wtedy nosiła nazwę „Katzbach”. Ulokowane zaś dotąd w Legnicy polskie władze wojewódzkie z Bankiem włącznie – przeniosły się do Wrocławia.

We wrocławskim gmachu Banku zająłem jeden z pokoiów, by w nim zamieszkać i urzędować. W ten sposób zaczęły się moje lata wrocławskie, mające trwać aż do lutego 1951 roku, kiedy Wrocław w trybie nagłym opuściłem.

Na posterunku pracy przy wrocławskiej Schlosstrasse

Ulica Schlosstrasse (Zamkowa) znajdowała się w pobliżu Rynku z pięknym, ocalałym, Ratuszem pośrodku, w którym urzędował jeszcze wojskowy szpital niemiecki. Część kamienic Rynku również ocalała. Ale „szabrownicy”, którzy „węszyli” po piwnicach kamienic, czy czego nie da się znaleźć, a były to piwnice po różnych składach i firmach niemieckich, często wzniesli pożary. Wzniesli pożary, bo świecili zapalonymi papierami rzucanymi następnie gdzieś w kąt.

Choć o zmroku nie było bezpiecznie wydalać się z gmachu bankowego bo można było „oberwać” kamieniem, nieraz „nie wytrzymałem” i wychodziłem na pobliski Rynek. W czasie pewnej takiej „wędrówki” ze zdziwieniem spotkałem na Rynku swego kolegę szkolnego ze szkoły Zamoyskiego – Antoniego Platera, który na czele kilku Niemców ciągnął jakiś wielki i podziurawiony, bo woda z niego tryskała fontannami, tak zwany „szlauch”. Zapytany przeze mnie, co robi, odpowiedział: „Jak to, nie widzisz, pali się, jest pożar w piwnicy, a ja jestem starostą i gaszę ogień”.

A więc starosta razem z kilku starymi Niemcami ciągnął ciekącego węża i gasił ogień! Takie to bywały w pionierskich wrocławskich latach sytuacje.

Władze polskie, a w szczególności władze miejskie we Wrocławiu, już działały. Działał doktor Drobner, przybyły ze swoją ekipą z Krakowa jako prezydent miasta, a do ekipy tej należał też wspomniany przeze mnie kolega szkolny Antoni Plater, przezywany w szkole „hrabią” z racji tytułu, który zresztą rzeczywiście posiadał.

Wspomniałem już wcześniej, że pieniądze leżały wtedy

na ulicy. I istotnie. Przechodziłem któregoś dnia koło katedry wrocławskiej prawie całkowicie zniszczonej (ocalała częściowo tylko lewa nawa, od figury Matki Boskiej poczynając oraz piękne kaplice na tyłach wielkiego ołtarza). Na placach koło kościoła leżały ogromne zwoje siatki ogrodzeniowej, które Niemcy zapewne w celach obronnych tu przywieźli a których nie zdążyli już wykorzystać. Trzeba było tylko jakiegoś obrotnego „człowieczka”, który by po nie przyjechał ciężarówką. Obrotny „człowieczek” wkrótce się znalazł, za słoninę i spirytus, które to artykuły ze sobą przywiózł, wygłodzeni Niemcy chętnie zwoje siatki załadowali mu na samochód, po czym „człowieczek” z wartościowym ładunkiem pojechał, ratując się po drodze od ewentualnych kontroli i rewizji butelkami spirytusu czy wódki.

Podobne sytuacje działy się na moich oczach i było ich mnóstwo. Trzeba było tylko być „szabrownikiem”, wykazać trochę przedsiębiorczości, no i przywieźć ze sobą poza środkiem lokomocji spirytus i słoninę. A także trzeba było się znać na tym, co ile jest warte, aby wiedzieć co zabierać. W ten sposób z Dolnego Śląska wywiezione wówczas zostały ogromne wprost skarby.

Oczywiście Bank musiał mieć swoją ochronę, która była uzbrojona w karabiny. Komendantem tej ochrony był niejaki Gapik – rzecz jasna mający też jednocześnie powiązania z Urzędem Bezpieczeństwa, który od samego początku objęcia przez stronę polską Wrocławia również działał.

Ekipa bankowa była z początku bardzo nieliczna. Z czasem jednak dołączył do nas niemal cały oddział Banku Gospodarstwa Krajowego ewakuowany ze Lwowa. Lwowiacy *nota bene* byli bardzo niechętnie usposobieni dla warszawiaków, w każdym z nich widzieli cwaniaka i kombinatora. Wprost przeciwne natomiast było nastawienie warszawiaków do lwowian. Każdego lwowiaka darzyło się sentymentem, uważało się niemal za bohatera. Na tle tego antagonizmu nieraz powstawały zatargi i nieporozumienia. Dopiero z czasem nastąpiło wzajemne zgranie się w Banku przedstawicieli obydwu miast: Warszawy i Lwowa.

W „miasto-twierdzę” (Festung Breslau) obrócona stolica Dolnego Śląska broniła się dłużej niż Berlin i miasto do

którego przybywali Polacy było okropnie zniszczone. W samym środku między Odrą a jej odnogą wychodził na przeciw pusty teren: w rezultacie podczas oblężenia powziętej karkołomnej decyzji założenia lotniska usunięto stąd zabudowę i arterie uliczne zamieniono w pas startowy długości około dwóch kilometrów. Oczywiście i środki komunikacyjne (tramwaje) były w mieście kompletnie zniszczone. Toteż z wielką radością powitano uruchomienie przez lwowskich tramwajarzy pierwszej linii tramwajowej, zresztą bardzo krótkiej, bo od Rynku do Dworca Nadodrze.

W ogóle poruszanie się po mieście było utrudnione. Trzeba było maszerować przez ogromne przestrzenie pieszko, o ile nie można było skorzystać z samochodu służbowego, jaki zresztą Bank uruchomił. Mimo wszystko jednak ruch na ulicach w dzień był wielki. Niemcy wynosili na targi do sprzedaży za polskie pieniądze lub na wymianę rozmaite przedmioty a zwłaszcza „ciuchy”. Kupujących było dużo, bo kupno było niedrogie i korzystne. Ruch ten o zmroku zamierał całkowicie a w nocy było już bardzo niebezpiecznie, bo i kule po ulicach świślały.

Oficjalnie Bank rozpoczął swoją działalność już w sierpniu 1945 roku. Trzeba było bowiem finansować odbudowę przemysłu. Między innymi pierwszym z głównych kredytobiorców była poniemiecka fabryka wagonów „Linke-Hofman” – późniejszy „Pa-fa-wag” – z którą Bank nawiązał kontakt bardzo wcześniej.

Pewnego dnia nadeszła z Warszawy depesza z podpisem ówczesnego wielkorządcy przemysłu i handlu Hilarego Minca, nakazująca Bankowi udzielenie tej fabryce kredytu w wysokości dziesięciu milionów ówczesnych złotych. Była to suma ogromna i wynikała trudność wobec tego, że depesza nie była poświadczona a normalne połączenie telefoniczne z Warszawą jeszcze nie funkcjonowało. Sprawę realizacji depeszy przekazano oczywiście do opinii radcy prawnego, to jest mojej. Sytuacja była trudna. Kredyt trzeba było jednak dać i z wielkim trudem telefonem kolejowym z Dworca Głównego we Wrocławiu, który zaczynał być czynny, udało mi się porozumieć w tej sprawie z Dyrekcją Banku w Warszawie.

Innym razem zgłosił się do Banku zakonnik-redempto-

rysta ksiądz Pirożyński. Jako przedstawiciel powstającej we Wrocławiu nowej polskiej Kurii Biskupiej poprosił o udzielenie pożyczki na cele związane z rozpoczynającą się polską działalnością kościelną. Pożyczkę, wprawdzie niewielką, dano pod ciekawy zastaw. Przedmiotem zastawu był mianowicie cały nakład katechizmu w języku polskim dla dzieci poprzedzonego przedmową arcybiskupa wrocławskiego kardynała Bertrama. Wydrukowany przez Kurię Biskupią we Wrocławiu jeszcze w latach trzydziestych i nie rozprowadzony wobec zakazu władz hitlerowskich, nakład tego katechizmu w całości ocalał. I. po 1945 roku służył dzieciom polskim przybyłym na tak zwane wówczas Ziemie Odzyskane.

W związku z powiększającą się ekipą ludzką Banku i zapowiedzianym przyjazdem personelu Lwowskiego Oddziału Banku trzeba było przygotować mieszkania i zadanie przygotowania tych mieszkań powierzone zostało mnie. Wykonanie polecenia nie było łatwe, bo najlepsze dzielnice Wrocławia – od zachodu – były całkowicie zniszczone, a wszystkie niemal ocalałe domki i wille od strony wschodniej miasta były już zajęte. Udało mi się jednak znaleźć i zabezpieczyć kilka obiektów w dzielnicach Zacisze (dawne Wilhelmsruh) i Biskupin (dawne Bischofswalde). W ten sposób zająłem domek i dla siebie w dzielnicy Zacisze przy ulicy Cieszkowskiego 23 (dawniej Erdaweg). W bezpośrednim sąsiedztwie zamieszkał wicedyrektor dr Dormuz oraz dyrektor Michał Lewicki. Naprzeciwko mnie zaś – urzędnik Banku ze Lwowa pan Aulich z rodziną.

Był to wczesny okres, okres kiedy w domku (willi) przebywali jeszcze Niemcy – przeważnie przybysze z innych zniszczonych dzielnic, bo właściciela nie było. Niemcy ci wkrótce wywędrowali. Nie wywędrowała tylko zniemczona Ślązaczka Maria Grobelna, która była zawodową „Hausfrau” i taką została u mnie, oraz Niemiec Wizner, który robił w ogródku i pilnował porządku. Zatrzymałem ich u siebie i żywiłem. W ten sposób miałem zorganizowaną „służbę”, a oni byli zadowoleni, bo mieli zapewnione mieszkanie i wyżywienie, no i ocalili... swoje „ciuchy”. Mieszkali w suterynie i kłócili się.

Willa była przyjemna, piętrowa, z tarasem, górskim ogródkiem, garażem i owocowym ogródkiem.

Nocami nie obywało się bez stresów. Dookoła miały

miejsce napady na ludność niemiecką, dokonywane przeważnie przez żołnierzy sowieckich, którzy nie opodal gdzieś stacjonowali. Niemcy organizowali coś w rodzaju samoobrony. Bili na alarm w rozmaite garnki i wołali: „*Hilfe, Hilfe* (pomocy, pomocy)”. Gdy taki okrzyk powstał gdzieś w jednym końcu, podejmowała go zaraz cała dzielnica.

Odnosiło to nieraz skutek i przyjeżdżał, by interweniować, zlokalizowany w sąsiedniej dzielnicy posterunek Milicji Obywatelskiej. Kiedy jednak pewnego razu doszło do potyczki i to krwawej między milicjantami a żołnierzami, interwencji zaprzestano. Domy zajęte przez Polaków były oznaczone przez wywieszenie flagi o narodowych barwach polskich. Nie zawsze to jednak chroniło, toteż w zdenerwowaniu oczekiwało się nieraz świtu, bo wtedy się uspokajało. Grasujący żołnierze sowieccy wracali do koszar.

Mijał czas i wraz z jego upływem życie we Wrocławiu mimo wszystko powoli poczęło się normalizować. Zaczęły między innymi powstawać lokale gastronomiczne, do których się niemal codziennie zaglądało.

I tak na ulicy Świdnickiej powstał bar „Rarytas”, prowadzony przez byłych ziemian Pułaskiego i jego szwagra Biernackiego. Była tam doskonała kuchnia, której szefem był dawny kucharz z majątku Pułaskiego. Na ulicy Szewskiej w pobliżu Rynku był „Fonsio”, lwowiak, do którego ciągnęli przeważnie lwowiacy. Sam „Fonsio” stał za ladą, wymierzał wódkę i przygotowywał wyśmienite zakąski a jego żona gotowała świetne gorące potrawy. Ponadto były też inne lokale na Rynku i w okolicy, których wszystkich nie sposób jednak wymieniać. Między innymi przez pewien okres czasu prowadziła świetny barek pani Tarkowska, wdowa po adwokacie Tarkowskim z Warszawy, który zginął w czasie wojny.

O wrocławskiej „wędrówce ludów” i początkach wrocławskiej palestry

Do Wrocławia i poprzez Wrocław ciągnęły wtedy na Dolny Śląsk całe falangi ludzi wyrzuconych z siodła przez wojnę. Ludzie ci bądź szukali możliwości osiedlenia się, bądź

przyjeżdżali na tak zwany „szaber”, polegający na zdobywaniu różnymi sposobami różnych rzeczy i wywożeniu ich do Polski centralnej, bądź wreszcie wiedzeni ciekawością chcieli poznać nowe tereny a zwłaszcza znane uzdrowiska śląskie.

Gości było dużo, ciągle się kogoś spotykało i nocowało a nawet przygarniało i pomagało. Przy tym był to okres gdy jeszcze nie myślało się, że niektórzy spośród gości mogą być inwigilowani i śledzeni i że kontakt z nimi pociągnąć za sobą może poważne nieraz przykrości. Wkrótce zaczęły też nadchodzić transporty kolejowe z ludnością polską (ukraińską też) ewakuowaną ze Lwowa i Małopolski Wschodniej. Element polski zaczął rosnąć, zaczęły się organizować polskie sądy, szkoły i inne instytucje. Rozwijały też swoją działalność władze kościelne.

Z racji swego stanowiska radcy prawnego Banku Gospodarstwa Krajowego towarzyszyłem dyrektorowi Banku Lewickiemu w jego zetknięciach z nowo zainstalowanymi na gruncie wrocławskim władzami i instytucjami, mając często duży wpływ na załatwianie w taki czy inny sposób różnych spraw.

Rozpoczął we Wrocławiu swoją działalność pierwszy notariusz polski – Władysław Łoziński z Krakowa. Bardzo prędko z ramienia Banku nawiązałem z nim kontakt, bo był on Bankowi potrzebny, a przy tym właśnie dzięki bankowi miał pierwszą swoją klientelę. W ślad za notariatem pojawiła się też we Wrocławiu „pierwsza polska kancelaria adwokacka” – tak właśnie ją bowiem nazwał adwokat Władysław Grzankowski z Warszawy, jakiś czas będący radcą prawnym Pafawagu – zresztą mój kolega z czasów uniwersyteckich. Otworzył on tę kancelarię przy w pobliżu Banku położonej ulicy nazwanej „Ulicą Ofiar Oświęcimskich”. Niedługo on jednak tę swoją kancelarię prowadził, gdyż pewnego dnia zmuszony został do zniknięcia z Wrocławia.

Razem z zasiedlającą Wrocław ludnością napływali też adwokaci z różnych stron Polski, przeważnie jednak z Małopolski Wschodniej, przy czym wśród tych ostatnich wiele było osób pochodzenia żydowskiego. Zaczęto też myśleć o powołaniu do życia Rady Adwokackiej we Wrocławiu. Wkrótce Rada taka rozpoczęła swoją działalność, a pierwszym dziekanem został profesor prawa z Wilna adwokat Witold

Świda. W roku 1946 zgłosiłem się o wpis na listę adwokatów Izby Wrocławskiej. Otrzymałem legitymację oznaczoną numerem trzynastym.

Wśród adwokatów warszawskich, którzy się osiedlili we Wrocławiu, poza mną między innymi byli adwokaci: Ziemowit Grzegorzewski, Edward Strumpf i Aleksander Redych. Później dołączył do nich adwokat Jan Gadomski, którym się w początkowym okresie zaopiekowałem, jako ktoś znający już teren.

Zdoławszy się we Wrocławiu jakoś zagospodarować ściągnąłem żonę moją Marię wraz z dziećmi oraz siostrę moją Waclawę. Opuściły one Gliwice pozostawiając zajęte tam w międzyczasie skromne mieszkanie.

Dla żony i siostry zorganizowałem we Wrocławiu przy ulicy Szewskiej nr 18 sklep z konfekcją damską. Analogiczne sklepy różnych branż wyrastały zresztą wówczas jak grzyby po deszczu, prywatnej przedsiębiorczości pozostawiany był jeszcze margines swobody. Przy prowadzeniu tego sklepu pomagała Niemka Kaethe Hildebrandt, starsza osoba, kiedyś kierowniczką działu w dużym wrocławskim domu towarowym, który nosił nazwę „Awag”. Sklep ten jako tako prosperował dotąd, dopóki byli jeszcze Niemcy, oni to bowiem przeważnie przynosili do sprzedaży rzeczy, które oceniała wspomniana wyżej Hildebrandt. Skoro zaś Niemcy zostali wyewakuowani względnie sami wyjechali na zachód, handel ustał i sklep trzeba było zlikwidować. Nad sklepem tym było mieszkanie, w którym zamieszkała moja siostra Waclawa, przy czym była tam też prowadzona dla potrzeb sklepu pracownia krawiecka.

Gdzieś w roku 1948 sklep, o którym mowa, stał się nawet przedmiotem napadu bandyckiego. Była w sklepie wtedy tylko moja żona i została sterroryzowana. Ktoś jednak bandytów spłoszył i szczęśliwie wszystko skończyło się na ciężkim nerwowym przeżyciu mojej żony.

Niezależnie od pracy w Banku Gospodarstwa Krajowego uruchomiłem też kancelarię adwokacką. Początkowo mieściła się ta kancelaria przy ulicy Rynek 13, a potem w mieszkaniu siostry na ulicy Szewskiej. Zacząłem sobie wyrabiać klientelę i jakoś mi poszło. Spraw miałem dość dużo i praktykę łączyłem z pracą na radcostwach.

Oprócz radcostwa w BGK zaoferowane mi również zostało radcostwo w Banku Handlowym, który również nie omieszkał otworzyć swego oddziału we Wrocławiu. Byłem więc radcą prywatnym dwóch wielkich banków, co – obok zaangażowania w innych instytucjach – miało niemały wpływ na rozwijającą się moją praktykę adwokacką.

Zajmowany przez BGK gmach przy ulicy Zamkowej wkrótce okazał się dla jego potrzeb za mały, postanowiono więc wyremontować gmach dawnego niemieckiego Dresdener Bank i doń bank przenieść. W szybkim tempie remont ten zdołała przeprowadzić przez lwowiaków założona prywatna spółka budowlana i BGK przeniósł swoją siedzibę do lokalu przy ulicy Kościuszki. Objąłem w gmachu tym piękny gabinet po niemieckim bankowym radcy prawnym.

Jak już wspominałem, w owym czasie we Wrocławiu i poprzez Wrocław odbywała się istna „wędrówka ludów”. W ramach tej „wędrówki ludów” odwiedzany byłem przez wielu kolegów wiedzących, że osiadłem we Wrocławiu i że pracuję w banku. Odwiedzający mnie byli jednak skrzętnie, jak to później wyszło na jaw, notowani przez Urząd Bezpieczeństwa i z ich wizyt musiałem się potem przed Urzędem tym odpowiednio tłumaczyć.

Zjawił się też kiedyś we Wrocławiu w początkowym okresie po nielegalnym przyjeździe z zagranicy inżynier Adam Doboszyński. Odwiedzał on swoich kolegów i znajomych i był u kogoś na ulicy, na której mieszkałem, ale do mnie nie dotarł. Gdyby wiedział, że mieszkam we Wrocławiu, byłby mnie niechybnie odwiedził jako że znaliśmy się z okresu przedwojennego. Przez to, że do mnie nie dotarł, oszczędzone mi zostały poważne przykrości, gdyż wszystkie osoby, które odwiedził, były potem aresztowane i skazywane.

Fale przetaczającej się przez Wrocław „wędrówki ludów” miały też swoje momenty humorystyczne. Chodzi o to, że zdarzali się i tacy, co poprzez Wrocław wydostać się chcieli na Zachód wraz z ewakuowanymi Niemcami. Właśnie w tym celu zjawił się pewnego dnia we Wrocławiu mój dawny klient sprzed wojny i były mąż mej koleżanki i kuzynki Manity Wickenhagen – Jerzy Wickenhagen. Zamieszkał on u jakiejś wrocławskiej rodziny niemieckiej, aby wraz z tą rodziną dać

się wyewakuować na Zachód. Ponieważ termin ewakuacji tej rodziny był już bliski, do mieszkania, które ona zajmowała, zgłosił się jakiś Polak i dotychczasowym jego Niemcom-
lokatorom – a wśród nich i Wickenhagenowi – rozkazał się natychmiast wynosić!

Pora powiedzieć kilka słów o poniemieckich obiektach rekreacyjnych służących pracownikom banku i mnie jako bankowemu radcy. Otóż do użytku pracowników banku zajęte zostały dwa pensjonaty w Sudetach. Jeden niewielki, ale za to bardzo przyjemny w pięknie położonej Przesiece koło Cieplic wówczas zwanej Matejkowicami (niemiecki Hain). A drugi w Polanicy – ówczesnym Puszczykowie (niemiecki Bad Altheide – perypetie ze spolszczaniem nazewnictwa miejscowości to osobna karta pionierskiego okresu rzeczywistości na Ziemiach Odzyskanych).

Do pensjonatów tych często „wpadało się” na sobotnio-niedzielne *weekendy* lub nawet na dłuższe pobyty urlopowe. Były one bardzo dobrze prowadzone i cieszyły się dużym powodzeniem u pracowników banku. Pensjonatem w Polanicy opiekował się bezpośrednio oddział wrocławski banku a pensjonatem w Przesiece – oddział w Jeleniej Górze.

W Jeleniej Górze (niemiecki Hirschberg), która wyszła nienaruszona z działań wojennych odnalazłem swoją siostrę Henrykę Archutowską, w okresie Powstania Warszawskiego wywiezioną tam z córką Barbarą do przymusowej pracy. Po wyzwoleniu zajęły one w Jeleniej Górze mieszkanie po jakichś Niemcach, właścicielach sklepu delikatesowego, i sklep ten prowadziły przez lat kilka, utrzymując się w ten sposób.

Widok nie tkniętej działaniami wojennymi i przez Niemców utrzymywanej w czystości Jeleniej Góry jakże bardzo kontrastował z tym, co się widziało we Wrocławiu. M.in. jedną z jeleniogórskich atrakcji był do Cieplic, Sobieszowa i Podgórzyna kursujący elektryczny tramwaj. To właśnie tym tramwajem jechało się do bankowego pensjonatu w Przesiece. Pensjonatu który od imienia żony dyrektora Lewickiego nosił nazwę „Marysieńka”.

Pozostaje powiedzieć jeszcze i o tym, że gdy ludność polska we Wrocławiu zadomowiła się zaczęło się też organizować życie towarzyskie: Z adwokatów, stosunki towarzyskie

utrzymywałem w pierwszej kolejności z adwokatami warszawskimi, a mianowicie z adwokatem Janem Gadowskim oraz adwokatem Ziemowitem Grzegorzewskim. Jakoś we trzech trzymaliśmy się jeden przy drugim i bywaliśmy u siebie z żonami. Nie obeszło się jednak i bez tego, bym nie zbliżył się do jednego z pozawarszawskich adwokatów. Był nim w tej samej dzielnicy Zacisze nieopodal mnie mieszkający adwokat Kajetan Stroński ze Lwowa, brat znanego polityka i dziennikarza z okresu przedwojennego i ministra Rządu R.P. w Londynie w czasie wojny – Stanisława Strońskiego. Stosunek przyjaźni z tym adwokatem zachowaliśmy i później, po przeniesieniu się do Warszawy, aż do jego śmierci.

We Wrocławiu znalazł się także mój „komiliton” z Korporacji i adwokat przed wojną Józef Czyżewski, nieoceniony „przygrywacz” fortepianowy do tańca. Poza tym w zażyłych stosunkach pozostawaliśmy i z szeregiem innych jeszcze osób i sąsiadów, tak że na 27 czerwca (dzień Władysława) i 8 września (Dzień Marii) zbierało się u nas na ulicy Cieszkowskiego na Zaciszu dość liczne towarzystwo. Oczywiście przy rozmaitych okazjach i my również bywaliśmy u wyżej wymienionych osób.

Tu także jest miejsce i pora by dodać, że dla wszystkich nas osiadłych na Zaciszu dotkliwym mankamentem był brak kościoła, niemieckim bowiem „zaciszanom” przed 1945 rokiem służący kościół pod wezwaniem św. Karola Boromeusza przestał istnieć, jako że składał się na zabudowę terenu wyburzonego na budowę lotniska (stał on po bliższej śródmieściu stronie odnogi Odry). Sprawą uruchomienia na nowo naszego parafialnego kościoła wszyscyśmy się jednak gorliwie zajęli i już w 1948 roku dom Boży był czynny. Na kościół po przeprowadzeniu odpowiednich robót adaptacyjnych obrócona została jedna z willi czy raczej pałacyk u wlotu na centralną arterię Zacisza – ulicę Kochanowskiego. Wedle tego co dziś, gdy te słowa są pisane, słyszę, jest to kościół pod wezwaniem Matki Boskiej Częstochowskiej, w moich natomiast wrocławskich latach nosił po dawnej niemieckiej parafii przejęte imię świętego niemieckiego jezuitę Karola Boromeusza.

W czasie mego pobytu na Dolnym Śląsku a w szczególności we Wrocławiu od połowy czerwca 1945 roku do lutego

1951 roku włącznie, zdołałem tam „zapaść” dość głęboko korzenie zwłaszcza jako radca prawny wielu poważnych instytucji oraz jako praktykujący adwokat.

Kilka słów o zaangażowaniu w gospodarcze życie Wrocławia

Dzieląc się wspomnieniami z przypadającego na lata 1945-1951 mego pobytu we Wrocławiu nie sposób było abstrahować od realiów i aury ówczesnego życia na gruncie świeżo zasiedlonego i ciągle jeszcze przez Polaków zasiedlanego miasta. Wychodzę jednak z założenia że punkt ciężkości w tej partii mego pamiętnika spoczywać musi na relacji z mojej ówczesnej pracy jako bankowego radcy prawnego i dlatego do tego, co już na ten temat zostało powiedziane, dorzucę jeszcze garść szczegółów. Choć w pierwszej kolejności relacja dotyczyć będzie moich radcowskich zajęć w Banku Gospodarstwa Krajowego i w Banku Handlowym, nie obejdzie się przy tym bez poinformowania Czytelników o innych przejawach mojego zaangażowania w gospodarcze i nie tylko gospodarcze życie Wrocławia.

BGK nie tylko, jak o tym powyżej była mowa, trudził się udzielaniem kredytów na kosztą odbudowy obiektów przemysłowych, lecz także finansował – pod odpowiednim zabezpieczeniem – przez prywatnych użytkowników podejmowaną odbudowę gmachów i budynków. W ten sposób wiele budynków zostało odbudowanych a ich użytkownicy regularnie płacili raty zaciągniętych w Banku pożyczek. Ale cóż, pewnego dnia władze miejskie dopuściły się wobec tych użytkowników jawnego bezprawia: wyrugowały ich z budynków, jakie odbudowali. Zjawili się oni w Banku ze skargą i zapowiedzią, że w tych warunkach rat bankowych dalej nie będą płacili.

Do głębi poruszeni tym, co się stało, postanowiliśmy wraz z nowym dyrektorem Banku dr. Dormusem poprosić urzędującego jeszcze wojewodę wrocławskiego Piaseckiego, by zechciał ująć się za poszkodowanymi. Ani ta jednak interwencja u wojewody, ani następna u przewodniczącego wojewódz-

kiej Rady Narodowej nie dała żadnego rezultatu. Zaszły akt bezprawia był, rzecz z której nie bardzo zdawaliśmy sobie wówczas sprawę, jedną z pierwszych jaskółek zwiastujących koniec mniej więcej do 1949 roku trwającego okresu respektowania względnej przynajmniej praworządności w sprawach majątkowych. Komunistyczna władza umocniwszy się inaugurowała jakiś czas ze względów taktycznych odkładany „marsz” do realnego socjalizmu.

Jako radcy prawnemu wrocławskiego Banku Handlowego przypadło mi w udziale uczestniczenie w wykupie przez użytkowników od Skarbu Państwa jako mienia poniemieckiego aptek. Finansował ten wykup Bank Handlowy udzielając nabywcom aptek kredytów pod zabezpieczeniem wekslowym. A zabezpieczenie wyglądało w ten sposób, że danemu użytkownikowi apteki żyrowali weksel wszyscy pozostali dolnośląscy użytkownicy aptek, w rezultacie czego weksel był bardzo długi (tak zwany *allonge*), przy czym wszystkie z tym związane czynności wykonywał ówczesny notariusz we Wrocławiu Władysław Łoziński. Oczywiście wszystkie w transakcji wykupu na przełomie 1947 i 1948 roku uczestniczące strony działały w najlepszej wierze w trwałość nadawanych praw własności poniemieckich aptek. Rok 1951 i w tym roku wydany dekret o nacjonalizacji aptek na skalę ogólnopolską miał pokazać jak bardzo wszyscyśmy się wtedy mylili...!

Nie zaawansowany jeszcze tak bardzo wiek sprawiał, że niezależnie od radcostw w BGK i w Banku Handlowym byłem w stanie przyjmować przez inne instytucje zgłaszane oferty radcowskiej pracy. I tak, po pierwsze, byłem radcą prawnym wrocławskich Polskich Zakładów Zbożowych i w tym charakterze sporządzałem protokoły przekazu-przejęcia i wykonywałem inne czynności prawne związane z przejmowaniem wszystkich wielkich młynów, magazynów zbożowych i silosów na terenie Dolnego Śląska. I – po drugie – radcowskie usługi świadczone były przeze mnie następującym wrocławskim instytucjom: Fabryce Wodomierzy, Fabryce Urządzeń Mechanicznych, Miejskiemu Handlowi Detalicznemu Artykułami Spożywczymi. A ponadto nie obydwało się też i bez tego, by w orbitę moich zainteresowań nie wchodził

późniejszy „Pafawag” a ówczesny „Linke-Hofman”, ale o tym zdążyłem już powiedzieć.

Przy tym wszystkim starczało mi jakoś sił i czasu na sprawy wpływające do mojej, jak o tym nadmieniałem, w roku 1947 uruchomionej prywatnej kancelarii adwokackiej. I tak ze spraw cywilnych m.in. prowadziłem ciekawą i osobliwą sprawę o... kapustę. Toczyła się ona przed istniejącym jeszcze wówczas Sądem Giełdy Zbożowo-Towarowej we Wrocławiu i powodem była w niej wrocławska Spółdzielnia Spożywców „Społem” a pozwanym wrocławski Państwowy Przemysł Fermentacyjny. Szło o dużą sumę odszkodowawczą i tło sprawy było następujące. „Społem” zawarło duży kontrakt ze sztabem Armii Sowieckiej w Legnicy na dostawę kapusty kiszzonej, a ponieważ nie rozporządzało samo tak dużą ilością kapusty, z kolei zawarło też umowę z Przemysłem Fermentacyjnym na dostawę potrzebnej do wykonania umowy z Sowietami ilości kapusty. W momencie zawierania umowy z Armią Sowiecką cena kapusty była bardzo wysoka, ale potem ogromnie spadła. Sztab Sowiecki pod pozorem, że kapusta nie odpowiada warunkom umowy, od umowy odstąpił, „Społem” zaś z kolei zerwało umowę z Przemysłem Fermentacyjnym i spór z tego tytułu wynikły jął się toczyć przed wspomnianym wyżej Sądem Giełdy Zbożowo-Towarowej, którego orzecznictwu strony w zawartej umowie spory swe poddały. Sprawa była ciężka, toczyła się długo. Ze względu na to że przedmiot sprawy był bardzo poważny, doprosiłem do sprawy osiadłego we Wrocławiu znakomitego cywilistę warszawskiego adwokata Jana Gadomskiego. Sprawę wygraliśmy.

Kiedyś prowadziłem też ciekawą sprawę rozwodową. Było to w początkowym powojennym okresie, kiedy odpowiednie przepisy prawa przewidywały możliwość udzielenia rozwodu na zgodny wniosek stron. Otóż sprawa wyglądała tak, że powód, którego ja reprezentowałem, mieszkał w Londynie, pozwana reprezentowana z mojej inicjatywy przez adwokata Gadomskiego w Kenii, a miejscem w którym na mocy odpowiedniej decyzji Sądu Najwyższego toczyła się sprawa był Wrocław, gdzie mieszkali świadkowie. Dla sędziów skądinąd zafascynowanych wspaniałymi pieczęciami na pełnomocnictwach dla adwokatów sprawa była kłopotliwa.

Ale wierzyli i ufali adwokatom i rozwód został orzeczony.

Występowałem również – i to z dość dużym powodzeniem – i w sprawach karnych. I tych spraw było dużo i nie mniej ciekawych. Wspomnę o sprawie karnej „pokazowej” doktora Kochana, którego broniłem na tle rzekomo nieudanej operacji (rzekome przecięcie tętnicy), jak również o sprawie o tak zwany „szaber” dwóch pracowników „Czytelnika” z Warszawy.

Na zakończenie moich „lat wrocławskich” niech jeszcze będzie wolno nadmienić, że w latach tych odbywało się w gmachu sądowym razem dla adwokatów i sędziów urządzone szkolenie ideologiczne. Nie do pomyslenia było, by od zajęć tych ktoś mógł się uchylić, więc trzeba było chodzić. Ja zawsze brałem sobie coś do pracy albo do czytania. Ale byli i tacy, którzy do szkolenia tego podchodzili bardzo gorliwie.

Ze szkolenia ideologicznego był potem egzamin przez organizatorów tego szkolenia brany bardzo poważnie. Byłem zrezygnowany, bo dialektyka i ideologia marksistowska nie szły mi jakoś do głowy i dopiero przed samym egzaminem zdołałem zmobilizować się do tego, by przeczytać jakąś broszurkę na te tematy. Zdawałem egzamin w „czwórce”, w której trzech kolegów było bardzo „obkutych”, a ja jak mi się wydawało nie umiałem nic. Ale cóż: okazało się, że zdałem lepiej od nich, a to dlatego że we wspomnianej broszurce wyczytałem coś o tak zwanym „Drugim Proletariacie”, i coś o tym wiedziałem, a oni – nic. Czasem szczęście... sprzyja.

Dzieci moje – syn Andrzej i córka Marysia – uczęszczały do szkół we Wrocławiu, Andrzej do Liceum a córka do Szkoły Podstawowej. Organizowanie się szkół dla polskich dzieci i młodzieży w zasiedlanym Wrocławiu to temat, który pozostawiam innym. Wspomnę tylko, że I Państwowe Gimnazjum i Liceum na ulicy Poniatowskiego było nie tylko nominalnie lecz i faktycznie pierwszą we Wrocławiu polską szkołą średnią, która objęła szczęśliwie nie zniszczony gmach niemieckiego żeńskiego gimnazjum Wiktorii. Syn Andrzej uczęszczał doń już od września 1945 roku.

Władysław KEMPF

SAMOOBRONA W LIDZIE I GRODNIE W 1918 – 1919

I Samoobrona w Lidzie

W październiku 1918 roku po powrocie z Rosji zaprojektowałem z grupą osób w Lidzie, a mianowicie z porucznikiem Wacławem Szukiewiczem, doktorem Romualdem Sopoćką, aptekarzem Rudolfem Bergmanem i jeszcze kilkoma osobami założenie organizacji społecznej, mogącej przejąć władzę z rąk Niemców. Wobec osłabienia coraz większego Niemców władzę tę można było przejąć drogą umowy, bądź siłą. Przeprowadziło się coś w rodzaju wyborów i utworzyła się Rada Narodowa Ziemi Lidzkiej. Prezesem jej został Emilian Butkiewicz, ziemianin, wiceprezesem Stanisław Iwanowski, w skład jej weszli Rudolf Bergman, Romuald Sopoćko, ksiądz dziekan Szkop oraz kilka osób, których nazwisk nie pamiętam.

Celem zwiększenia powagi tej instytucji należało jak najprędzej gromadzić uzbrojonych ludzi, którzy mogliby dać z jednej strony odpór bandytom grasującym w powiecie, z drugiej zaś uniemożliwić bezprawne rekwizycje niemieckie. O powstaniu Rady Narodowej na powiat lidzki w miejscowej drukarni została wydana odezwa i rozpowszechniona przez gońców po całym powiecie. Skutek odezwy był duży: ze wszystkich krańców powiatu zaczęto się zgłaszać z propozycjami poparcia, a częściej jeszcze z prośbami o pomoc i o przysłanie zbrojnych ludzi. Często prosiły dwory o pomoc w zatargach ze skomunizowanymi wsiami. W wypadkach podobnych Rada Narodowa bardzo ostrożnie udzielała pomocy, gdyż rozstrzygnięcie sporów klasowych nie szło po linii polityki Rady.

Na odezwę Rady pierwsi odezwali się robotnicy Huty Szklanej Niemen. Niektórzy z nich przyjechali wprost z to-

Powyższą relację St. Iwanowskiego podał do druku Kazimierz Iwanowski.

bołkami, aby zaciągnąć się, jak mówili, do wojska. Również garnęła się ochotniczo młodzież drobnoszlachecka z licznie porozrzucanych zaścianków około Radunia i Żyrmun, ci ostatni na koniach.

W porozumieniu z por. Szukiewiczem udaliśmy się do zamieszkałego w majątku Dzitryki gen. Mokrzeckiego z prośbą, aby objął dowództwo nad tworzącą się jednostką zbrojną. Projektowaliśmy tworzenie oddziałów konnych i pieszych w Lidzie, Szczuczynie, Raduniu i Ejszyszkach. Pomału napływała broń, tak rosyjskiego jak i niemieckiego pochodzenia. Konnego oddziału nie sprowadziliśmy do Lidy, gdyż wygodniej było, aby pozostał na wsi, gdzie konie miały bezpłatny furaz. W pierwszym okresie nie mieliśmy łączności z Wilnem, nawet łączności tej obawialiśmy się, podejrzewając, iż Wilno zechce nas sobie podporządkować.

Faworyzowanie przez Niemców Litwinów i chęć zrobienia z Wilna stolicy Litwy etnograficznej napawało nas obawą. Pożądane było mieć jak najwięcej placówek na zachód, aby mieć łączność z Grodnem, Wołkowyskiem, Białymstokiem i Brześciem, które wszystkie razem tworzyły jednostkę administracyjną niemiecką w Ober Oście pod nazwą *Gouvernement Grodno-Bialistok (Süd-Lithau)*. Chciało się więc stworzyć odrębną jednostkę, jak administracyjną tak i wojskową niezależną od Wilna, zyskać na sile i nie tylko podlegać temu losowi, który został przez Niemców przeznaczony Wilnu, ale mieć jeszcze tyle siły, aby móc wpływać na losy Wilna. Ostatecznie mając na terenie linie kolejowe oraz szosę idącą na zachód, można byłoby utrzymać kontakt z terenami na zachód.

Agitacji za wstępowaniem do oddziałów zbrojnych przeciwstawiali się bardzo energicznie komuniści, rekrutujący się przeważnie z Żydów i prawosławnych.

Sztab oddziału samoobrony, za cichą zgodą Niemców, uzyskał lokal obecnej Kasy Skarbowej w Lidzie, poza tym oddział zajmował jeszcze parę domków koło gmachu Kasy Skarbowej, nie dochodząc do kościoła.

W międzyczasie doszły do Lidy wieści o tworzeniu się siły zbrojnej w Wilnie. Delegowaliśmy por. Wacława Szukiewicza do Wilna. Przywiózł on od generała Wejtki nominację dla gen. Mokrzeckiego na dowódcę 3-go Oddziału Samoobrony.

Obecnie nie przypominam sobie skąd oddział czerpał środki pieniężne. Nie przypominam sobie czy otrzymał jakieś pieniądze przez gen. Wejtkę. Prawdopodobnie były to tylko ofiary miejscowej ludności.

Niemcy chcieli przeciwstawić Radzie Narodowej na powiat jakiś, utworzony naprędce, komitet rosyjsko-żydowski pod przewodnictwem byłego inspektora rosyjskiego na powiat lidzki pułkownika von Grotte de Buko.

Gdy dowiedzieliśmy się o rewolucji w Berlinie poszliśmy w delegacji do miejscowego burmistrza z nominacji, oficera niemieckiego (nazwiska nie pamiętam), wiem, że był prawnikiem z zawodu i napisał ilustrowaną monografię miasta Lidy, i zażądaliśmy od niego oddania nam władzy w mieście. W skład delegacji wchodził Stanisław Iwanowski, ksiądz dziekan Szkop, leśniczy Roszkowski. Żydzi o tym dowiedzieli się i momentalnie poszła druga delegacja rosyjsko-żydowska z von Grottem de Buko na czele, ale nie wysuwała żadnych żądań.

Przerażony burmistrz zebrał kilkunastu landszturmistów i na razie kazał nas aresztować, ale potem rozmawiał przyjaźnie i obiecał sprawę przekazania władzy jakoś załatwić. Też samej nocy burmistrz został sam aresztowany przez utworzony *soldatenrat* i całe jego mienie z trudem gromadzone na ciężkie czasy zostało przez *soldatenrat* skonfiskowane.

W tym czasie zwróciło się do nas kilku wojskowych niemieckich – Polaków z propozycją pomocy. Niejaki Wojnowski, komendant czy *amtsvorsteher* majątku Berdówka, przysłał 20 karabinów. Pomagali i inni, których nazwisk nie pamiętam, oraz porucznik Stachowski.

Utworzył się sztab w składzie: dowódca gen. Mokrzecki, szef sztabu por. marynarki Stanisław Iwanowski, starszy adiutant Władysław Laskowicz i bez specjalnego przydziału podchorąży Justyn Mokrzecki. Por. Waław Szukiewicz otrzymał dowództwo oddziału w Lidzie. Innych nazwisk nie pamiętam.

Stosunki z Niemcami układały się rozmaicie. Ustały bezwzględne i bezprawne rekwizycje, które każdy żołnierz czynił na własną rękę celem aprowizowania swej głodnej rodziny w Niemczech. Wywołało to niezadowolenie żołnierzy niemieckich, oficerowie zaś widząc, iż muszą wcześniej czy później opuścić powiat odnosili się w dużej części życzliwie rozum-

jąc, iż oddziały nasze ustanawiają jakikolwiek porządek i zmniejszają przez to samo troskę o ten porządek ze strony Niemców. Wiedzieli też, że przecież nie można pozostawiać pustki, że trzeba komuś władzę przekazać. Zostało nawet przez władze niemieckie przekazane oficjalnie 20 karabinów dla Samoobrony i wyznaczony oficer instruktor. Czy prowadził on jakieś prace szkoleniowe, tego nie pamiętam. Zdaje się, że skończyło się na jego dobrych chęciach.

II Początki pracy w Grodnie

Na wzór Rady Narodowej w Lidzie zaczęły się tworzyć analogiczne organizacje w innych powiatach południowej Litwy. Z inicjatywy organizacji miasta Grodna, Komitetu Demokratycznego, został zwołany w ostatnich dniach listopada 1918 r. Zjazd Narodowych Rad Powiatowych. Lidę reprezentowali delegaci: Stanisław Iwanowski i Rudolf Bergman. Szczuczyn – por. Bolesław Lissowski oraz pan Minczewski. Zjazd odbywał się w gmachu Syndykatu Rolniczego. Na zjeździe miałem dwa referaty o polityce Rad Narodowych: jak postępować wobec okupantów, jak postępować wobec mniejszości narodowych i komunistów. Na zjeździe w pierwszy dzień socjaliści wycofali swego przedstawiciela adwokata Antoniego Żaboklickiego, ale na następne posiedzenie Żaboklicki znów powrócił. Zostały przeprowadzone wybory do Rady Naczelnej. Prezydium zostało ustalone: prezes – dziekan Leon Żebrowski, wiceprezes – Stanisław Iwanowski, sekretarz – Antoni Żaboklicki. Składu personalnego Rady dobrze nie pamiętam. Wchodzili przeważnie ziemianie lub drobna szlachta i księża, chłopów prawie nie było. Na pierwsze potrzeby Rady Naczelnej postanowiono opodatkować się po jednej marce od dziesięciny. Pamiętam, że były protesty ze strony ordynata Jana Bispinga, który tłumaczył, iż w tym wypadku będzie musiał ze 40 tysięcy marek zapłacić. Był również delegatem Eustachy książę Sapieha, ten zaś wszystkie wnioski co do opodatkowania się popierał. Na Radzie były tarcia ze strony inteligencji miejskiej, która chciała jak najradykałniejsze postulaty przeprowadzić. Rozumiałem, iż były

one jedynie pustymi dźwiękami bez treści. Skład Prezydium pod względem przekonań politycznych był następujący: ksiądz dziekan Żebrowski – chrześcijański demokrat, ja Stanisław Iwanowski należący w Rosji do grupy politycznej państwotców, gotów byłem pracować z każdym ugrupowaniem mającym na celu mocarstwowość Polski, i Żaboklicki – socjalista.

Po zjeździe wróciłem do Lidy, uporządkowałem tam sprawy swych resortów i na moją prośbę otrzymałem od gen. Mokrzeckiego zwolnienie ze stanowiska szefa sztabu. Gen. Mokrzecki z żalem mnie wypuszczał, ale rozumiał, iż Grodno jest większej wagi placówką niż Lida i utrzymanie Grodna przesądzało los Lidy.

Zjawiłem się do Grodna po rewolucji berlińskiej. W Grodnie odbyła się rewolucja lokalna i władza miejscowa przeszła w ręce *soldatenratu*. Na czele jego stał szeregowiec Shirokauer – Żyd berliński, dziennikarz.

Samoobrona grodzieńska była dumna ze swych zwycięstw: udało się jej rozbroić szereg komendantur niemieckich w powiecie, zebrać broń i duże zapasy żywności. Udało się też nocą przy stacji Żydomla zatrzymać pociąg niemiecki z żołnierzami wracającymi do Niemiec, rozbroić takowych i zdjąć z nich nawet ubranie i buty. Wszystko to było dla Samoobrony bardzo potrzebne, więc należało ryzykować, iż żołnierze niemieccy przyjadą rozebrani do ojczyzny. Wszystko to tak nastraszyło Shirokauera, iż ściągnął resztę komendantur do Grodna i zawarł z Samoobroną układ, mocą którego władza Samoobrony rozciągała się na powiat, a Niemców na miasto. Sztab Samoobrony miał prawo przebywać w Grodnie. Stosunek między Samoobroną a Niemcami był rozmaity i zależał od tego jak dużo było Niemców. Idylla z czasów Shirokauera prędko się skończyła gdyż przybył do Grodna sztab X Armii z gen. Falkenhaynem na czele, a przez powiat szosami szły oddziały niemieckie, powracające aż z Ukrainy do kraju. Nieraz należało ingerować w Sztacie Dowództwa Armii, aby złagodzić konflikty i nie dopuścić do agresji ze strony Niemców. Oddziały Samoobrony rozmieszczone w kilkunastu komendanturach z trudnością poddawały się kontroli. Prezes Rady Wojennej gen. Sulewski dał mi słowo honoru, że beze mnie żadnej korespondencji z władzami niemiecc-

kimi prowadzić nie będzie, lecz do danego słowa nie stosował się i nieraz przyłapywałem jego rozmaite pisma, których aprobować nie mogłem.

W czasie gdy przyjechałem do Grodna rzuciła mi się w oczy bardzo duża ilość oficerów w Samoobronie, jak w sztabie, tak i w oddziałach. Oficerowie ci nie byli zadowoleni z położenia, gdyż w Samoobronie była tylko zmuszona praca niepewnego jutra i ograniczenie do minimum swoich potrzeb. Wobec tego parli, aby jak najprędzej Samoobronę wyprowadzić z Grodzieńszczyzny i włączyć do Dywizji Litewsko-Białoruskiej. Wprawdzie Komitet Obrony Kresów asygnował do dyspozycji Rady Naczelnej 300 tysięcy marek polskich, ale staraliśmy się sumę tę wydawać na uzbrojenie i ekwipunek, a najmniej na gáže oficerskie. Najenergiczniej sprzeciwiłem się wyprowadzeniu Samoobrony z terenu okupacji, wobec tego wielu oficerów zaczęło po cichu uchodzić do Łap i Komorowa do formującej się tam Dywizji Lit.-Białoruskiej. Sam gen. Sulewski stawał się coraz bardziej nerwowym i tajemniczym, więc bojąc się jego wyskoków musiałem wprowadzić do sztabu, dla jego kontroli, por. Sołtana. Pomimo to gen. Sulewski potrafił za pośrednictwem por. Jawicza komunikować się z władzami niemieckimi i na skutek jego listu do władz niemieckich zostali aresztowani przez Niemców: gen. Sulewski, mjr Jackiewicz i por. Jawicz. Nie rozumiałem o co chodzi. Udałem się do władz niemieckich. Tam się wyjaśniło, iż gen. Sulewski razem z por. Jawiczem skomponowali list do dowództwa niemieckiego mający charakter prowokacyjny. Zażądali oni natychmiastowego wyjścia Niemców z Grodna. Ze względu na ilość sił niemieckich w mieście i na dezorganizację do jakiej doprowadził w Samoobronie gen. Sulewski, uważałem, iż to jest rzucanie się z motyką na słońce. Z drugiej zaś strony, nie sposób było przypuszczać, by gen. Sulewski mógł próbować rzeczy takowych dokonać. W moim rozumieniu generałowi chodziło o skończenie z Samoobroną i doprowadzenie do jej rozwiązania. Do tego nie mogłem dopuścić. Szczęśliwie się stało, iż Niemcy zażądali aby gen. Sulewski, mjr Jackiewicz i por. Jawicz w 24 godziny opuścili Grodno i Grodzieńszczyznę. Do Samoobrony żadnych represji nie stosowali. Od tego czasu mogłem bez

przeszkody kierować Samoobroną i wpływać na jej rozwój. Został wtedy ukompletowany oddział konny por. Czuczełowicza, a dowództwo nad oddziałem piechoty otrzymał płk Bohatyrewicz. Drogą zakupu sprowadzono siodła i jednolite umundurowanie. Nie uważam by skład Rady Wojennej był na wysokości zadania pod względem kwalifikacji wojskowych i wyrobienia obywatelskiego. Wyjazd dużej ilości oficerów z terenu okupacji był tylko ulgą dla Samoobrony. Większość z nich nie miała wielkiej ochoty nadstawiać głowy i nie czuła się związaną z losem Grodzieńszczyzny. Potrzeba było tu ludzi twardych, chociaż mniej wykształconych, ale mogących od biedy dowodzić kompaniami i plutonami, a trzymających się pazurami powierzonych im posterunków. Jednostkami wysokiej wartości dla Samoobrony byli: płk Bohatyrewicz, por. Czuczełowicz, sam pochodzący z miejscowych [ucięty tekst] Rybek. [Przypuszczalnie miało być „z miejscowej drobnej szlachty, oraz por. Rybek”].

Stosunek społeczeństwa do Samoobrony był jak najlepszy. Drobna szlachta, ziemiaństwo, duchowieństwo, inteligencja miejska i mieszczaństwo robili wszystko, co można było, aby Samoobronie pomóc. Z ich strony doznawało się najwyższego poparcia, chociaż kraj był wygłodzony przez okupanta. W okresie, gdy Samoobrona była rozrzucona w poszczególnych komendanturach, najlepszą akcją agitacyjno-werbunkową był sam fakt istnienia tych komendantur i młodzież o chętnie zaciągała się.

Na mój wniosek Komitet Obrony Kresów delegował w końcu stycznia 1919 r. do Grodna, celem utworzenia biura werbunkowego, płk. Malinowski i ppłk. Ottona Bagieńskiego. Biuro mieściło się w Komisariacie Rządu i było mnie podporządkowane.

W styczniu 1919 roku zarządziłem ściągnięcie komendantur do Kopciówki. Nie pamiętam jakie względy przeważały co do tej decyzji, ale zdecydowaliśmy to razem z płk. Bohatyrewiczem. Zdaje mi się, że przegrupowanie to powstało skutkiem przybliżania się bolszewików do granic powiatów. Obawialiśmy się, iż Samoobrona rozrzucona w komendanturach łatwo może być zgnieciona przez bolszewików. W tym czasie doszła do mnie wiadomość, iż oddział płk. Dąb-

rowskiego marszami przez Lidę, Orłę, Skidel ciągnie w kierunku Grodna. Rada Naczelna, chcąc pomóc słabo umundurowanemu oddziałowi Dąbrowskiego, zamówiła u szewców w Skidlu partię długich butów. Buty te zostały oddziałowi doręczone. Do Grodna przybyły partie rozbrojone w Białej Wacie Samoobrony Wileńskiej. Rada Naczelna ingerowała u władz niemieckich i otrzymała niezbędny tabor kolejowy dla przewiezienia tych partii do Łap. Chorzy z oddziału Dąbrowskiego zostali przewiezieni do Grodna i zorganizowano dla nich szpital zakaźny. Władze niemieckie mocno były zaniepokojone przesuwaniem się oddziału Dąbrowskiego wzdłuż wschodniej granicy okupacji i skoncentrowaniem Samoobrony Grodzieńskiej w Kopciówce. Należało Niemców uspokoić. Wobec tego udałem się na pertraktacje do Sztabu Armii. Dowództwo niemieckie nie zgadzało się przepuścić oddziału mjr. Dąbrowskiego z bronią przez okupację, a po dłuższych pertraktacjach zaproponowało mi, aby oddział Dąbrowskiego przesunął się wschodnim brzegiem rzeki Rosi ku południowi. Tamtędy zaś może swobodnie przejść na Puszczę Białowieską. Zakomunikowałem o tym mjr. Dąbrowskiemu i oddział jego wziął ten kierunek.

Gdy Dywizja Litewsko-Białoruska opanowała Wołkowysk już żadna siła nie mogła utrzymać Samoobrony Grodzieńskiej. Oddziały pomaszerowały przez Indurę, Krynki i połączyły się z wojskami gen. Iwaskiewicza. Jak konne, tak i piesze oddziały wkrótce zasłynęły swą odwagą i poświęceniem na polu bitwy. Oddział pieszy stał się kadrą bohaterskiego Grodzieńskiego Pułku Strzelców, a z oddziału konnego przemianowanego na dywizjon utworzył się 23 Pułk Ułanów Grodzieńskich.

III Postawa mniejszości narodowych

Organizacji narodowych rosyjskich w tym czasie nie znałem, prawdopodobnie wcale ich nie było. Rozmawiałem z poszczególnymi Rosjanami, lecz nie zauważyłem, aby mieli jakąś określoną organizację polityczną. Ze strony Niemców były dążenia do przeciwstawiania Polakom innych narodowości.

Wobec tego doznawali poparcia Żydzi i nawet była podniesiona kwestia utworzenia pułku żydowskiego w Grodnie. Odbył się szereg wieców, ale bez najmniejszego powodzenia, gdyż młodzież żydowska nie była opanowana przez militarizm, a garnęła się do komunistów, nie pragnąc iść do jakichkolwiek formacji żydowskich.

Na początku grudnia 1919 roku członkowie Rady Narodowej Białoruskiej: Smolicz, Aleksyuk i panna Aleksyukówna próbowali zorganizować Białorusinów w mieście Grodnie. Byłem na tych wiecach. Akcja wypadła fatalnie dla organizatorów, adeptów nie zdobyli. Na prowincji tworzyły się białoruskie organizacje silnie komunistyczne. W końcu grudnia zjechała do Grodna Rada Narodowa Białoruska ze swoim rządem. Prezesem Rady Białoruskiej był Woronko. Zostali przez niego wyznaczeni na wszystkie powiaty (kreisy) komisarze Rządu Białoruskiego. Sprawy zagraniczne prowadził Antoni Łuckiewicz. Niejednokrotnie przychodził do mnie prywatnie z prośbą, bym porozumiał się z Komisarzem Generalnym Ziem Wschodnich celem ustalenia kontaktu. Zapytywany przeze mnie Komisarz Generalny wyraził zgodę na porozumienie się z Radą Białoruską bezpośrednio, ale pod warunkiem, by ci panowie przyjechali prywatnie do Warszawy. Nie zgodził się zaś oficjalnie ich traktować. Na tym te stosunki moje z Radą Białoruską rozbiły się i stały się nawet wrogie. Nie uważałem za możliwe działanie poszczególnych Komisarzy Białoruskich na prowincji i zacząłem likwidować, osadzając ich po kolei w więzieniu. Przy rewizji u nich znajdowało się paczki pozwoleń na broń *in blanco*, podpisane przez władze niemieckie. Przydawały się one nam bardzo, gdyż były zaraz wypełniane dla użytku Samoobrony. Jednego z tych komisarzy – Diegucia-Maleja nasz komendant w Krynkach por. Rybek skazał na śmierć za uczestnictwo w napadzie. Trzymało się go około tygodnia w więzieniu, ale wyroku nie konfirmowałem, gdy otrzymałem od niego słowo honoru, iż żadnej akcji politycznej prowadzić w moim rejonie nie będzie, wypuściłem go na wolność. Dzieguć-Malej zjawił się u mnie w Komisariacie i dziękował za okazaną mu łaskę. Na czele Wydziału Wojskowego Rady Narodowej Białoruskiej stał gen. Kondratowicz, właściciel majątku Horodno w pow. lidzkim.

Rada Narodowa Białoruska podporządkowana była Rządowi Litewskiemu. Formowała ona pułki piechoty białoruskiej wojsk litewskich. Skład oficerów był prawie wyłącznie rosyjski, choć był jeden Polak. Byli to oficerowie armii carskiej. Skład żołnierski był rozmaity. Byli tam włościanie z okolic Grodna, Augustowa i Suwałk. Przeważnie byli żołnierze armii carskiej, którzy nie mieli do czego wracać. Grupa tych żołnierzy przyszła do mnie do Komisariatu i miałem z nimi rozmowę. Ci ostatni pochodzili z Kowieńszczyzny. Byli to Polacy, którzy zaciągnęli się do wojska litewskiego w czasie najścia bolszewików na Litwę. Z okazanych mi dokumentów uwidaczniało się, iż w wojsku litewskim stanowili oni „kompanię mówiących po polsku”. Władze litewskie miały z nimi kłopot i ulokowały ich w forcie Kowna – Godlewie, a potem wysłały do Grodna do Białoruskiego Pułku Piechoty. Postawiłem sobie za cel likwidację wojska białoruskiego. Było to w lutym 1919 roku, gdy oddziały Samoobrony już odeszły do dyspozycji gen. Iwaszkiewicza. Pozostawałem bez niczego, zacząłem więc usilnie werbować nowych ochotników w formacjach P.O.W. Ze strony władz litewskich nikt nie próbował zetknąć się ze mną, nawet nie wiem jakie władze do Grodna przyjeżdżały. Od swoich ludzi w wojskowych formacjach białoruskich otrzymywałem ściśle informacje co do wszelkich posunięć i codziennego stanu liczebnego. Uważałem, że dezercja poszczególnych żołnierzy z pułków białoruskich jest niewskazana. Chciałem za jednym zamachem zlikwidować całą siłę litewsko-białoruską w Grodnie, by móc zaprzeczyć temu, iż władza Litwy rozciąga się na Grodno. Parokrotnie żołnierze formacji białoruskich, a mianowicie 1 pułku piechoty zwracali się do mnie, czy ich już nie zabiorę. Ja chciałem tych żołnierzy oddać do dyspozycji Dowództwa Wojsk Polskich ubranych jak z igiełki i kompletnie uzbrojonych za pieniądze rządu litewskiego. Ilości żołnierzy 1 pułku piechoty białoruskiej nie pamiętam. Wiem, że jeden batalion, stanowiący około 500 bagnietów stał w Krzywej Kamienicy, obecnie gmach Archiwum Państwowego w Grodnie. Określonej nocy zarządziłem ich zbiórkę w pełnym rynsztunku i pod dowództwem mego oficera odesłałem przez Indurę, Krynki do dyspozycji gen. Szeptyckiego. Żołnierze ci zostali wcieleni do Ko-

wieńskiego Pułku Strzelców. Ekwipunkiem swym znacznie przewyższali żołnierzy formacji Dywizji Litewsko-Białoruskiej Wojska Polskiego.

W owym czasie zorganizowałem w Grodnie delegację Białorusinów do Belwederu z wyrażeniem lojalności. Na czele tej delegacji stał niejaki Cwirko-Godycki ze Słuczczyzny. O przyjeździe tej delegacji pisały warszawskie gazety i gdy Cwirko-Godycki powrócił do Grodna został zaaresztowany przez władze i trzymany w grodzieńskim więzieniu. Otrzymałem polecenie ze Sztabu Głównego uwolnienia Cwirki-Godyckiego. Była to pierwsza próba sprawności moich nowo utworzonych oddziałów. Cwirko-Godycki miał być przewieziony do Kowna. O dniu przewiezienia byłem poinformowany. W wiosenny dzień o godzinie 4-ej po południu był wieziony przez ulicę Orzeszkowej karetką więzienną, konwojowaną przez szwadron huzarów. Na ich drodze koło pałacu księcia Czetwertyńskiego na chodniku zgrupowało się kilkunastu członków P.O.W. z rewolwerami. Huzarzy zostali w jednej chwili rozproszeni salwami z rewolwerów. Przeważnie pospadali z koni i pouciekali. Konie bez jeźdźców biegały po mieście. Wszyscy Niemcy pochowali się, widać było, iż nie chcieli brać udziału żadnego w konflikcie polsko-litewsko-białoruskim, woleli by rozegrał się bez ich udziału. W tym czasie siły niemieckie w Grodnie nie były duże. Co do ich ilości miałem ścisłe dane, gdyż codziennie miałem możność otrzymywania statystyki wydawanych racji żołnierskich. Dane te przysyłałem do Sztabu Głównego. Niemcy przedstawiali element zdemoralizowany bez poważnej wartości bojowej. Korzystając z powstałego zamieszania postanowiłem jechać do Komendanta Twierdzy Grodno. Komendantem twierdzy był płk Lowenfeld. Zjawiłem się u niego razem z urzędnikiem Komisariatu – Zdziarskim. Zwaliłem całą winę za zajście na Białorusinów i zażądałem, aby w przyszłości nie była dopuszczalna w mieście taka strzelanina, gdyż zagraża to życiu żołnierzy niemieckich. Moi ludzie zgrupowani w Grodnie i w okolicach mogą zostać sprowokowani, a wtedy nie ręczę czy władzom niemieckim uda się spokojnie wyjść z miasta. Przecież w interesach władzy niemieckiej leży, aby rozstać się bez żadnych awantur. Płk Lowenfeld zapewnił mnie, iż wszy-

stko zrobi ze swej strony, aby podobne ekscesy nie powtórzyły się. Tego pamiętnego dnia znikło wszelkie znaczenie Rady Narodowej Białoruskiej i Niemcy zaczęli ich lekceważyć jawnie. Kawaleria litewsko-białoruska, po zajęciu Grodna przez wojska polskie została przeniesiona do rejonu Druskiennik, gdzie została rozbrojona przez kpt. Walerego Sławka. Brała w tym udział organizacja P.O.W. Druskienniki. W tym samym czasie została zlikwidowana reszta Białoruskiego Pułku Piechoty w Grodnie. Szczegóły nie są mi znane.

IV Działalność moja jako Komisarza Rządu

Nominację na Komisarza Rządu na Ziemię Grodzieńską otrzymałem w grudniu 1918 roku. Nominację dał mi Minister Spraw Zagranicznych Leon Wasilewski. Kompetencja moja obejmowała całą Ziemię Grodzieńską w pojęciu dawnej Guberni Grodzieńskiej. Celem najbliższym miało być odebranie agend od władz niemieckich. Pełnomocnictwa nigdy ściśle nie były sprecyzowane. Ustalało je samo życie. Było zrozumiałym, że powiaty, które zostawały stopniowo wyzwolane przez Wojska Polskie, przestawały mnie podlegać. Urzędowałem w centrum okupacji niemieckiej i byłoby zbyt trudną rzeczą rządzić nimi z Grodna. Na tym tle nawet powstał konflikt. Gdy grupa gen. Iwaszkiewicza zajęła Wołkowysk, posłałem do Wołkowyska urzędnika Komisariatu w Grodnie Mirosława Ciszewskiego, któremu poleciłem objęcie administracji pow. wołkowyskiego. Równocześnie Generalny Komisariat Ziem Wschodnich, nie powiadamiając mnie, skierował na to samo stanowisko starostę Sulistrowskiego. W tym wypadku Ciszewski musiał ustąpić, a ja niesłusznie dostałem wymówkę od Komisarza Generalnego. W prędkim czasie Komisarz Generalny Z.W. przyjechał do Grodna i zwęził moje kompetencje. Od tego czasu podlegał mi jedynie teren okupacji niemieckiej, stanowiący dawny powiat grodzieński. Posyłając urzędników Komisariatu Mirosława Ciszewskiego i Janusza Nitostawskiego do Wołkowyska poleciłem im wstąpić po drodze do Kopciówki, dokonać przeglądu tamtejszych oddziałów wojskowych i zdać mi szczegółowy raport. Jakiego to

dnia było i jak się wywiązali nie pamiętam.

Komenda P.O.W. znajdowała się w lokalu Komisariatu. Rozporządzenia co do akcji i organizacji otrzymywałem bezpośrednio ze Sztabu Głównego, bądź za pośrednictwem Komisariatu Generalnego Z.W. Potem otrzymałem polecenie by wszystkie raporty składać przez Komisariat Generalny, a nie bezpośrednio do Sztabu Głównego. Dla akcji P.O.W. zostali delegowani do Grodna Stanisław Bujakowski i chorążowie: Grabowski i Dobrzyński. Przy Komisariacie był oficer łącznikowy z grupą gen. Iwaszkiewicza, a później gen. Szeptyckiego, ppor. Toczyski. W lokalu Komisariatu mieściło się Biuro Werbunkowe. Na czele jego stał płk Malinowski, zastępcą zaś był ppłk Otton Bagieński. Płk Malinowski kierował głównie zakupami, mając na ten cel fundusze od K.O.K. W Komisariacie Rządu odbywał się cały czas jawny skup broni, którą przynosili żołnierze niemieccy. Oficerowie niemieccy sprzedawali również broń i zasoby materiałowe, przeważnie za pośrednictwem Żydów. W tych wypadkach uzyskiwało się wagony na ekspedycję tych materiałów.

Ochotnicy podlegali segregacji. Pochodzący z dalszych okolic i mniej wzbudzający zaufanie przesyłani byli do Zambrowa czy Komorowa do batalionu etapowego Grodzieńskiego Pułku Strzelców. Wzbudzający większe zaufanie byli uzbrajani na miejscu z zapasów broni Komisariatu i lokowani w Grodnie i okolicach najbliższych.

Komisariat Rządu od samego początku uznawał ogromne znaczenie strategiczne Grodna i robił ogromne wysiłki, aby ten punkt opanować, zlikwidować akcję litewsko-białoruską i utrzymać most kolejowy dla otwarcia przez Grodno drogi na Wilno. Udało mi się wejść w porozumienie z grupą oficerów niemieckich dowództwa twierdzy Grodno. Zgadzała się oni za 300 tysięcy marek beselerowskich oddać w moje posiadanie most na Niemnie. W tym celu pojechałem specjalnie do Warszawy i porozumiałem się z prof. Kolankowskim, który doręczył mi tę sumę. Gdy te pieniądze wiozłem do Grodna z Białegostoku spotkana po drodze pancernka niemiecka aresztowała mnie. Szukano przy mnie pieniędzy. Na szczęście zorientowałem się co do celu aresztu i poleciłem swojemu sekretarzowi Uszkiewiczowi skryć się z walizką pełną pieniędzy na

końcu pociągu. W taki sposób udało się pieniądze uratować i transakcja doszła do skutku. Za te pieniądze kupiło się most na Niemnie i urządzenia tartaków w Jeziorach. Od tego dnia ustawiłem przy moście z obu stron mundurowe warty na górze i na dole u nurtu rzeki, gdyż ciągle dręczyła mnie obawa, że most może być zburzony.

Komisariat Rządu zorganizował Związek Kolejarzy. Związek ten oddał wielkie usługi utrudniając wywóz materiału kolejowego i prowadząc wywiad. Dla rozstrzygnięcia spraw cywilnych ludności zorganizowane zostały sądy na zasadach sądów rozjemczych. Komisariat przeprowadził spis ludności powiatu grodzieńskiego. Przeprowadzono wybory w Grodnie, chociaż ustawa wyborcza do Sejmu tego nie przewidywała, lecz Komisariat przydawał znaczenie takim wyborom. Zostali wybrani na posłów ksiądz dziekan Leon Żebrowski i doktor Kalenkiewicz. Obaj pojechali do Warszawy, lecz mandaty ich nie zostały przez Sejm uznane.

Komisariat Rządu w Grodnie nigdy nie został przez władze niemieckie uznany *de iure*, zaś *de facto* władze niemieckie liczyły się z nim. Cała siła i znaczenie Komisarza polegały na wykorzystaniu miejscowych elementów, którymi były: patriotyzm miejscowej ludności, chwiejność władz niemieckich, niesprecyzowane ich stanowisko w stosunku do Litwinów i Białorusinów i możliwość zajęcia Grodna w każdej chwili przez bolszewików.

W lokalu Komisariatu pełnił wartę zbrojną pluton żołnierzy, gdyż byliśmy przygotowani na nocny napad. Obawy moje były zupełnie słuszne. Jak mi opowiadał później dowódca 1 Białoruskiego Pułku Piechoty Wojsk Litewskich, płk Denisow, Rada Narodowa Białoruska otrzymała pozwolenie od władz niemieckich na nocny napad na Komisariat i jego zlikwidowanie. Było to w przeddzień napadu na szwadron konwojujący Cwirkę-Godyckiego. Po tym napadzie Białorusini już nie mieli odwagi napadać.

W Komisariacie oprócz personelu wymienionych agentów pracowali urzędnicy mianowani przeze mnie: Mirosław Ciszewski, Janusz Nitosławski, Zdziarski, Uszkiewicz oraz trzy kancelistki: Maria Żemojtelówna, Helena Kliksówna i Jadwiga Skinderówna.

Kierowanie Komisariatem wymagało szalonego naprężenia nerwów i szybkiej orientacji wobec ciągłej zmiany stosunków, usuwania niebezpieczeństwa, które co chwila groziło i atakowania o ile zdarzała się ku temu okazja.

Pan Minister Wasilewski, gdy mnie mianował, równocześnie mianował Komisarzy do Suwałk i Augustowa, lecz nie zostali oni uznani przez władze niemieckie. Uważali oni swoje zadanie za zakończone nie podejmując inicjatywy zdobywania władzy *de facto*.

Przekazanie władzy wkraczającym do Grodna Wojskom Polskim odbyło się we wzorowym porządku. Oddziały P.O.W. objęły w mieście wszystkie posterunki i nie dopuściły do grabieży i pożarów. Most kolejowy został utrzymany w porządku, tak, że pociąg z Białegostoku mógł swobodnie wjechać na stację Grodno. Niestety nie sądzono mi było widzieć wkraczające Wojska Polskie. Wyczerpany nadmierną pracą zachorowałem na tyfus plamisty i musiałem przerwać swoją pracę.

Ze zbrojnego oddziału P.O.W. w Grodnie został utworzony batalion forteczny twierdzy Grodno.

Wilno, 22/VI.37

Stanisław IWANOWSKI

Stanisław Iwanowski ur. w 1887 w majątku Lebiodka – Ziemia Lidzka, ziemianin, absolwent Wydziału Prawa Uniwersytetu w Petersburgu, zmobilizowany do armii rosyjskiej (1914-1918), działacz „Związku Wojskowych Polaków” w Piotrogradzie, działacz „Polskiego Politycznego Czerwonego Krzyża” tamże.

Organizator Samoobrony grodzieńskiej, Komisarz Rządu na Ziemię Grodzieńską 1918-1919. W 1920 walczył w II Brygadzie Jazdy gen. Dreszera, następnie u gen. Żeligowskiego. Z nim „utwierdzał” Litwę Środkową.

Od 1921 do 1939 prowadził kancelarię adwokacką w Wilnie. Zmobilizowany w stopniu kapitana w 1939, trafił następnie do obozu internowanych wojskowych na Litwie skąd uciekł do Wilna. W 1945 roku brał udział w akcji „Ostra Brama”, więziony w 1944 i zwolniony w 1945, repatriował się do Bydgoszczy gdzie pracował jako adwokat. Zmarł w 1970.

Kazimierz IWANOWSKI

DOKUMENTY

Lech KOWALSKI

KOK WOBEC OPOZYCJI POLITYCZNEJ I KOŚCIOŁA W LATACH 80-TYCH

Sytuacja społeczno-polityczna, jaka zaistniała po sierpniu 1980 r., zaczęła znajdować systematyczne odzwierciedlenie w posiedzeniach Komitetu Obrony Kraju (KOK). Już na posiedzeniu KOK w dniu 12.XI.1980 r. – w trakcie dyskusji – przewodniczący Komitetu Józef Pińkowski (wówczas prezes RM) polecił sekretarzowi KOK gen. Tadeuszowi Tuczapskiemu przygotowanie harmonogramu przedsięwzięć, w którym by uwzględniono wszystkie niezbędne rozwiązania prawne określające skutki zastosowania konstytucyjnej instytucji stanu wojennego – jak to określono – w aspekcie dostosowania ich treści do aktualnego stanu zagrożenia interesów państwa. W powyższym harmonogramie, KOK określił m.in. swój stosunek do ówczesnej opozycji politycznej. Dokument ten zatwierdzono 23.I.1981 r., ujmując w nim jednocześnie rozporządzenie w sprawie zasad i trybu internowania osób zagrażających bezpieczeństwu państwa lub porządkowi publicznemu, jak również zarządzenia w sprawie utworzenia ośrodków odosobnienia, czy też zarządzenie w sprawie zasad i trybu

przejęcia przez MSW zakładów karnych, aresztów śledczych i ośrodków przystosowania społecznego, które w przyszłości mieli zasiedlić aresztowani opozycjoniści. Takie były początki¹.

Gen. Jaruzelski od czasu do czasu dawał osobisty wyraz swym poglądom zabierając głos w dyskusji na posiedzeniach Komitetu. W dniu 19.VI.1981 r., kiedy to Jaruzelski był już premierem i jednocześnie przewodniczącym KOK, odniósł się bezpośrednio do tzw. wrogich socjalizmowi sił wewnętrznych, łącząc ich działalność z imperialistycznymi ośrodkami dywersji, przy pomocy których – określenie Generała – „dążą do przejęcia władzy w Polsce”. Za najbardziej niebezpieczne ugrupowanie w tym czasie gen. Jaruzelski uznawał KPN i KOR oraz te (bliżej nie sprecyzował), które przeniknęły do „Solidarności”. Jaruzelski oceniał, że siły te stawały na osłabienie władzy, w sposób nie powodujący reakcji sąsiadów Polski, a jednocześnie „żerując na nacjonalizmie, oddziałują szczególnie na młodzież akademicką”. Na tymże samym posiedzeniu KOK Jaruzelski poinformował zebranych, że wokół procesu przeciwko kierownictwu KPN tworzona była – zdaniem Generała – niesprzyjająca atmosfera (tzn. zbyt duża przychylność) – polecając to zmienić. W dalszej części swego wystąpienia polecił podnieść kondycję Służby Bezpieczeństwa i MO, proponując rozważyć celowość wcześniejszego wykorzystania środków przeznaczonych na nagrody dla w/w funkcjonariuszy. Zdaniem Jaruzelskiego przedmiotem szczególnej troski winny stać się też formacje ZOMO. Był to czas, kiedy tego typu uwagi przewodniczącego KOK stawały się prawem, a jego sugestiom nadawano bieg urzędowy².

O ile gen. Jaruzelski na tym forum uosabiał w sprawach ogólnopaństwowych stanowisko nieco umiarkowane, o tyle

1. Harmonogram opracowania przepisów wykonawczych i innych dokumentów wynikających z aktów normatywnych dotyczących ochrony bezpieczeństwa państwa i porządku publicznego w czasie obowiązywania stanu wojennego. Protokół nr 01/80 z posiedzenia KOK z 12.XI.1980 r., MON, Sekretariat KOK/BBNpKP, Teczka nr 09/83.

2. Protokół nr 01/81 z posiedzenia KOK z 19.VI.1981 r., MON, Sekretariat KOK/BBNpKP, Teczka nr 38/0015/91.

gen. Mirosław Milewski (w tym czasie jeszcze minister spraw wewnętrznych) był przedstawicielem skrajnie zachowawczego nurtu w swym resorcie. Jego informacja złożona na tym samym posiedzeniu KOK w dniu 19.VI.1981 r. nie mogła budzić niczyich wątpliwości, jaki los spotka opozycję polityczną w kraju. Milewski już na wstępie oświadczył, że resort czyni przygotowania do działań w przypadku wprowadzenia stanu wojennego. Odnośnie osób – jak oświadczył – „prowadzących wrogą działalność” planowano: internowanie, zatrzymania prewencyjne, tymczasowe aresztowania, rozmowy neutralizujące. A skala represji miała być uzależniona od stopnia szkodliwości działania poszczególnych osób, od sytuacji operacyjno-politycznej i wreszcie zależała od możliwości resortu spraw wewnętrznych. Do działań w tym zakresie były już przygotowane specjalne grupy operacyjne. Wspólnie też – o czym wspominał Milewski – planowano z Głównym Zarządem Politycznym WP podjęcie akcji zmierzających do wyłonienia tzw. pozytywnych osób w środowiskach kulturalnych i opiniotwórczych pod kątem ich wykorzystania do działalności propagandowej. Choć w tym czasie Jaruzelskiego i Milewskiego wiele różniło, to łączył ich niewątpliwie wrogi stosunek do ówczesnej opozycji. Nie inaczej było z pozostałymi członkami KOK-u.

W dniu 13.IX.1981 r. – na kolejnym posiedzeniu Komitetu – Stanisław Kania (wówczas jeszcze I sekretarz KC PZPR) przyznał bezsporne pierwszeństwo MSW w rozprawieniu się „środkami paralizującymi z wrogą działalnością” – chodziło oczywiście o opozycję. W takiej też atmosferze po raz pierwszy zabrał głos w roli ministra spraw wewnętrznych gen. Czesław Kiszczak (Milewskiego przesunięto na sekretarza KC PZPR). Używał określenia „przeciwnik polityczny”, stojąc na stanowisku, że tenże przeciwnik dąży do konfrontacji w wybranym przez siebie czasie, stosując jednocześnie środki ukierunkowane na systematyczny rozkład działania ogniw administracji państwowej i organizacji PZPR. W uzupełnieniu Milewski, już w nowej roli, wypowiedział wówczas chyba najbardziej bliskie prawdy stwierdzenie obrazujące stan poparcia społecznego dla ówczesnych władz, kiedy oznajmił: „władze polityczne i państwowe muszą obecnie działać prak-

tycznie w oparciu o siły resortów MON i MSW, w których ewentualna erozja oznaczałaby przechylenie społecznego wsparcia na korzyść politycznego przeciwnika”³.

Taktykę władz wobec zaistniałej sytuacji społeczno-politycznej w kraju jasno wyraził Kania, uważając, że ewentualne wprowadzenie stanu wojennego powinno się w głównej mierze przyczynić do dokonania przekształceń w „Solidarności” w kierunku związku zawodowego o socjalistycznym charakterze. W stanie wojennym Kania nie dostrzegał metody na dalsze funkcjonowanie społeczeństwa i władzy. Ewentualny stan wojenny określał jako stan wojny klasowej. Postrzegano w nim element wstrząsowy, pozbawiający opozycję nośnego podłoża, jakim było niewątpliwie wsparcie społeczne. Gra szła o społeczeństwo. Przyszłego losu opozycji nie potrafiono jeszcze na tym etapie przewidzieć. Taki schemat myślowy Kania zaprezentował na posiedzeniu KOK w dniu 13.IX.1981 r., a już 18 października tegoż roku przestał być I sekretarzem KC PZPR. Miejsce to zajął gen. Jaruzelski, co też dowodzi, że były i inne koncepcje rozwiązania tego problemu.

Po wprowadzeniu stanu wojennego KOK nie zbiera się na posiedzenia. Decyzje podejmował w formie obiegowej. Część członków KOK przeszła w skład WRON i afirmowała działalność tego pozakonstytucyjnego organu w państwie. Ciężar bieżącej działalności Komitetu przejął teraz Sekretariat KOK, który wypracował szereg dokumentów wzmagających system represji zastosowanych wobec całego społeczeństwa, m.in. w zakresie koordynacji działalności pełnomocników-komisarzy KOK, jak również patronując akcji militaryzacji gospodarki narodowej. W każdym z takich wypadków uderzano najmocniej w opozycję, przy okazji zastraszając społeczeństwo. W sumie przez ośrodki internowania przewinęło się przeszło 10 tys. osób czynnych w przedsolidarnościowym ruchu opozycyjnym oraz stosunkowo szerokie grono współpracujących z opozycją intelektualistów⁴.

3. Protokół nr 002/81 z posiedzenia KOK z 13.IX.1981 r., MON, Sekretariat KOK/BBNpKP, Teczka nr 38/0015/91.

4. Szerzej: J. Holzer, K. Leski, „Solidarność w podziemiu”, Łódź 1990.

Problematyka ta powróciła na forum KOK ponownie z dniem 12.I.1984 r., kiedy to Komitet począł debatować nad dalszym rozwojem sytuacji wewnętrznej państwa. Mimo że minęło już przeszło sześć miesięcy od zniesienia stanu wojennego w Polsce (22.VII.1983) – na forum tym, nie wyczuwało się zbyt dużej pewności władzy. Nostalgicznie odwoływano się do możliwości sił zbrojnych. Gen. Jaruzelski zapewniał zebranych, że wojsko jest w dobrej kondycji narodowo-politycznej i bojowej⁵. A jednocześnie – jak to miało miejsce na posiedzeniu KOK w dniu 28 czerwca tegoż 1984 r. – triumfowano z osiągnięć MSW w zwalczaniu opozycji politycznej. Według gen. Kiszczaka w ciągu półrocza 1984 r. zlikwidowano 112 nielegalnych grup i organizacji o charakterze antysocjalistycznym, ponad 100 nielegalnych punktów poligraficznych oraz – jak określił – ogromne ilości wrogich materiałów propagandowych, w tym ponad 1 mln ulotek i wydawnictw, 6 tys. plakatów, a także 3 urządzenia nagłaśniające, 5 maszyn drukarskich, 34 powielacze, 88 urządzeń powielających typu „sitoramka” i 6308 ryz papieru maszynowego i powielaczowego, tj. ok. 15 tys. ton, a także znaczne ilości farby drukarskiej.

Gen. Kiszczak stwierdził, iż od 1 maja do 17 czerwca 1984 przeprowadzono 2893 przesłuchania osób podejrzanych o wrogą działalność, zatrzymując na 48 godzin 1936 podejrzanych o taką działalność, z których 344 aresztowano. Kiszczak dodał, że w I półroczu tego roku odnotowano łącznie ok. 550 sytuacji konfliktowych w zakładach pracy. Jego zdaniem największe nasilenie wystąpiło w lutym: 159 przypadków, z tendencją malejącą do 60 w maju. W 41 przypadkach nastroje niezadowolenia miały doprowadzić do przerw w pracy. Za korzystną szef MSW uznał sytuację na wsi, gdzie nie odnotowano żadnych form działalności opozycyjnej. Analizując sytuację w związkach twórczych i organizacjach społeczno-zawodowych, Kiszczak uznał, że nadal ze środowisk tych promieniował zły wpływ na zachowania młodzieży akademickiej, młodych pracowników nauki, świata

5. Protokół nr 01/84 z posiedzenia KOK z 12.I.1984 r., MON, Sekretariat KOK/BBNpKP, Teczka nr 38/0016/91.

kultury, czy nawet adwokatury. Zdaniem jednak gen. Kiszczaka społeczeństwo polskie stawało się coraz mniej wrażliwe i dyspozycyjne wobec poczynań opozycji. Szef MSW poinformował członków KOK, że resort w szybkim tempie począł przybliżać się do miejsc pobytu niektórych członków TKK. Jako przykład przytoczył zatrzymanie w dniu 9 czerwca 1984 r. Bogdana Lisa, a ponadto: Macieja Kołaczkowskiego z Regionu Mazowsze, Edmunda Leidorka z Regionu Białystok. Obaj zatrzymani ukrywali się od 13.XII. 1981 r. Jednocześnie przekonywał, że resort MSW kontrolował kanały łączności podziemia politycznego z ośrodkami zachodnimi. Przy tym ubolewał, że nie z winy podległego mu resortu w minionym półroczu „sprawa 11 aresztowanych ekstremalnych przywódców KOR-u i Solidarności nie została rozwiązana”. Przyznał się też do nikłych osiągnięć w walce z podziemnymi radiostacjami stwierdzając, że „brak możliwości technicznych (chodziło tu głównie o zakłócenia radiokomunikacji satelitarnej) wymaga przedstawienia tego problemu na forum sojuszniczym (ZSRR)”.

Po raz pierwszy też na forum KOK poddano analizie funkcjonowanie kościoła katolickiego. Kwestia ta stanowiła drugą część wystąpienia gen. Kiszczaka, który uznał stan stosunków państwo-kościół za w miarę poprawny. Przypisując władzy rozsądek i cierpliwość w prowadzeniu polityki względem kleru. Jak wynikało z jego wystąpienia resort MSW dostrzegł podziały wewnętrzne w łonie kościoła i zamierzano je wykorzystywać w pracy operacyjnej. Tym bardziej że były to na ówczesnym etapie podziały głównie pod kątem stosunku kleru do opozycji politycznej. Omawiając przebieg 199 Konferencji Episkopatu, na której dokonano m.in. wyboru członków Rady Głównej, Kiszczak stwierdził, że członkami zostali „ludzie papieża”, gwarantujący wierne realizowanie jego zaleceń. W efekcie – zdaniem Kiszczaka – doszło do tego, że „skład Rady wzmocniła ekstrema w Episkopacie i w kościele”. Paradoks tego stwierdzenia polegał na tym, że to przecież szef resortu MSW ubolewał nad sytuacją w jakiej się znalazł prymas Glemp, który – według Kiszczaka – „będzie miał związane ręce, otoczony kordonem duchownych oddanych papieżowi”. W resorcie tym oceniano, że kardynał

Glomp z trudem zdołał przeforsować swego kandydata (biskupa Jerzego Dąbrowskiego) na zastępcę sekretarza Episkopatu. Jak prognozowano, Kardynałowi „będzie o wiele trudniej podejmować samodzielne decyzje”.

Dalsza część wystąpienia przedstawiciela tego resortu daje pewien obraz rozmachu i głębi wewnętrznej infiltracji tej instytucji kościelnej przez MSW. Świadczy o tym przedstawiona na tym forum dokładna relacja z wizyty Prymasa w Watykanie i rozmowy z Papieżem, a także z rozmów z funkcjonariuszami watykańskiego Sekretariatu Stanu. W trakcie tych rozmów Prymas miał zostać zapoznany z krytycznymi ocenami własnej polityki, zawartymi m.in. w listach duchownych – w tym także emigracyjnych – oraz niektórych biskupów, nadesłanych do Watykanu. Podczas tej wizyty Kardynał miał prezentować negatywną ocenę działalności grup opozycyjnych w kraju, a także niektórych byłych przywódców „Solidarności”, którzy wg jego oceny dążyli do instrumentalnego wykorzystywania kościoła dla realizacji własnych celów politycznych. W tym kontekście Prymas miał krytycznie ustosunkować się do powiązań niektórych duchownych z działaczami byłego KOR-u, którzy w większości mieli prezentować poglądy antyreligijne (chodziło o działaczy narodowości żydowskiej).

Kardynał Glomp miał również wyrazić opinię i zasugerować, by ze względów taktycznych papież przejął na siebie zadania publicznego wzywania władz PRL do respektowania porozumień sierpniowych, natomiast Episkopat Polski miał wykorzystywać w tym celu istniejące kanały dialogu z rządem polskim. Sugestia ta miała się spotkać z pozytywną reakcją ze strony Agostino Casarolego, który miał uznać taki wariant za jedyną linię postępowania względem władz zdającą w praktyce egzamin.

Walka z podziemiem opozycyjnym, szukanie właściwych układów z kościołem to tematy, które bardziej absorbowały członków KOK niż zagadnienia obronności. Polityka wyraźnie zdominowała sprawy obronności. I tak już miało w zasadzie pozostać po sam kres PRL-u.

Gen. Jaruzelski zaproponował przyjęcie ocen i informacji przedstawionych przez gen. Kiszczaka. Podkreślając, że „daje

to podstawę do wypracowania kierunków działania zmierzających „do dalszej poprawy sytuacji społeczno-politycznej w Polsce”. Uważał, że określony wpływ na nastroje społeczne nadal miała opozycja „powiązana z agenturalną działalnością służb specjalnych USA”. I te fakty polecił doprowadzić – z całą mocą – do świadomości społeczeństwa. Skuteczność walki z podziemiem opozycyjnym uznał za właściwą, prowadzoną z dużym powodzeniem. Postulował kierunek na wyizolowanie ze świadomości społecznej tego typu przeciwnika. W zamian proponując podjęcie działań zmierzających do umocnienia roli PZPR w życiu państwa i narodu. Jednocześnie Jaruzelski polecił tę problematykę dać pod rozwagę poszczególnym Wojewódzkim Komitetom Obrony (WKO) i przekazać na naradach i odprawach informacje w tej sprawie szefom Wojewódzkich Sztabów Wojskowych (WSzW) i Wojewódzkich Urzędów Spraw Wewnętrznych (WUSW). Tym to sposobem teren został wciągnięty w grę centrum.

Każde kolejne posiedzenie KOK wносиło teraz coś nowego do obrazu stosunków: władza-opozycja-kościół. Na posiedzeniu w dniu 18.I.1985 r. gen. Kiszczak uznał rok 1984 za przełomowy w trzyletnim okresie narastania procesów stabilizacyjnych (poprawa sytuacji ekonomicznej społeczeństwa, wzrost zaufania do PZPR), co miało powodować – zdaniem MSW – kurczenie się roli opozycji w życiu społeczno-politycznym kraju. Kiszczak pocieszał zebranych, że opozycja nie posiadała programu poderwania społeczeństwa do nowych wystąpień przeciwko władzy. Nadmieniał jednak, że nad takim programem opozycja pracuje (Mazowiecki, Geremek, Celiński, Frasyński). Przejęty przez MSW dokument KOR-u pt. „Program społeczno-gospodarczy – tezy do dyskusji” miał potwierdzać te sugestie. Generalnie jednak MSW uważało, że opozycja przeżywa trudny okres, jest sfrustrowana, pełna wątpliwości i poczucia bezsensu. Na potwierdzenie tych nastrojów Kiszczak przytoczył wypadki ujawnienia się Szumiejki i Janasa. Oskarżył też przy okazji opozycję, że rozgrywa śmierć księdza Jerzego Popiełuszki. Za najbardziej aktywnych na tym polu uznał Seweryna Jaworskiego i związanych z jego sztabem: Michnika, Kuronia i Moczulskiego. Ostrzegął również przed innymi formami działania opozycji, które mieli

preferować Wałęsę, Mazowiecki i Geremek, a którzy dążyli – wg MSW – „do jawnej działalności sił antysocjalistycznych w Polsce, przedstawiając siebie, jako możliwych do zaakceptowania partnerów dialogu”. Kiszczak ostrzegał ponadto przed próbami opozycji rekonstrukcji tzw. Komitetów Obrony Praworządności (miały funkcjonować pod różnymi nazwami) – co na tym forum zostało odczytane jako powtórzenie doświadczeń KOR-u z 1976 r. „Służba Bezpieczeństwa dusi to w zarodku” – podsumował szef MSW⁶.

Według gen. Kiszczaka na terenie Polski na dzień 1.I.1985 r. działało: 370 grup i struktur konspiracyjnych. Od maja 1984 r. ilość ta zmniejszyła się w/g szacunków MSW o ponad 22%. Za największe skupiska działalności konspiracyjnej uznawano: Warszawę, Wrocław, Gdańsk, Kraków, Toruń, Łódź, Poznań, Szczecin. Próbowano – w/g MSW – stworzyć struktury sieci na wzór lat 1980-1981 i opanować samorządy robotnicze i terytorialne, a także przeniknąć do nauki i oświaty, kładąc nacisk na tzw. oświatę niezależną, wydawniczą i radiową. Do najbardziej aktywnych na tym polu Kiszczak zaliczył: Uniwersytet Warszawski, UAM w Poznaniu, Politechnikę Warszawską, Poznańską, Uniwersytet Gdański. Generalnie spodziewano się ożywienia działalności „Solidarności”, dawnego KOR-u i KPN-u.

Według MSW, na tym tle kościół starał się unikać skrajnych reakcji politycznych i nie ożywiać tendencji politycznych sprawą śmierci księdza Popiełuszki, która spowodowała znaczne poruszenie wśród kleru, zwłaszcza młodego, zradykalizowanego w postawach i poglądach. Za rejonu podatne – jak wyraził się gen. Kiszczak – na fanatyzm religijny uznano: częstochowskie, kieleckie, wrocławskie, białskopodlaskie, poznańskie, szczecińskie, łódzkie, gdańskie i siedleckie. Ostrzegał jednocześnie przed nowym etapem krucjaty ze strony Watykanu przeciwko socjalizmowi i komunizmowi, wymierzonej przede wszystkim w ideologię marksistowską i ustrój socjalistyczny. Obawiano się równocześnie działalności kleru na gruncie duszpasterstwa stanowo-zawodo-

6. Protokół nr 01/85 z posiedzenia KOK z 18.I.1985 r., MON, Sekretariat KOK/BBNpKP, Teczka nr 38/0017/91.

wego, głównie wśród młodzieży, robotników i rolników – postrzegając w tym możliwość odtworzenia struktur związkowych. Pewne polityczne zagrożenie dostrzegano także ze strony Klubów Inteligencji Katolickiej, gdzie (w/g MSW) była prowadzona głównie antykomunistyczna indoktrynacja społeczna.

Były też słowa pochwały – wyrażone na forum KOK – skierowane pod adresem oskarżonych za zabójstwo Popiełuszki, a także za ofensywny charakter wyjaśnień Grzegorza Piotrowskiego i częściowo Pietruszki, „choć – słowa Kiszczaka – ten ostatni z niezrozumiałych względów zbyt łagodnie wypowiadał się na temat kościoła i opozycji”. Szef MSW uznał za korzystną linię obrony Piotrowskiego, zakładającą, że motywem akcji były względy polityczne, a nie religijne, spowodowane frustracją wynikającą z dotychczasowego zachowania się kleru, który swoją działalnością godził w obowiązujący porządek prawny. Jednocześnie gen. Kiszczak ubolewał nad postawą oskarżycieli posiłkowych (utrudniali pracę), którzy dążyli do zachowania świetlanego obrazu Popiełuszki. Mamy więc tu przykład gloryfikowania zbrodni i to na jednym z najwyższych forum polityczno-partyjno-wojskowo-milicyjnym w kraju. Ten jednostkowy przykład ukazuje jeszcze coś więcej, mianowicie mentalność tych ludzi. W posiedzeniu tym uczestniczyli wówczas: Jaruzelski, Siwicki, Barcikowski, Messner, Czyrek, Olszowski, Milewski, Porębski, Gorywoda, Szałajda, Kiszczak, Użycki i Tuczapski, a ponadto: Jabłoński, Jasiński, Górnicki, Janiszewski, Baryła, Loranc, Bednarski, Nowak, Jachacz, Ratuś, Miśkiewicz, Faron, Świrgoń, Gębala oraz pracownicy Sekretariatu KOK: Sulima, Malina i Malicki.

Wypowiadając się na tym samym posiedzeniu gen. Jaruzelski uznał, że „kościół katolicki jest jednym z głównych zagrożeń w wychowaniu społeczeństwa, w tym młodzieży, kreując sprzeczne z naszymi intencjami tendencje i idee”. Generał polecił przeciwdziałać tym niekorzystnym tendencjom. Polecił również eksperymentować ze stanowiskami zastępców dyrektorów szkół ds. wychowania patriotyczno-obronnego. Nakazał równocześnie zwiększyć szeregi instruktorów ZHP, którzy mieli przeciwdziałać tradycjom klerykalizmu tego związku.

Zgodził się także na propozycję Bednarskiego, aby KOK co roku rozpatrywał na swym posiedzeniu problematykę wychowania patriotyczno-obronnego⁷.

Tymczasem gen. Jaruzelski począł wydawać polecenia niczym dyktator, m.in. to wówczas polecił zwiększyć ilość filmów o problematyce patriotyczno-obronnej, a w teatrach polecił wpływać środkami finansowymi na priorytet wystawianych sztuk – stwierdzając dosłownie : „finansować przedmiotowo, a nie podmiotowo”. Jednocześnie skrytykował przy okazji telewizję, za podejmowanie tej problematyki na niskim poziomie, polecając zwiększyć ilość programów wychowawczo-rozrywkowych i podnieść ich poziom atrakcyjności. W literaturze polecił wchodzić z problematyką patriotyczno-obronną poprzez komiksy dla młodzieży.

Z powyższej problematyki duże wrażenie też robi informacja przekazana przez gen. Kiszczaka na posiedzeniu KOK w dniu 29.VI.1985 r., kiedy to powołując się na raport MSW stwierdził: „Ostatnio przekazano MSW, nie pierwszą zresztą, inicjatywę TKK „Solidarność” w sprawie zaniechania przez nią działalności i ujawnienia się. Przedkładając następujące warunki: 1) Ujawniają się i wydadzą przedmioty, których posiadanie jest zakazane lub wymaga pozwolenia; 2) W dniu ujawnienia się zaprzestaną swojej działalności placówki zagraniczne, gdyby zaś nie podporządkowały się – ich działalność zostanie publicznie uznana za bezpodstawną; 3) TKK publicznie odetnie się od ekstremalnych poglądów typu „program KPN” oraz polityki sankcji Reagana; 4) Zaapeluje się do społeczeństwa, aby skorzystało z szans reform wytyczanych przez ekipę gen. Jaruzelskiego i jeśli ordynacja wyborcza uwzględni propozycje społeczne PRON – wezwie do udziału w wyborach. Będzie lokalnie wspierać zamierzenia antykrzysowe i reformatorskie ekipy rządowej”. W zamian – zdaniem gen. Kiszczaka – TKK domagała się od władz: „1) Skorzystania

7. Fragmenty z zapisu protokołu nr 01/85 z posiedzenia KOK z 18.I.1985 r. dotyczące stosunku gen. Jaruzelskiego i gen. Kiszczaka do kościoła katolickiego w Polsce proponuję porównać z podobnymi akapitami o kościele z autobiografii W. Jaruzelskiego „Stan Wojenny. Dlaczego...”, Warszawa 1992 i W. Beresia, J. Skoczylasa, „Gen. Kiszczak mówi... Prawie wszystko”, Warszawa 1991.

przez Radę Państwa z prawa do wystąpienia z inicjatywą ustawodawczą przewidującą możliwość tworzenia związków zawodowych poza strukturą OPZZ, do których będą się stosować wszystkie postanowienia ustawy o związkach zawodowych z 8.X.1982 r.; 2) Umożliwienia powrotu działaczom opozycyjnym do normalnego życia a także pełnienia funkcji związkowych, gdyby w przyszłości zostali wybrani; 3) Niestosowania odwetu wobec ujawniających się działaczy opozycji; 4) Przerwania i umorzenia dochodzeń wobec działaczy byłej 'Solidarności'⁸.

Zgodnie z decyzją gen. Jaruzelskiego – wyrażoną wówczas publicznie na w/w posiedzeniu KOK – żadne pertraktacje z TKK w sprawie warunków politycznych nie miały być prowadzone: „...rozmowy, jeżeli do nich dojdzie – zdecydował przewodniczący KOK – mogą dotyczyć jedynie warunków w jakich – w świetle obowiązujących norm prawnych – mogliby się ujawnić i nie zostać aresztowanymi. Sprawa jest ściśle poufna i podaję ją wyłącznie do wiadomości Towarzystwa”. Tak wyglądał dialog władzy z opozycją tamtych lat.

Na tymże samym posiedzeniu KOK gen. Kiszczak dokonał kolejnego podsumowania walki MSW z podziemnym kolportażem. W/g danych resortu, który reprezentował, od początku 1985 r. odnotowano 6564 fakty kolportażu, około 161 tys. ulotek, 14 tys. nielegalnych wydawnictw oraz 934 plakaty. W porównaniu z rokiem ubiegłym oznaczało to spadek w kolportażu o prawie 6,5 tys., tj. o ok. 50% i o 344 tys. ulotek i 5 tys. wydawnictw i wzrost ujawnionych faktów kolportażu plakatów o 507 sztuk. Według tego samego źródła miało się ukazać 210 tytułów książkowych w tzw. II obiegu, a w 1985 (do czerwca) 110 nowych pozycji książkowych. Szef MSW w ten sposób m.in. wykazywał się sukcesami podległego resortu w dziele zwalczania produkcji poligraficznej o charakterze antypaństwowym. Za sukces też poczytywał sobie zlokalizowanie w maju 1985 r. dużej nielegalnej drukarni prowadzonej przez jedno z podstawowych i najbardziej zakonspirowanych ogniw „Nowej”. W kilka dni później – jak

8. Protokół nr 02/85 z posiedzenia KOK z 29.VI.1985 r., MON, Sekretariat KOK/BBNpKP, Teczka nr 38/0020/84.

uzupełnił – „zatrzymaliśmy kierownika Agencji Radiowo-Telewizyjnej Biura Informacyjno-Prasowego byłej „Solidarności” Mariana Terleckiego zatrudnionego w Stowarzyszeniu Apostolstwa Katolickiego Księży Pallotyńów w Gdańsku”.

Jak wynikało z dalszej części wystąpienia Kiszczaka, był to rok sukcesów podległego mu resortu w walce z ruchem opozycyjnym, a zwłaszcza z jego oficynami wydawniczymi. I tak – jak wyjaśniał – w czerwcu 1985 r. MSW zlikwidowało oficynę wydawniczą „Krağ”, która specjalizowała się w masowym wydawaniu pozycji historycznych i politologicznych. Wspólnie z szefostwem WSW rozbito także redakcję czasopisma „Krytyka”, powołanego do życia w 1978 r. przez KSS-KOR. Redakcja ta spełniała ważną rolę w wypracowywaniu platformy politycznej dla struktur konspiracyjnych. Przy tej okazji zlikwidowano centralny punkt kolportażu nielegalnych wydawnictw; przejęto wówczas 273 tytuły książkowe, broszury i inne wydawnictwa. Łącznie ok. kilka tysięcy egzemplarzy. Był to też rok, w którym MSW skoncentrowało swoją uwagę na strukturach studenckiego podziemia, chodziło głównie o penetrację Samorządów Studenckich, które – zdaniem szefa MSW – były opanowane przez członków Niezależnego Zrzeszenia Studentów.

Z kolei wysoko ocenił Kiszczak środowisko kulturalne kraju. Jego zdaniem nastąpiła istotna polaryzacja postaw ideowo-artystycznych oraz istniały wyraźne przesłanki dalszej stabilizacji i przewartościowań w kierunku pożądanym dla władz. Oceniał, że w 1984 r. nastąpiło znaczne uporządkowanie sytuacji w wiodących związkach i stowarzyszeniach twórczych.

Diametralnie inaczej wyglądała sytuacja w kościele. MSW odnotowało tu zwiększenie się grona duchownych, którzy w sposób coraz bardziej aktywny prowadzili otwartą walkę polityczną z władzami: „...dla ilustracji tego stanu rzeczy pragnę poinformować Towarzyszy, że o ile w okresie styczeń-maj ub.r. (1984) zanotowaliśmy wyraźnie wrogie wystąpienia ze strony 10 biskupów i 44 księży, to w takim samym okresie roku bieżącego (1985) wystąpienia takie prezentowało 11 biskupów i 172 księży. Wprawdzie liczby bezwzględne są stosunkowo niewielkie, obejmują ok. 0,8%

kleru katolickiego w Polsce, ale jego możliwości oddziaływania na wiernych i kształtowanie opinii są znaczne, bowiem wystąpienia te są rozpowszechniane w nielegalnych wydawnictwach, a zwłaszcza poprzez polskojęzyczne zachodnie rozgłośnie radiowe”.

Nie mniejsze zaniepokojenie budziła działalność duszpasterska kościoła wśród młodzieży i nasilenie ruchu pielgrzymkowego. Kiszczak poinformował zebranych członków KOK o przebiegu spotkania Jaruzelskiego z Glempem (18.VI.1985 r.). Spotkanie to miało rokować położenie kresu politykowania w kościele – jak stwierdził Kiszczak – „...są wstępne sygnały po tym spotkaniu, które pozwalają prognozować, że kierownictwo Episkopatu podejmie kroki w kierunku znacznego odpolitycznienia zewnętrznych przejawów działalności Kościoła. Kardynał Glemp najprawdopodobniej będzie dążył do wytonowania politycznej agresywności kazań niektórych biskupów i księży. W tym duchu prowadzona była po raz pierwszy dyskusja na 207 Konferencji Plenarnej Episkopatu Polski obradującej w dniu 25.VI.1985 r. w Szczecinie. Działania te prymas podejmuje mimo sprzeciwu opozycyjnej części hierarchii”.

Zdaniem szefa MSW szczególnym miejscem organizowania uroczystości kościelnych o zdecydowanej negatywnej wymowie politycznej stał się kościół Stanisława Kostki w Warszawie na Żoliborzu. Wzbudzał zbyt duże zainteresowanie korespondentów zachodnich i przedstawicielstw dyplomatycznych krajów kapitalistycznych, jak poinformował Kiszczak: „Obecnie wypracowujemy cały system oddziaływań celem których będzie sparaliżowanie negatywnej politycznie działalności prowadzonej w obrębie tego kościoła. System ten obejmować będzie obszerny kompleks zagadnień i wynikających z nich zadań o charakterze administracyjnym, porządkowym, operacyjnym i polityczno-propagandowym”.

Zaniepokojenie MSW budziły także organizowane na terenie kościołów i w obrębie placówek kościelnych występy, koncerty i spotkania ludzi kultury i sztuki z zebranymi. W 1984 r. resort ten odnotował 241 takich spotkań z udziałem 662 artystów przy publiczności szacowanej na ok. 180 tysięcy. Zdaniem Kiszczaka: „...taka liczba osób objęta

indoktrynacją antysocjalistyczną to nowe, groźne zjawisko społeczne. Będziemy temu skrupulatnie przeciwdziałać, m.in. poprzez praktyczne stosowanie uchwalonych przez Sejm w dniu 10.V.1985 r. zmian niektórych przepisów prawa karnego i prawa o wykroczeniach, a także ustaw o szczególnej odpowiedzialności karnej oraz przez stosowanie odpowiednich dolegliwości fizycznych, prowadzenie ostrzegawczych rozmów, itp.”.

Spśród najbliższych zadań i najistotniejszych stojących przed MSW w/g gen.Kiszczaka były: 1) likwidacja resztek nielegalnych struktur, szczególnie na terenie Warszawy, Gdańska, Wrocławia; 2) aktywne kontynuowanie działań w celu ograniczenia i likwidacji nielegalnej działalności wydawniczej. Działania te miały oczyścić przedpole kampanii wyborczej.

Również niezwykle pouczający materiał – poszerzający obraz i ukazujący stosunek ówczesnych władz do opozycji i kościoła – został zaprezentowany na posiedzeniu KOK w dniu 27.III.1986 r. przez sekretarza KC PZPR J. Głowczyka⁹.

Głowczyk – już na wstępie wystąpienia – potwierdził tezę gen. Kiszczaka, że nastąpił spadek wpływu grup antysocjalistycznych w społeczeństwie. Mówca ten, działalność opozycji połączył jednoznacznie z dywersyjną presją USA wobec Polski, nie widząc szans na zmianę stanowiska władz wobec opozycjonistów. Głowczyk uznał, że w zakresie łączności z grupami antysocjalistycznymi w Polsce podstawową rolę odgrywało Biuro Koordynacyjne NSZZ „Solidarność” w Brukseli. Wymienił cały szereg instytucji poza granicami Polski, które – jego zdaniem – kreowały niezależny od władz PRL obraz Polski na Zachodzie, jak również w kraju, oddziałując tym samym w znacznym stopniu na zachowanie polskiej opozycji politycznej¹⁰.

9. Wystąpienie sekretarza KC PZPR Jana Głowczyka nt. „Rozpatrzenie problematyki przeciwdziałania aktualnej dywersji propagandowej i działalności penetracyjnej państw NATO”. Protokoły i materiały z posiedzeń KOK (2.I.-30.XII.1986 r.), MON, Sekretariat KOK/BBNpKP, Teczka nr 38/018/91.

10. Zdaniem szefa propagandy KC PZPR w literaturze antykomunistycznej wyspecjalizowały się: Instytut Literacki w Paryżu, Polonia

Główny, który w KC PZPR odpowiadał za propagandę, doskonale zdawał sobie sprawę, jak faktycznie Polska była widziana na Zachodzie i tę wizję przedłożył na forum Komitetu. W/g ekspertów z KC PZPR PRL była widziana jako państwo policyjno-represyjne, które systematycznie łamało wszystkie międzynarodowe zasady i traktaty w zakresie praw i swobód obywatelskich. Jako kraj wstrząsany konfliktami, w których społeczeństwo odrzucało politykę władzy oraz porządek ustrojowo-polityczny. Kraj chorej gospodarki, przed którą nie było żadnej szansy i która prowadziła do powszechnej pauperyzacji społeczeństwa. Państwo satelickie znajdujące się pod dyktandem ZSRR. Kraj, w którym dla wyobcowanej ze społeczeństwa i nie posiadającej żadnego programu władzy alternatywą był wpływowy kościół oraz wciąż żywotna i mająca poparcie społeczne „Solidarność”. Trudno jest powiedzieć na ile ta opinia trafiała do przekonania zebranych na forum KOK ówczesnych decydentów. Faktem jest, że nikt nie oponował z tego grona i nie podjął polemiki.

W KC PZPR również przychyłono się do opinii MSW – przedstawionych wcześniej przez Kiszczaka – że opozycja polityczna w tym okresie mało znaczyła. Przyjmowano, że TKK nie stanowiła w ówczesnych warunkach organu kierowniczego w stosunku do niższych szczebli organizacyjnych. Główny oceniał, że TKK spełniała rolę symboliczną i inspirowo-koordynacyjną (komunikaty, apele, oświadczenia). Natomiast główny ciężar działalności miał spoczywać na „Regionalnych Komisjach Wykonawczych” (Mazowsze, Gdańsk, Dolny Śląsk, Małopolska, Ziemia Łódzka).

Osobną pozycję wyznaczono osobie Lecha Wałęsy, który – zdaniem sekretarza KC PZPR – odgrywał rolę firmanta dla różnych deklaracji politycznych, potrzebnych w danym czasie

Book Fund w Londynie, Pomost, Tygodnik Paryski, Pogląd, Archipelag, Spotkania, Puls, Zeszyty Literackie, Kontakt. Za szczególnie krytyczne i niechętne Polsce uznał środki przekazu we Francji, Belgii, USA oraz w dużym stopniu w Anglii. Za w miarę obiektywne uznał środki przekazu z Finlandii i Grecji. Oskarżył główne światowe agencje informacyjne (Reuter, AP, UP, AFP, ADN i Kyoto), że jako źródło o Polsce wykorzystują przede wszystkim wiadomości pochodzące od polskiej opozycji oraz od ekstremalnego kleru. Tamże.

ośrodkom zachodnim dla realizacji zadań politycznych i propagandowych. W/g KC PZPR bierną „otoczkę podziemia” oceniano na ok. 150-200 tys. osób, które były podatne na hasła i w sprzyjającej sytuacji mogły udzielić wsparcia opozycji. Budżet TKK oceniano w tych kręgach (partyjnych) na ok. 400 mln zł rocznie w środkach uzyskanych ze sprzedaży nielegalnych druków, składek i darowizn i na ok. 12-13 mln dolarów w środkach finansowych. Wartość pomocy z Zachodu oceniano na 20 mln dolarów.

Według Głównicy, spośród 22 tysięcy księży katolickich, diecezjalnych i zakonnych, kilka procent zaliczano do nastawionych antysocjalistycznie. Większe skupiska tego typu oponentów odnotowywano w zakonach dominikanów, paulinów i jezuitów. Dostrzeżono też i taki fakt (w/g KC PZPR) – że kościół katolicki „począł obudowywać się świeckimi grupami walki ideologicznej, osłaniając ich działalność, kościół wchodził głębiej w problemy życia społecznego”. Ten stan rzeczy Głównicy określił „wyjściem z kruchty”. Generalnie uważano w gronie władz, że w kościele linii przyjętej przez Kardynała Glempa nie podporządkowali się m.in. biskupi: Tokarczuk, Musiel, Werno, Błaszczewicz, Przykucki.

Kontruderzenie ze strony władz (w/g wizji Głównicy) miał przeprowadzić Wydział Ideologiczny KC PZPR (koordynujący działalność międzywydziałowego zespołu KC), który miał m.in. prognozować przyszłość społeczno-polityczną w Polsce w przedziale czasowym 6-8 miesięcy. Do tego zadania powołano również – decyzją Sekretariatu KC PZPR w maju 1985 r. – Centrum Studiów Polityki i Propagandy (propozycje, doradztwo, analizy). I wspólnie wypracowywano model ofensywnych poczynań PZPR mających zdyskredytować opozycję i kościół w oczach społeczeństwa. Prace analityczne i naukowo-badawcze na potrzeby KC PZPR były również prowadzone pod tym kątem w Akademii Spraw Wewnętrznych, Głównym Zarządzie Politycznym WP, Akademii Nauk Społecznych KC i Wojskowej Akademii Politycznej. Do działalności tej był włączony również Zespół Planowania Polityczno-Obronno-Sekretariatu KOK, który wspierany danymi dostarczonymi z tzw. systemu regularnych danych do

walki z podziemiem (utworzony przez KC PZPR na przełomie lat 1981/1982 r.), wspierał z kolei stosownymi informacjami w tym zakresie podległe WKO, działających w terenie komisarzy-pełnomocników KOK, jak również kierownictwa zmilitaryzowanych zakładów gospodarki narodowej. Przedstawiciele tego Zespołu ponadto korzystali z regularnych informacji teleksowych przekazywanych z KC PZPR do poszczególnych KW PZPR oraz kluczowych zakładów pracy. Jednocześnie za pośrednictwem pełnomocników-komisarzy KOK gromadzono meldunki z poszczególnych resortów, branż, miast, gmin, okręgów wojskowych, a nawet dzielnic i zakładów pracy, które następnie w formie zbiorczych meldunków sprawozdawczych (początkowo nawet za okres jednej doby, później w cyklu tygodniowym i dwutygodniowym) przekazywano do Inspektoratu Obrony Terytorialnej Kraju, a stąd najczęściej do Dyżurnej Służby Operacyjnej (DYSOR) przy Urzędzie Rady Ministrów, jak również bezpośrednio do przewodniczącego KOK gen. Jaruzelskiego. Dzielono się tymi informacjami także z KC PZPR i GZP WP.

Z tego typu informacji (Kiszczaka, Głowczyka, poleceń Jaruzelskiego i głosów w dyskusji na forum KOK oraz w oparciu o w/w sprawozdania napływające do Komitetu) jasno wynika, że władza nie widziała na początku 1986 r. żadnej płaszczyzny współdziałania z podziemiem opozycyjnym i nie życzyła go sobie.

Tymczasem na kolejnym posiedzeniu KOK w dniu 13.XI.1986 r. doszło do rozpatrzenia efektów realizacji uchwały KOK z 18.I.1985 r. w sprawie realizacji harmonogramu przedsięwzięć związanych z doskonaleniem działalności w dziedzinie patriotyczno-obronnego wychowania społeczeństwa. Jak się okazało rezultaty tej działalności były nikłe. Uznano, że nadal obserwuje się recydywę (zapoczątkowaną w latach 1980/1981) w sposobie zachowań społecznych. Uznano, że na tym etapie działania opozycja szczególnie mocno eksploatuje kierunek wrogiej działalności bazując na „szerzeniu destrukcji w świadomości historycznej Polaków zwłaszcza w odniesieniu do stosunków polsko-radzieckich”. Jednocześnie przyznano, że w strukturach ZHP, ZSMP, ZMW,

ZSP kościół katolicki był uważany za dominujący autorytet moralny. Niepokój członków KOK budził też fakt coraz powszechniejszych w środowisku młodzieży haseł pacyfistycznych. W trakcie dyskusji padały różne propozycje przeciwstawienia się tej atmosferze, m.in. proponowano (Bogusław Kędzia, zastępca przewodniczącego Zespołu ds. Patriotyczno-Obronno-Wychowania Społeczeństwa) by wprowadzić 35 etatów zastępców kierowników studiów wojskowych ds. politycznych, a ponadto 245 etatów oficerskich dla wykładowców podstaw polityki obronnej PRL. Z kolei Leszek Adamów (dyrektor Departamentu Spraw Obronnych MKiSzt.) proponował kontynuowanie konkursów Chopina, Moniuszki, Kiepur i Wieniawskiego - dostrzegając w tym dużą dozę pierwiastków patriotycznych, jednocześnie postulując przeciwstawienie się organizacji koncertów rockowych (w języku angielskim) na rzecz propagowania rodzimej twórczości młodzieżowej i ludowej. Takimi to m.in. metodami i poprzez takie formy próbowano oddziaływać na morale młodzieży, by za wszelką cenę wyrwać ją spod wpływów opozycji i kościoła. Jednocześnie to wojsku przypisywano w tym względzie główną rolę do odegrania, co zresztą podkreślało wielu mówców zabierających głos w tej dyskusji.

Pod wpływem tych i innych głosów, sugestii i opinii, gen. Jaruzelski polecił (zarządzenie nr 3/86 przewodniczącego KOK z 26.XI.1986 r.) powołać „Zespół do Spraw Patriotyczno-Obronno-Wychowania Społeczeństwa ze Szczególnym Uwzględnieniem Młodzieży”, który miał m.in. zająć się inicjowaniem i inspirowaniem działalności w zakresie patriotyczno-obronnego wychowania społeczeństwa przez organy polityczne i administracji państwowej, jednostki gospodarki narodowej oraz instytucje masowego przekazu i propagandy. W powyższej sprawie Zespół miał przedstawić gen. Jaruzelskiemu do zatwierdzenia stosowny program działania na lata 1987-1990. Było to przedsięwzięcie, które (w zamiarze organizatorów) miało przeważać szalę przychylności społecznej na konto władzy. Wytworem tej działalności miał być młody człowiek, odpowiedzialny za losy socjalistycznego państwa, rzetelny w pracy, a przy tym internacjonalista. Dodatkowe

wytyczne gen. Baryły z 16.II.1987 r. określały jak ten cel osiągnąć¹¹.

Inwencję do powyższych przewartościowań czerpano m.in. z zaleceń przewodniczącego KOK gen. Jaruzelskiego, który klucz do sukcesu w tej materii widział tak: „Trzeba – stwierdzał na tymże posiedzeniu Komitetu – ukazywać antynarodową postawę przeciwnika politycznego. Należy – podkreślił – prowadzić ostrą i bezkompromisową walkę z jawną bzdurą i zakłamaniem prezentowanymi w prasie katolickiej. Trzeba przygotowywać, kształcić i doskonalić publicystów oraz naukowców, których należy włączyć do walki z obcymi nam poglądami. Szerzej do tej walki muszą być włączeni publicyści wojskowi”. Tym to sposobem gen. Jaruzelski pociągał za sobą coraz szersze kręgi wojskowe (w tym pełne struktury wojewódzkich komitetów obrony) i angażował je na rzecz walki bieżącej z podziemiem opozycyjnym i kościołem.

Jeszcze przez cały 1987 rok, pocieszano się w gronie członków KOK, że opozycja została zaskoczona reformami rządu Messnera. Ten optymizm brał się stąd, że Zachód wystawiał programowi reform niekiedy oceny wyższe, niż przyznawali je niektórzy ekonomiści z własnej bazy politycznej. Dlatego też ten stan rzeczy przyjęto określać mianem ofensywy PZPR w zakresie radykalnych zmian w gospodarce, demokracji życia i przebudowy Centrum. Nie podzielał tak do końca tej euforii I zastępca ministra spraw wewnętrznych gen. Zbigniew Pudysz, kiedy to na posiedzeniu KOK w dniu 14.XI.1987 r. zwrócił uwagę zebranim na nowe formy działalności opozycji. Jak wynikało z jego informacji, w Warszawie miała miejsce narada w dniu 7.XI.1987 r. w kościele przy ulicy Czarnieckiego, 45 czołowych działaczy opozycyjnych i towarzyszących im intelektualistów (jak określił) – byłego zaplecza „Solidarności”. Pudysz upatrywał w tym fakcie załążek swoistego „Parlamentu Polski Opozycyjnej”.

11. Przewodniczącym Zespołu został gen. broni Józef Baryła, zastępcami: Henryk Bednarski, Zbigniew Gertych, a poszczególnych członków miały wytypować i zgłosić: PZPR, ZSL, SD, wytypowane wydziały KC, organizacje młodzieżowe, a także wybrane resorty. Zarządzenie nr 3/86 przewodniczącego KOK z 26.XI.1986 r. MON, Sekretariat KOK/BBNpKP, Teczka nr 34/0010/91.

Jednocześnie wskazał na istniejącą tendencję do tworzenia nowych klubów, stowarzyszeń i frakcji. Jak dotychczas – oświadczył – złożono 22 wnioski o rejestrację. Według niego, nasilała się również inicjatywa tworzenia partii politycznych i powracał ciąg do odtworzenia struktur kierowniczych z lat 1980-1981. Utworzona Krajowa Komisja Wykonawcza – wg Pudysza – powstała z myślą o stworzeniu opozycyjnego centrum dowodzenia na wypadek sytuacji kryzysowej w kraju.

Według tej samej informacji, MSW odnotowało także nową taktykę działania „Solidarności”, wysuwającej na pierwszą linię starcia z siłami porządkowymi WiP, która to organizacja pod hasłami ekologicznymi i pacyfistycznymi zaczęła zdobywać nowe przyczółki w walce z władzami. W tym samym czasie – jak poinformował Pudysz – utworzono w MSW sztab (nie wyjawiając nic więcej), który miał zabezpieczać przebieg reform Messnera w skali całego kraju. Dodał też, że w dniach od 25.XI. do 2.XII.1987 r. przewidziano w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych wprowadzenie podwyższonej gotowości. Dokonano też uzgodnień z MON w zakresie ewentualnego wsparcia działań siłami i środkami wojska. Równocześnie, jak stwierdził, „przygotowujemy mocne uderzenie w nielegalne struktury”¹².

Taką postawę MSW gen. Jaruzelski poparł. Stąd polecił pozostałym członkom KOK skorzystać w bieżącej działalności

12. Według MSW w 11 województwach istniały już ponownie nielegalne struktury o pełnym profilu organizacyjnym, tj. od struktur zakładowych poprzez władze regionalne aż po reprezentację w KKW. W dalszych 20 województwach funkcjonowały nielegalne struktury bez regionalnego centrum. Oceniano, że funkcjonowały w skali kraju 284 nielegalne struktury. O najwyższym stopniu zagrożenia nielegalną działalnością uznano: Warszawę i Wrocław, a w dalszej kolejności: Gdańsk, Szczecin, Kraków. Przyjmowano, że w ośrodkach tych znajdowało się ok. 40% kadrowego potencjału podziemia, zaznaczając, że tylko 30% nielegalnych struktur prowadziło działalność czynną w sposób ciągły. Pozostałe miały działać na zasadzie aktywności lub wręcz pasywnie. Aktyw nielegalnych struktur – w/g danych na rok 1987 – w MSW oceniano na 1300 osób, przyjmując, że wzrosła liczba osób wspierających podziemie, którą szacowano na 16,5 tys. Protokół nr 02/87 z posiedzenia KOK z 14.XI.1987 r. MON, Sekretariat KOK/BBNpKP, Teczka nr 34/0010/91.

z informacji gen. Pudysza i przyjął przedłożone wnioski przez MSW do aprobowanej wiadomości. Używając terminologii wojskowej Jaruzelski nakazał skoncentrować uwagę KOK-u nad: zamiarem przeciwnika politycznego (ulubione określenie przewodniczącego Komitetu); określeniem jego zadania bliższego i dalszego; oceną jego realnych sił i możliwości. Przy zwalczaniu tego „przeciwnika politycznego” polecił uwzględnić „naszych sąsiadów”.

A jednocześnie polecił stosować całkiem odmienną taktykę wobec kościoła. Nakazał działać tak, by kościół był zainteresowany dobrymi stosunkami z władzą, by nie utożsamiał się z „przeciwnikiem politycznym” i dystansował się od niego. Stąd zaznaczył, że „temu celowi dobrze służą spotkania z hierarchią kościelną na szczeblu centralnym i wojewódzkim oraz osobiste z Kardynałem Glempem”. Ponadto nakazał przeciwdziałać i przeciwstawiać się ostro wszelkim próbom rejestracji różnych ugrupowań i zdecydowanie zwalczać przeciwników spod znaku „Wolność i Pokój” (WiP).

Rok 1988, zwłaszcza jego 2-ga połowa, przypominał pod względem społeczno-politycznym Polskę z sierpnia 1980 r. Wobec zdecydowanej ofensywy strajkowej „Solidarności” władze z dniem 20.VIII.1988 r. (posiedzenie KOK) poczęły czynić przygotowania do wprowadzenia w kraju tym razem stanu wyjątkowego. Od decyzji tej odstąpiły dopiero na początku listopada, kiedy coraz wyraźniej materializowała się idea „okrągłego stołu”, ale przynajmniej na forum KOK nadal debatowano nad sposobami unicestwienia opozycji. Na kilkanaście dni przed wyborami czerwcowymi 1989 r. gen. Jaruzelski na posiedzeniu Komitetu w dniu 21.V.1989 r. polecił zebrany ukazywać opozycję jako agendę Zachodu i to w takim kontekście by jasno z niego wynikało, że taki stan rzeczy godzi w polską rację stanu. Polecił równocześnie pozyskiwać ludzi kompetentnych z autorytetem społecznym, którzy by mogli zaświadczać o takich powiązaniach. Jednocześnie ponaglał, by przeciwdziałać wszelkimi możliwymi dostępnymi sposobami, bo – jak dodał – „czasu już niewiele”¹³.

13. Protokół nr 01/89 z posiedzenia KOK z 21.V.1989 r., MON, Sekretariat KOK/BBNpKP, Teczka nr 38/021/91.

Dyspozycje gen. Jaruzelskiego co do generalnej rozprawy z opozycją były prześlaknięte tym samym duchem walki i konfrontacji, co wcześniej w okresie lat 1980/1981. Dopiero wyniki wyborów czerwcowych i oszałamiające zwycięstwo opozycji pozwoliły najinteligentniejszemu w tym gronie, tj. gen. Jaruzelskiemu, szybko ustawić się na innej pozycji. Uczynił to sprawnie.

Reasumując, trzeba stwierdzić, że mało było aspektów tak cementujących byłych decydentów lat 80-tych, jak stosunek do opozycji i kościoła. To było najtrwalsze spoiwo. Mając to na względzie trzeba sobie uzmysłowić, że „okrągły stół” i wybory czerwcowe nie były wytworem dobrej woli władz, jak dzisiaj tego chcą byli decydenci lansując takie tezy w swych autobiografiach. Dokonał się po prostu pewien proces dziejowy, wbrew władzy, kiedy ona nie miała już siły, argumentów i poparcia społecznego, by liczyć na zwycięstwo i szczęśliwy finał w starciu z „Solidarnością”.

Lech KOWALSKI

OKRUCHY HISTORII

Karolina LANCKOROŃSKA

RADA REGENCYJNA

Wyszedł w Polskim Instytucie Historycznym w Rzymie nowy tom *Acta Nuntiaturae Polonae*, tom w kolejności druku dziewiąty, bardzo od poprzednich odmienny. Dokumenty tu opublikowane nie odnoszą się już do XVI ani do XVII w. Opisują sprawy, które się działy od 25 IV do 31 VII 1918, wypadki związane z przybyciem pierwszego akredytowanego w Warszawie po 123 latach wysłannika Watykanu. W 1795 r. bowiem ostatni nuncjusz przy Stanisławie Augustcie, abp Lorenzo Litta, wyjechał z Warszawy do Petersburga.

Monsignor Achilles Ratti, prefekt Biblioteki Watykańskiej, został mianowany wizytatorem apostolskim w Warszawie przy Radzie Regencyjnej 25 kwietnia 1918 r.

Ponieważ przypuszczam, że należę do ostatnich, którzy pamiętają te wypadki z własnej młodości, piszę dziś notatkę o wizycie tejże Rady Regencyjnej w Wiedniu u młodego cesarza i kończącej się Austrii. Dokładnej daty tej wizyty, niestety, nie pamiętam. Musiała się odbyć niedługo po powstaniu samej Rady, a więc po 17 września 1917. Austria i Niemcy, tzw. państwa centralne, stworzyły tę instytucję, która sta-

wała się dla nich coraz bardziej potrzebną. Siły ich słabły. Musiały bliżej związać z sobą Polaków i postawić Polskę między siebie i Rosję. Zamianowali trzech regentów: Aleksandra Kakowskiego, abpa warszawskiego, Józefa Ostrowskiego, niegdyś członka rosyjskiej Rady Państwa, i ks. Zdzisława Lubomirskiego (dalekiego mojego wuja).

Mój ojciec, oczywiście, oddał siebie oraz nasz neobarokowy pałac przy Jacquingasse do dyspozycji Regentów. Gdy ci panowie wyrazili życzenie spotkania przedstawicieli Polonii wiedeńskiej, zostały wysłane zaproszenia na przyjęcie w naszym domu. Otrzymał je m.in. Ignacy Daszyński. Podziękował bardzo grzecznym listem, ale odmówił przybycia bez podania powodu. Mój ojciec mi ten list pokazywał. Był pisany odręcznie, pięknym, mocnym pismem. Ojciec żałował: „Szkoda, że odmówił. Miałem nadzieję, że dla Rady Regencyjnej może przejdzie do porządku nad tym, co nas dzieli”.

Z tym jednym wyjątkiem przyszli wszyscy, około 20 osób. Po nich weszli Regenci. Obecni, m.in. i ja, zostali przedstawieni. Po tym oficjalnym wstępie odbyło się normalne przyjęcie z herbatą i ciastkami. Podawałam ciastka, przy czym wszyscy trzej Regenci bardzo uprzejmie rozmawiali z panną domu. Pierwszy nie wywarł na mnie większego wrażenia. Drugi wydawał się „niepokojąco” stary – miał wtedy 67 lat. Jedyne z nich pełne życia był Zdzisław Lubomirski, o którym wiedzieliśmy, że był zainteresowany problemami społecznymi i wielce zasłużonym prezydentem miasta Warszawy. Był to daleki mój krewny, którego osobiście nie znałam. Zadawał pytania, które wymagały obszernych odpowiedzi. Doskonale wyczułam, że tą drogą bada gatunek mojej polszczyzny. Było to może zrozumiałe: kształciłam się w Wiedniu, a moja matka była Niemką. Zdaje się, że egzamin zdałam. W latach późniejszych w Warszawie zawsze okazywał mi wiele zainteresowania. Rozmawiał też wtedy ze mną Jan Kucharzewski, historyk, prezes Rady Ministrów przy Radzie Regencyjnej.

Po chwili stanęłam sobie z boku i przypatrywałam się temu, co się u nas w domu tego dnia działo. Miałam 19 lat. W moim sercu nie było, jak dotąd, wiele miejsca wolnego dla Rady Regencyjnej. Legiony w tym sercu panowały bez

reszty, a tę Radę stworzyły państwa centralne, których serdecznie nie lubiłam.

A jednak, jednak... W miarę, jak ta sama w sobie mało ważna ceremonia postępowała, ogarniała mnie rosnąca emocja. Zdawałam sobie sprawę, że to, co się tu dzieje, jest bardzo jeszcze mglistym, słabym odbłaskiem czegoś wielkiego. Oto nasi zachodni sąsiedzi i zaborcy przyznali wobec reszty świata oficjalnie, że Polska *jest*, że tego Jej istnienia już negocjować się nie da, jak to czyniono od 102 lat, od Kongresu Wiedeńskiego. To nie były, jak dotąd, obietnice na kredyt, to było stwierdzenie faktu. Odczułam wtedy do głębi, że w owej chwili już – dniało.

Karolina LANCKOROŃSKA

Piotr DASZKIEWICZ

„PAMIĘTNIK FARMACEUTYCZNY”

Przed około dziesięciu laty, wkrótce po ukończeniu studiów odbywałem staż naukowy w Zakładzie Botaniki Farmaceutycznej Lubelskiej Akademii Medycznej. Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem egzemplarz *Pamiętnika Farmaceutycznego*. Pismo farmaceutyczne wydawane we Francji i w Algierii w języku polskim i przemykane do kraju wzbudziło moje zainteresowanie. W dodatku tytuł jak i informacja na wewnętrznej stronie obwoluty podkreślały związek z tradycją wileńskiego *Pamiętnika Farmaceutycznego*, najstarszego polskiego pisma naukowego w dziedzinie farmacji, zasłużonego także dla polskiego przyrodoznawstwa. To przecież na łamach założonego przez siebie pisma Jan Wolfgang publikował również botaniczne opisy Wielkiego Księstwa, a sam *Pamiętnik* odgrywał znaczną rolę w rozwoju wileńskiej szkoły przyrodoznawczej.

Po przyjeździe do Francji, przez kilka lat stale planowa-

łem przejrzenie nie znanych mi numerów *Pamiętnika* i nawiązanie kontaktu z jego redakcją i wydawcami. Dopiero jednak w ubiegłym roku znalazłem czas, aby w Bibliotece Wydziału Farmacji (jednej z trzech paryskich bibliotek obok Biblioteki Narodowej i Biblioteki Polskiej posiadającej komplet *Pamiętnika*) przeczytać wszystkie jego numery i napisać list z wieloma pytaniami do twórcy tego unikalnego czasopisma, pana profesora Władysława Stanilewicza. Wydawało mi się to tym niezbędniejsze, że dorobek naukowy polskiej emigracji jest znacznie słabiej zbadany niż jej osiągnięcia kulturalne. Dotyczy to zresztą zarówno wieku dziewiętnastego jak i najnowszej powojennej emigracji. Zresztą *Pamiętnika* nie znał praktycznie nikt z moich emigracyjnych znajomych.

Pamiętnik Farmaceutyczny ukazywał się nieregularnie przez szesnaście lat od 1973 roku do 1989 w zmieniającej się formie. Początkowo aby przyspieszyć obieg informacji naukowej, redakcja zdecydowała się na formę druku pojedynczych artykułów. Przyjęcie zasady wyłącznej odpowiedzialności autorów za nadsyłane teksty poprzez rezygnację z korekty i recenzji pozwoliło na publikację w zawrotnym jak na naukowe czasopismo tempie dwóch tygodni. Przyjmowano artykuły w języku polskim, francuskim i angielskim. Później, w 1986 roku, zdecydowano się na zmianę formy na wydania zeszytowe i tytułu na *Mémoires pharmaceutiques*. Publikowano zarówno autorów krajowych jak i zagranicznych. Rozsyłany nieodpłatnie *Pamiętnik* docierał nie tylko do najważniejszych bibliotek Zachodu (rozesłano go do blisko stu bibliotek m.in. Biblioteki Kongresu w Waszyngtonie, a publikowane w nim artykuły były omawiane w międzynarodowym abstrakcie), ale także, na czym szczególnie zależało profesorowi Stanilewiczowi, za żelazną kurtynę włącznie z Litwą, Ukrainą i Białorusią. Siedziba *Pamiętnika* mieściła się w podparyskim Châtenay-Malabry, następnie w Oranie i ostatecznie w Ancy-le-Franc w Burgundii. W sumie wydano trzydzieści numerów i kilka pozycji książkowych. Redakcja ogłaszała ponadto konkurs na najlepszą publikację.

Oprócz wielu prac „czysto technicznych” publikowano także artykuły z zakresu historii farmacji i medycyny. Z perspektywy czasu można zaryzykować twierdzenie, że właśnie publikacje z zakresu historii nauki stanowią najbardziej interesującą i zapewne najtrwalszą część dorobku *Pamiętnika Farmaceutycznego*. Wywodzący się ze starej litewskiej rodziny Władysław Stanilewicz, poprzez swoją tradycję rodzinną

jak i sympatie historyczne poczuwa się do tradycji Polski Jagiellońskiej. Dlatego też wiele wysiłku i czasu poświęcił na badanie historii aptek Pierwszej Rzeczypospolitej. Rezultatem jego poszukiwań było opublikowanie w *Pamiętniku* m.in.: „Aptekarzy Wielkiego Księstwa Litewskiego” (artykułu nie przyjętego do druku w *Farmacji Polskiej* w 1962 roku), „Aptekarzy Wołynia i Podola Litewskiego w siedemnastym i osiemnastym wieku”, „Rzutu oka na geografę historyczną aptek polskich w okresie przedrozbiorowym w wiekach od czternastego do osiemnastego”, pracy której oryginalność polega na zastosowaniu geografii i statystyki jako metody badawczej dla poznania historii farmacji. *Pamiętnik* zamieścił także cykl artykułów pióra pani Mirosławy Pabis-Braunstein o historii aptek krakowskich, o polskich godłach farmaceutycznych, o aptekarzach Jana Kazimierza, pierwszych aptekach w Krynicy i Muszynie, o wywodzącym się z Irlandii rodzie krynickich farmaceutów Nitribittów, a także o aptece w getcie krakowskim w okresie *holocaustu*.

Pani Zofia Lech opublikowała cykl artykułów o rodzinie Eichlerów. Karol, aptekarz międzyrzecki, dowodził ambulansem aptecznym w moskiewskiej kampanii Napoleona, w okresie Powstania Listopadowego organizował pomoc dla rannych żołnierzy i brał udział w zwalczaniu epidemii cholery. W uznaniu zasług dla rozwoju aptekarstwa i zwalczania cholery Karol Eichler został przez cara Mikołaja I nobilitowany do stanu szlacheckiego. Bogumił Eichler, geometra z wykształcenia, powstaniec styczniowy, był jednym z najwybitniejszych badaczy flory Podlasia. Edward, syn Karola był jego następcą w aptece międzyrzeckiej. Została ona rozbudowana stając się jedną z największych aptek na ziemiach polskich. Edward zaangażowany był w akcję pomocy unitom szczególnie zawiąźcie prześladowanym przez carską administrację. Wspierał ich nie tylko pieniędzmi i lekami, ale także udzielając schronienia poszukiwanym przez policję i kolportując wśród nich bibułę. Badania nad dziejami rodziny Eichlerów kończy wydana przez *Pamiętnik* broszura poświęcona zmarłemu w 1960 roku Witoldowi Eichlerowi. Lekarz i farmaceuta, a także działacz niepodległościowy w rezultacie mobilizacji znalazł się na Kaukazie gdzie współorganizował Koło Wojskowe Polaków, a następnie był delegatem w Komitecie Wykonawczym Polskich Organizacji w Tyflisie i współtwórcą Kaukaskiej Brygady Wojsk Polskich. Dzięki życzliwości władz tureckich zdołał w 1918 roku powrócić do Polski. Oprócz

praktyki lekarskiej prowadził działalność oświatową, spółdzielczą, dziennikarską. W czasie Drugiej Wojny Światowej najpierw był lekarzem ośrodka dla uchodźców w Rumunii, a następnie przebywał w Palestynie i w Rodezji. Witold Eichler był także jednym z najwybitniejszych polskich entomologów, poświęcono mu paręnaście gatunków, a jego prywatna kolekcja zapisana Instytutowi Zoologii PAN liczyła około dwustu pięćdziesięciu tysięcy okazów. Badania nad chrząszczami prowadził zresztą także w najtrudniejszych okresach życia m.in. na Kaukazie, w Turcji, w Rumunii i Palestynie. W 1947 roku powrócił do kraju. Interesująca praca Zofii Lech uzupełniona została krótką notatką Władysława Stanilewicza, który poznał Witolda Eichlera na początku lat pięćdziesiątych i przypomniał represje UB i nękanie poprzez wielogodzinne przesłuchania, jakże wyniszczające tego sędziwego już wówczas uczonego.

Pamiętnik Farmaceutyczny opublikował także kilka prac (włącznie z odrębną broszurą) autorstwa Zofii Lech poświęconych doktorowi Aleksandrowi Wasilewskiemu, działaczowi tajnej polskiej oświaty w Dyneburgu, zasłużonemu lekarzowi syberyjskiemu. Aleksander Wasilewski zakładał Stacje Pasteurowskie w Zabajkalskim Kraju, prowadził badania antropologiczne Buriatów, był lekarzem sanitarnym Piątej Syberyjskiej Dywizji Wojsk Polskich, lekarzem charbińskiego Czerwonego Krzyża. Szczególne zasługi położył w badaniu i zwalczaniu dżumy. Dzięki pracom i bezpośrednim obserwacjom Wasilewskiego udało się ustalić rolę populacji bobaków w przenoszeniu tej choroby i utrzymywaniu się jej ognisk w Azji Środkowej. Warto dodać, że do rezultatów tych doszedł Wasilewski nie tylko dzięki pracy eksperymentalnej, ale także dzięki badaniom historyczno-lingwistyczno-etnograficznym (stara buriacka legenda zwróciła jego uwagę na bobaki, a analiza niektórych nazw geograficznych pozwoliła na ustalenie historycznej trwałości ognisk dżumy). Na Dalekim Wschodzie zajmował się także produkcją i rozpowszechnianiem szczepionek m.in. cholery. Po powrocie do kraju do śmierci w 1924 roku Wasilewski kierował pracownią bakteriologiczną w Miejskim Instytucie Higienicznym w Warszawie, gdzie prowadził m.in. akcję badania i zwalczania zimnicy.

Pamiętnik wydał również odrębną broszurę tej samej autorki poświęconą rodzinie Łazowskich, zasłużonych aptekarzy lwowskich wywodzących się z rodziny liczącej w swoich szeregach jednego z przywódców rewolucyjnego tajnego

Dyrektoriatu z 1792 r., a także generała napoleońskiego.

Owoce wieloletniego pobytu profesora Władysława Stanilewicza w Algierii jest cykl artykułów poświęconych historii medycyny arabskiej: „Bibliografia historii medycyny algierskiej”, uwzględniająca szereg prac nigdy nie publikowanych, a nierzadko nawet nie wykorzystanych w badaniach historii nauki, „Wpływ farmakoempii (nauka o handlu lekarswami) arabskiej na popularyzację nowych lekarstw w Basenie Morza Śródziemnego w 11, 12 i 13 wieku”, „Lekarze zachodniej Algierii w okresie po Almohadzie”, „Lekarstwa pochodzenia mineralnego w średniowiecznej farmakopei arabskiej”.

Z prac historycznych, które ukazały się w *Pamiętniku*, należy wymienić także artykuły Władysława Jarogniewskiego o publikacjach Wolfganga w *Pamiętniku Farmaceutycznym* wileńskim oraz pracę przeglądową „Z dziejów ziołolecznictwa i zielarstwa polskiego”.

Wspomnienie poświęcone profesorowi Janowi Muszyńskiemu pióra Władysława Stanilewicza, założyciela, fundatora i redaktora *Pamiętnika Farmaceutycznego* zajmuje pozycję szczególną w historii periodyku. Zawiera ono bowiem wiele danych biograficznych autora jak i wiele informacji dotyczących genezy tego wyjątkowego czasopisma. Dodatkowe dane uzyskałem dzięki życzliwości pana Władysława Stanilewicza, który poświęcił mi kilka godzin w trakcie swojego pobytu w Paryżu.

Władysław Stanilewicz pochodzi z rodziny o kilkupokoleniowej tradycji farmaceutycznej. Ojciec pana Władysława był ponadto posiadaczem unikalnego, liczącego ponad sto tysięcy egzemplarzy zbioru ulotnych druków farmaceutycznych i kolekcji (bogactwem przewyższającej niektóre uniwersyteckie) surowców farmakognostycznych. Jak wielu polskich przyrodników został zamordowany w Katyniu. W okresie okupacji Władysław Stanilewicz kierował konspiracyjną wytwórnią granatów w Łodzi. Po wojnie nadal walczył w niepodległościowej partyzantce. Rozpoczął ponadto studia farmaceutyczne na Uniwersytecie Łódzkim. Duże wrażenie wywarły na nim wykłady profesora Muszyńskiego dotyczące historii wileńskiej farmacji i losów *Pamiętnika*. Już w latach studenckich rozpoczął wydawanie pisma, które kontynuowało tamtą tradycję. Traktował to jako zobowiązanie podjęte wobec Jana Muszyńskiego. Szybko jednak cenzura przekreśliła studencką inicjatywę. Studia przerwane zostały aresztowaniem

i siedmioletnim więzieniem, odbywanym w najcięższych zakładach karnych PRL-u, m.in. we Wronkach. Po wyjściu Władysław Stanilewicz dokończył przerwana farmację. Niemożliwość prowadzenia normalnego życia zmusiła go do opuszczenia Polski. Doktorat z toksykologii uzyskał Władysław Stanilewicz w Paryżu, wiele kolejnych lat spędził pracując w Oranie. Po długim okresie udało mu się szczęśliwie ściągnąć na Zachód rodzinę. W Algierii oddał się pasji poszukiwania poloników, odnalazł m.in. ostrogi i pomnik nagrobny Poniatowskiego, syna księcia Józefa. W rocznicę powstania wileńskiego *Pamiętnika* zorganizował w Paryżu sesję naukową, na którą zaprosił (i ze swoich własnych funduszy pokrył pobyt) historyków farmacji z krajów bałtyckich. Koniec komunizmu umożliwił profesorowi Władysławowi Stanilewiczowi podróżę do Polski, gdzie uczestniczy w pracach organizacji skupiających żołnierzy drugiej konspiracji. Zabiegał także o przeniesienie *Pamiętnika* do kraju, jego wydawanie za granicą straciło bowiem rację bytu. Niestety jak dotychczas starania te nie doczekały się w Polsce należytego zrozumienia. Pozostaje jednak jeszcze nadzieja, że *Pamiętnik* znajdzie instytucje zainteresowane kontynuowaniem dzieła profesora Władysława Stanilewicza.

Piotr DASZKIEWICZ

Piotr DASZKIEWICZ

MAISON VERREAUX

W trudnym dla polskiej nauki okresie dziewiętnastego wieku wielu przyrodników korzystało z życzliwości zachodnioeuropejskich instytucji badawczych. Współpraca z europejskimi kolekcjami, uczelniami i czasopismami naukowymi stanowiła przecież dla pozbawionego własnej państwowości kraju jedyną, obok prywatnego mecenatu, możliwość utrzymywania własnej myśli naukowej. Z żalem należy zauważyć,

że rola francuskich i angielskich, a także częściowo i niemieckich instytucji dziewiętnastego wieku w rozwoju polskiego przyrodoznawstwa nie została jak dotychczas należycie opracowana i doceniona. Dominacja najpierw kultury niemieckojęzycznej, a następnie anglosaskiej w środkowoeuropejskiej nauce jest zapewne dodatkową przyczyną szczególnego niedocenyenia znaczenia francuskiej kultury naturalistycznej dla polskiej nauki. Nierzadko nawet najbardziej zasłużone dla polskich badań naukowych instytucje odeszły w cień zapomnienia.

Maison Verreaux, najstarszy bo założony już w 1803 roku sklep artykułów związanych z historią naturalną odegrał szczególnie ważną rolę w rozwoju dziewiętnastowiecznej biologii. Był on największą tego typu instytucją na świecie, w okresie swojej świetności proponował swoim klientom trzy tysiące ssaków i około czterdziestu tysięcy ptaków, oraz trudną do oszacowania ogromną kolekcję jaj ptasich, muszli i owadów. Wydany w 1849 roku przez Edwarda Verreaux katalog ptaków liczył pięćdziesiąt stron, właściciel firmy zapewniał o możliwości sprowadzenia wszystkich znanych gatunków. Podkreślano, że dzięki licznym współpracownikom Maison Verreaux gwarantuje niższe niż konkurencja ceny. Główna siedziba firmy, dom na Placu Królewskim (obecnie Plac Wogezów numer dziewięć) był także miejscem spotkań przyrodników, eksploratorów i kolekcjonerów z całego świata. Mulsant, znany francuski entomolog i ornitolog, wspomina, iż niemożliwa była wizyta w domu Verreaux bez spotkania kogoś ze znanych podróżników Starego lub Nowego Świata. Kolejni właściciele, kilka generacji przyrodników z rodziny Verreaux, należeli do najwybitniejszych zoologów i podróżników dziewiętnastego wieku. Swoją przyrodniczą karierę rozpoczynali zazwyczaj bardzo wcześnie. Juliusz po raz pierwszy uczestniczył w ekspedycji naukowej w wieku niespełna dwunastu lat gdy u boku swojego wuja Pierre'a Delalanda dotarł do Przylądka Dobrej Nadziei, kolekcja zebrana w Południowej Afryce liczyła przeszło czternaście tysięcy egzemplarzy, wśród nich pierwszy kompletny szkielet hipopotama. Wyprawy rodziny Verreaux obejmowały wszystkie kontynenty i każdorazowo poruszały wyobraźnię szerokiej publiczności. Afrykańskie zbiory wystawione w salonach mecenasa badań przyrodniczych, barona Delesserta stanowiły przez kilka miesięcy jedną z głównych atrakcji Paryża. Maison Verreaux trwał przez cały dziewiętnasty wiek pomimo wielu

przeciwności, utraty zbiorów z Filipin i Azji Południowo-Wschodniej w wyniku zatonięcia okrętu *Lukullus*, oblężenia i pruskiej okupacji stolicy Francji, kiedy to Juliusz Verreaux wyjechał na kilka lat do Anglii, gdzie kontynuował swoje badania w *British Museum*. Firma przestała istnieć dopiero na przełomie wieków w wyniku znacznego zmniejszenia się zainteresowania kolekcjami przyrodniczymi na całym świecie i w rezultacie rozbudowy państwowych instytucji kolekcjonerskich. Moda i zawrotne nieraz ceny oferowane za okazy przyrodnicze, wiarygodność i uczciwość *Maison Verreaux*, liczni bogaci klienci wśród których niemałą rolę odgrywali zbieracze amerykańscy, zakupujący jak to wspomina Edward Verreaux wszystkie zwierzęta „od ryjówki do słonia”, zapewniały właścicielom znaczne zyski praktycznie w całym okresie istnienia tego osobliwego przedsiębiorstwa. Przyrodnicza pasja i kolekcjonerska żyłka dominowały jednak nad kupieckim zmysłem. Zrozumienie dla zbieraczy o ograniczonych możliwościach finansowych powodowało nierzadko, iż cenne okazy, uzyskiwane nakładem ogromnych środków, sprzedawano znacznie poniżej ich wartości rynkowej.

Związki *Maison Verreaux* z polskimi przyrodnikami były bardzo szerokie, cechowała je zyczliwość, serdeczność i zrozumienie dla trudnej sytuacji polskiej nauki. *Maison Verreaux* sprzedawał okazy fauny syberyjskiej nadsyłane przez zesłańców najczęściej za pośrednictwem Władysława Taczanowskiego, który przekazywał do Paryża wszystkie dublety nadsyłanych zwierząt (pierwsze egzemplarze zachowując dla warszawskiego gabinetu zoologicznego). Pieniądze zarobione w ten sposób były w długich okresach najważniejszym źródłem dochodów Benedykta Dybrowskiego i towarzyszy jego niedoli Parvexa i Godlewskiego. Zważywszy pełną poświęcenia pomoc, jaką Dybowski okazywał wszystkim potrzebującym, można zaryzykować twierdzenie, że honoraria wysyłane przez *Maison Verreaux* przyczyniły się do przetrwania najtrudniejszych momentów przez znaczną liczbę zesłańców z 1863 roku.

Sklep braci Verreaux był także dla Polaków przyrodników miejscem spotkań. Jakże charakterystyczne są słowa z listu Władysława Taczanowskiego do wybitnego polskiego entomologa Antoniego Wagi, iż nie zna on paryskiego adresu Karola Jurkiewicza, warszawskiego geologa i botanika, ale że z pewnością można go będzie odszukać za pośrednictwem pana Verreaux. Międzynarodowych kontaktów paryskiego

przedsiębiorcy-przyrodnika używano także aby uzyskać informacje o współpracownikach z odległych kontynentów. Zaniepokojony wielomiesięcznym brakiem wiadomości od Konstantego Jelskiego, eksplorującego Peru, Władysław Taczanowski zwracał się do Edwarda Verreaux z prośbą o interwencję. Wizyty w owym najważniejszym salonie przyrodniczym Paryża umożliwiały poznanie i współpracę z badaczami francuskimi, angielskimi, amerykańskimi. To właśnie w Maison Verreaux Konstanty Branicki poznał Armanda Davida, francuskiego misjonarza i przyrodnika znanego ze swoich podróży w Chinach. Davidowi zawdzięcza europejska nauka odkrycie kilkudziesięciu nowych gatunków, m.in. wielkiej pandy i jelenia Davida. Ten ostatni gatunek zawdzięcza zresztą swoje przetrwanie francuskiemu odkrywcy. Ostatnie, żyjące zresztą od wieków już tylko w niewoli, chińskie okazy jelenia Davida zostały wybite w Cesarskim Parku w czasie powstania Bokserów. Wszystkie żyjące dzisiaj okazy pochodzą od zwierząt przywiezionych do europejskich kolekcji zoologicznych. Armand David pozostawał w przyjaźni z braćmi Verreaux, Juliusz opisał przeszło trzydzieści nowych gatunków ptaków na podstawie zbiorów francuskiego misjonarza. David pomagał Branickiemu w organizacji wypraw, sam towarzyszył mu w czasie podróży do Egiptu i Palestyny. Edward Verreaux bezinteresownie pośredniczył w kontaktach m.in. pomiędzy warszawskim gabinetem zoologicznym a francuskimi kolekcjonerami, przekazywał np. prośby adresowane do entomologa Guerin z prośbą o przesłanie do Warszawy kolekcji jedwabników.

W sklepie braci Verreaux dokonywano także licznych zakupów, wymiany okazów i zlecano preparowanie okazów szczególnie cennych lub szczególnie trudnych, których przygotowanie przekraczało możliwości preparatorów krajowych. W korespondencji Władysława Taczanowskiego z Konstantym Branickim, Antonim Wagą i Benedyktem Dybowskim odnaleźć można wiele informacji na ten temat. Zakupów dokonywano dzięki hojności obywatelskiej, oprócz wielokrotnych datków Branickich wspomnieć należy hrabiego Leona Łubieńskiego, który oprócz osobistych dotacji organizował zbiórkę funduszy. Zakupy te bywały niemałe, w jednym tylko liście Taczanowski donosił o dwóch tysiącach rubli przeznaczonych na zakup skór ssaków. W zakładzie Verreaux przygotowano na dzień otwarcia dla publiczności warszawskich zbiorów m.in. lwa. Konstanty Branicki rozważał nawet za-

kupienie dla warszawskich zbiorów kolekcji kolibrów, jednej z najbogatszych na świecie, będących chlubą Juliusza Verreaux specjalizującego się w tej grupie ptaków. Nie wiadomo czy zniechęciła go wysoka cena, rady Taczanowskiego czy też właściciel był zbyt do niej przywiązany. Wraz z okazami zakupowanymi lub wymienianymi z Maison Verreaux docierała do Warszawy także prasa i książki naukowe.

Maison Verreaux był także ważnym ośrodkiem kształcenia dla polskich przyrodników. Tutaj właśnie zdobywał swoje preparatorskie kwalifikacje Władysław Taczanowski wysłany przez Okręg Naukowy Warszawski. W Maison Verreaux polscy przyrodnicy przygotowywali się do zamorskich wypraw. Niektórzy znajdowali tam schronienie i pracę w najtrudniejszych okresach emigracyjnego życia. W sklepie rodziny Verreaux pracował m.in. Alfons Parvex, gdy dzięki interwencji szwajcarskiego rządu zwolniony został z zesłania. Objęty zakazem powrotu do Cesarstwa Rosyjskiego, po kilkuletnim pobycie w Genewie przyjechał do Paryża, gdzie po wielomiesięcznym okresie skrajnej biedy znalazł zatrudnienie w Maison Verreaux. Dzięki kontaktom właścicieli mógł uczestniczyć w wyprawach do Brazylii i Kanady. Opracowany przez niego *Indicateur des genres et synonymes des oiseaux-mouches* powstał dzięki umiejętnościom zdobytym w Maison Verreaux. W paryskim zakładzie oznaczano także gatunki ptaków odkrywane przez polskich przyrodników. Oznaczenie tych gatunków było niemożliwe bez specjalistycznej biblioteki, której zesłańcy przyrodnicy byli oczywiście pozbawieni. Józef Wałęcki, członek Towarzystwa Demokratycznego Polskiego w Paryżu i Stowarzyszenia Ludu Polskiego został w 1852 roku wydany Rosjanom przez władze pruskie. Po dwuletnim więzieniu w Cytadeli zesłano go na piętnaście lat ciężkich robót na Syberię, gdzie w nie wyjaśnionych okolicznościach został zamordowany. W trakcie pobytu na Syberii badał faunę. Na podstawie przesłanego przez niego okazu Juliusz Verreaux opisał nowy gatunek kuropatwy *Perdix barbata*. Niektóre ze swoich odkryć dedykował francuski zoolog swoim polskim przyjaciołom, jak środkowoazjatyckiego ptaka *Micropalma taczanowskii*. Należy podkreślić uczciwość domu Verreaux, zawsze zaznaczano pochodzenie opisywanego okazu wymieniając nazwisko nadawcy. Polscy przyrodnicy doceniali życzliwość i znaczenie Maison Verreaux, stąd niepokój o zdrowie Edwarda Verreaux w ich listach, jak i troska o los sklepu w okresie wojny francusko-pruskiej.

Maison Verreaux i jego twórcy, rodzina francuskich przyrodników, z pewnością zasługują na wdzięczną pamięć polskiej nauki. Miejmy nadzieję, że w przyszłości zostanie podjęte opracowanie historii tej instytucji i jej kontaktów z polską nauką.

Piotr DASZKIEWICZ

Władysław KIJUĆ

ARMIA KRAJOWA NA LITWIE I BIAŁORUSI

Ostry do niedawna spór o Armię Krajową na Litwie i Białorusi ulega na szczęście wyciszeniu i traci na owej ostrości. Jednakże sprawy przytłumione i niedopowiedziane do końca dają często o sobie znać w najmniej sprzyjających okolicznościach.

Warto zatem, przede wszystkim w czasopismach historycznych, wyjaśnić obustronnie podłoże owych kontrowersji wokół Armii Krajowej na Litwie i Białorusi.

W opinii polskiej Armia Krajowa, pomimo jej błędów, była pełną poświęcenia organizacją wojskową walczącą z okupantem. Toteż sygnały docierające do nas z Litwy i Białorusi posądzające Armię Krajową o działalność przestępczą lub wręcz bandycką wywołały odruchy co najmniej zniecierpliwienia. Niewątpliwie w owym zróżnicowanym pod względem narodowym i religijnym terenie Armia Krajowa działała w odmiennych uwarunkowaniach i była uwikłana w często trudne sprawy. Jej prawdziwa i wyczerpująca historia chyba nigdy nie będzie napisana.

Przełom lat 1941/42 zapoczątkowuje jej rozwój do imponujących rozmiarów. Obejmuje tereny z ludnością optującą za polskością, a więc Wilno i rejon, powiaty grodzieński, lidzki, oszmiański i może stołpecki.

Według wstępnych koncepcji miała być przed końcem wojny okrzepłą militarnie organizacją, która tak jak w roku 1918 miała wpłynąć na losy kraju. Ale historia nigdy się nie powtarza. Początkowo ze względu na brak broni był to mały sabotaż na kolei, dezorganizacja pracy urzędów okupacyjnych i ich zaopatrzenia w żywność (mleczarnie, magazyny, składy). W tym czasie formowały się też sowieckie oddziały partyzanckie ze zbiegłych jeńców, później spadochroniarzy i przeważnie ludności miejscowej. Ich bazą była głównie prawosławna ludność białoruska. Początkowo niektóre luźne, pozabawione dyscypliny grupy mniej zajmowały się walką z okupantem, a bardziej kontynuacją „walki klasowej” z takim skutkiem, że w polskich osiedlach powstawały organizacje samoobrony przed penetracją partyzantów sowieckich. Niekiedy dochodziło do starć.

Na ogół początkowo dominowało współistnienie, często współpraca między partyzantką polską i sowiecką, nawet na terenach „Podlasiaka” tj. B. Piaseckiego. Obowiązywała jeszcze idea wspólnego antyfaszystowskiego frontu grup o różnych orientacjach.

Dramatyczne zmiany nastąpiły w roku 1943, po Katyniu i zerwaniu stosunków z rządem londyńskim. Ukazała się mała znana dyrektywa sowieckich władz Białorusi dotycząca stosunku do polskich oddziałów zbrojnych. Oddziały te nazwano „białopolskimi bandami na terytorium ZSSR”. Miały być one rozbrojone, oficerowie rozstrzelani a szeregowcy wtłoczeni do partyzantki sowieckiej. Pierwsze ruszyły do antyakowskiej akcji oddziały sowieckie w Puszczy Nalibockiej, później oddziały gen. Markowa zaatakowały zgrupowanie „Łupaszki”. Oddziały akowskie stawiały zrozumiwały opór. Rozpoczęły się starcia, w których ucierpiały obie strony, a przede wszystkim ludność cywilna polska i białoruska, ta zwłaszcza w dolinie Niemna, na południe od Lidy. Większość oddziałów wykazała jednak zdroworozsądkową powściągliwość.

Wiadomość o starciach akowsko-sowieckich dotarła do wywiadu niemieckiego, który ofertami dostarczenia broni starał się skłonić poszczególnych dowódców do zaniechania walki z Niemcami. W owym 1943 roku następuje zwrot w polityce okupanta niemieckiego pod wpływem prawdopodobnie

kół wojskowych, które uważały, że zwycięstwo na wschodzie jest już niemożliwe bez przychylnego stanowiska ludności miejscowej. Ukazuje się dekret (*Erlass*) Hitlera rozwiązujący kołchozy. Tworzą załączki państwowości białoruskiej, przy czym sprytna propaganda niemiecka utrzymuje, że niepodległość Białorusi jest tylko możliwa u boku Niemiec, gdyż zarówno Moskwa jak i Warszawa są zdecydowanymi wrogami białoruskiej niepodległości. Rozbudowuje się białoruską policję, do której często wstępują byli pracownicy NKWD i organizuje się załączki armii (1944 r.). Policja białoruska używana jest zgodnie z koncepcją niemiecką do służby wartowniczej w więzieniach i gettach, a przede wszystkim bierze udział w ekspedycjach karnych przeciwko partyzantom sowieckim, a głównie polskim, których zgodnie z niemieckim sformułowaniem nazywa się też bandytami, tylko że bez przymiotnika „białopolscy”. Owi partyzanci sowieccy jak i policjanci białoruscy byli przeważnie Białorusinami, których bieg wydarzeń rzucił do starć z polskimi partyzantami akowskimi. Starcia te mogły pozostawić głębokie urazy antyakowskie żywe do dziś. Trzeba wspomnieć o pewnej grupie policjantów, w której często służyli Polacy. Otóż po wkroczeniu Niemców tworzone policję porządkową, do której podziemie polskie, a często samorzutnie miejscowa ludność, kierowało „swoich” ludzi aby mieć wgląd w plany nowego okupanta i jakoś się przeciwstawiać.

Część z nich strzegła magazynów z porzuconą bronią sowiecką, która dzięki nim w znakomitej większości dostała się w ręce AK. Po pewnym czasie charakter służby policji stał się zupełnie już jasny. Porzucali więc szeregi policji i wraz z bronią niemiecką zasilali szeregi partyzantów akowskich. Niestety ci ludzie z całą surowością byli ścigani przez rządy PRL jako prawie zbrodniarze faszystowscy, bez względu na okoliczności ich służby.

Aby zrozumieć sytuację na Litwie trzeba cofnąć się do dnia 22 czerwca 1941 r., w którym to dniu na niebie Litwy i Zach. Białorusi ukazały się samoloty z czarnymi krzyżami. Były one znienawidzone w całej Europie, a tu dla wielu były zwiastunami nadziei, gdyż uderzały też w skupiska wagonów przygotowanych do deportacji ludzi na Syberię. Zgodnie z

prawdą historyczną trzeba powiedzieć, że wojska hitlerowskie na tych obszarach były przyjmowane życzliwie. Prawdziwe oblicze hitleryzmu było jeszcze tym ludziom nie znane. Może owa życzliwość jak i wielkie znaczenie Litwy jako węzła komunikacyjnego w operacjach pod Moskwą i Leningradem spowodowały, że Niemcy poszli na znaczne ustępstwa. Na Litwie można było mieć radia, istniały szkoły i częściowo Uniwersytet w Wilnie, administracja terenowa, a nade wszystko sterowana dyskretnie przez Niemców policja i służba bezpieczeństwa. Tworzono załóżek armii, chyba do walki z AK. Niektórzy ówczesni działacze litewscy i dziś także niektórzy historycy uważają, że była to próba jakiejś kontynuacji państwowości litewskiej, próba przetrwania przez mały naród burzy dziejowej. Istniejąca w Wilnie i Wileńszczyźnie Armia Krajowa, którą Litwini uważali za kontynuację „okupacji” polskiej z lat 1920/39, stała zgodnie z instrukcjami Londynu na gruncie nienaruszalności granic Polski z 1939, a zatem polskości Wilna i okręgu, a litewską administrację i policję uznawała za kolaborantów niemieckich. Tak diametralnie różne stanowiska musiały doprowadzić do konfliktu. Nasiliły się represje w mieście zwłaszcza przeciwko inteligencji, co było zgodne z ogólnymi planami niemieckimi.

Według ówczesnych opinii znaczny w tym był udział policji litewskiej znającej teren. Trwały starcia w terenie między akowskimi partyzantami a Niemcami i litewską policją, które dla dwóch wsi polskiej i litewskiej miały tragiczny wymiar i nasiliły obopólną wrogość. Wojna partyzancka jest wielkim obciążeniem dla ludności wiejskiej, która musi te oddziały wyżywić, zakwaterować a często znosić represje. To też można zrozumieć, że obraz obcej Litwinom Armii Krajowej, zwłaszcza na wsiach litewskich, nie jest tak pozytywny, podobnie jak oczach polskiej ludności obraz Litwinów biorących udział w ekspedycjach karnych pacyfikujących wsie polskie czy biorących udział w egzekucji w Ponarach, gdzie zginęli liczni mieszkańcy Wilna, w tym i konspiratorzy z AK.

Wielki jest udział wojenny Armii Krajowej w ostatniej fazie wojny na Wschodzie. Niszczyła niemieckie punkty oporu w terenie, atakowała regularne siły niemieckie cofające się ze wschodu w stronę Wilna. W operacji „Ostra Brama”

związała walką garnizon niemiecki Wilna, co umożliwiło łatwe podejście pod miasto głównym siłom sowieckim i ostateczne zdobycie miasta przygotowywanego do długotrwałej obrony.

Los tych oddziałów AK jest ogólnie znany, zostały rozbrojone i zesłane do obozów internowania.

Niektóre oddziały akowskie wydostały się ze strefy zagrożenia sowieckiego. I tak oddział z Puszczy Nalibockiej dotarł aż do Puszczy Kampinoskiej. Został on jednak wadliwie użyty do walk na Żoliborzu zamiast do działań partyzanckich i poniósł wielkie straty.

Na teren nowej Polski przedostała się też brygada wileńska „Łupaszkii”, która stała się postrachem władzy ludowej w północnej Polsce. Powszechna mobilizacja mężczyzn od 18-50 lat, mająca charakter łapanek, wtoczyła do Armii Berlinga wielu członków wileńskiej i nowogródzkiej AK. Według autora 40-50% stanu 4 pułku zapasowego w Białymstoku to członkowie AK lub osoby współpracujące. Nieraz po kilkutygodniowych przeszkoleniach rzucono ich do walki na Wale Pomorskim lub do forsowania Nysy, gdzie wykrwawiali się w starciu z doświadczonymi w polu dywizjami niemieckimi. Osaczone na Białorusi i Litwie resztki AK stawiały może jeszcze przez dwa lata desperacki opór pod dowództwem często samowolnych komendantów, co nie sprzyjało dyscyplinie. Na resztki AK i współpracującą z AK ludność cywilną spadły teraz niebywałe represje sowieckie. Dziś po 50 latach istnieje wciąż problem przyznania nielicznym członkom AK pozostającym na Litwie i Białorusi uprawnień kombatanckich takich, jakie uzyskali na Białorusi polscy żołnierze Września i Armii Berlinga. Niewątpliwie są to żołnierze koalicji antyhitlerowskiej, większość z nich może się poszczycić aktywną walką z hitlerowskim okupantem, niektórzy ze stalinowskim terrorem, który dosięgnął zarówno ludność polską jak i białoruską i litewską.

Tych ludzi, przeważnie szeregowych, nie można obciążać dziś niejasnymi zaszłościąmi, gdyż nie oni decydowali o biegu wydarzeń. Prosty żołnierz w czasie wojny jest tylko pionkiem w wielkiej maszynie wojennej działającej na rozkaz.

Niesłuszne jest pozbawianie ich uprawnień kombatanck-

kich i ewentualnie związanych z nimi materialnych świadczeń, które może mógłby zrealizować nasz Urząd ds. Kombatanów jako żołnierzom Wojska Polskiego. Ku pochwalę władz litewskich trzeba zaznaczyć, że zgodziły się już one na rejestrację organizacji byłych członków AK.

Władysław KIJUĆ

GENERAŁ SIKORSKI OD KULIS

Londyn, 11 stycznia 1995 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

W papierach mego ojca znalazłem kopię listu płk. Franciszka Arciszewskiego*, Szefa Misji Wojskowej w Brazylii, z 7 sierpnia 1943 r., do Naczelnego Wodza gen. Kazimierza Sosnkowskiego. Pierwsza część listu stanowiąca swojego rodzaju meldunek, naświetla mało znane kulisy stosunków między otoczeniem Prez. Raczkiewicza i gen. Sikorskim w początkowych miesiącach ostatniej wojny, a także problemy napotykanne przez płk. Arciszewskiego w organizowaniu werbunku do Armii Polskiej w Kanadzie.

Załączam kopię całego listu sądząc, że w opinii Pana Redaktora jego pierwsza część może się nadawać do umieszczenia w dziale „Okruchy historii” *Zeszytów Historycznych*.

Łączę wyrazy szacunku,

Krzysztof MÜNNICH

* Płk Arciszewski, mianowany generałem w 1964 r., zmarł w Londynie w 1969 r.

Rio de Janeiro 7 sierpnia 1943
Pisane własnoręcznie

Wielmożny Panie Generale!

Ośmielony depeszą Pana Generała z dnia 3 sierpnia pozwalam sobie pisać o sprawach, które normalnie nie powinny być złożone na papier. – Prosiłem Pana Generała o zezwolenie na przyjazd do Londynu, aby przedstawić osobiście rzeczy, dotąd Jemu nie znane. – Podróż lotnicza z Rio d.J. do Londynu jest niewątpliwie b. kosztowna, lecz, przyznam się szczerze na samym początku listu, miałem cichą nadzieję, że odbędę tę podróż tylko w jednym kierunku a z powrotem pójdzie już tylko telegram.

Od kiedy wyjechałem z Londynu, a jest to już przeszło 3 lata, miałem wielokrotnie gotowe, już napisane listy do Pana Generała, których ostatecznie nie wrzuciłem do skrzynki pocztowej. – W przeddzień wyjazdu Pani Generałowej z Kanady do Anglii mówiłem Jej o tym i prosiłem o wytłumaczenie mnie oraz podanie powodów takiego mojego postępowania. – Po prostu bałem się polskiej cenzury, bo wiedziałem z ust najbardziej autorytatywnych, że niektóre listy moje pisane do Pana Prezydenta RP były otwierane, czytane i referowane.

Więc dziś muszę opisać sprawę moją od samego początku.

Kiedy 30 września 1939 przyjechałem z Bukaresztu do Paryża i zameldowałem się u p. gen. Sikorskiego, formowały się właśnie nowe władze państwowe. – Gen. Sikorski i prof. Stroński wymogli wówczas na Prezydencie Raczkiewiczzu zrzeczenie się prerogatyw Prezydenta. – W dzień po zaprzysiężeniu Prezydenta zostałem wezwany do p. gen. Sikorskiego, który mi oświadczył, że pomimo zrzeczenia się P. Prezydenta Swych prerogatyw nie ma do Niego zaufania i przydziela mnie do osoby P. Prez. w charakterze „łącznika” między Nim a Premierem, z tym, że mam codziennie co najmniej raz meldować p. Premierowi co się u P. Prezydenta dzieje, jakie jest nastawienie duchowe Jego do osoby Premiera i nowego rządu, kto i jak długo z Nim konferuje itp.

Pomimo tak przełomowych czasów jakieśmy wówczas przeżywali i pomimo mej długoletniej przyjaźni z śp. Generałem, odmówiłem z miejsca objęcia tej funkcji. – Jak można było zgadzać się na objęcie przez kogoś najwyższego w Państwie urzędu, a równocześnie nie wierzyć mu i od samego początku obstawiać go wywiadowcami. – Przypomniała mi się żywo sprawa inwigilacji osoby Marsz. Piłsudskiego z roku 1925, kiedy to min. spr. wojsk. był tenże gen. Sikorski. – Zresztą byłem zawsze oficerem liniowym i tęskniłem do służby liniowej. Wówczas otrzymałem formalny rozkaz natychmiastowego objęcia wyznaczonej mi funkcji, bo „nie mam nikogo innego do kogo mogę mieć zaufanie, prócz Pana”. Podkreślam słowo zaufanie. – Przyjąłem rozkaz z prośbą o wyznaczenie maksymalnego terminu 2 miesięcy, po którym będę zwolniony z tej funkcji. – Na tym stanęło. – Następnego dnia przedstawił gen. Sikorski osobiście mnie Panu Prezydentowi słowami: „Oddaję Panu Prez. mojego przyjaciela do którego mam pełne zaufanie i proszę obdarzyć go Swoim”.

W ten sposób objąłem funkcję, dla której znaleziono później tytuł Szefa Gab. Wojsk. Prezyd. RP. – Musiałem codziennie rano meldować się u Pana Premiera z raportem. – W czwarty dzień zameldowałem swą prośbę o zwolnienie mnie z wyznaczonego stanowiska. Wówczas zostałem przez Generała po raz pierwszy zwymyślany.

Pełniąc nadal mą smutną funkcję przy Panu Prezyd. Raczkiewiczu, poznałem jednak wkrótce całą Jego szlachetną duszę prawdziwego Wielkiego Gentlemana, który dotrzymuje pełnej lojalności wobec Premiera. Zwłaszcza w czasie choroby Prezydenta, we wrześniu 1939 i toczącej się w tym czasie sprawy mianowania gen. Sikorskiego Naczelnym Wodzem, widziałem wyraźnie jak Prezydent Raczkiewicz, mimo przedstawianych mu już wówczas zastrzeżeń co do łączenia funkcji Premiera i Nacz. Wodza w jednej osobie, stał bez wahań po stronie gen. Sikorskiego.

Gdy potem, pewnego dnia, przyniosłem osobiście generałowi Sikorskiemu dekret Prezydenta R.P. mianujący Go Wodzem Naczelnym, uściskał mnie i ucałował. – Przy okazji mówiliśmy dłużej o osobie Pana Prezydenta. – Przedstawiłem śp. Generałowi, że zdaniem moim wszelkie Jego obawy są

niesłuszne i prosiłem o bardziej szczerzy stosunek Generała do Prezydenta. – Jakiś czas codzienne rozmowy tych dwóch mężów były rzeczywiście serdeczne. – Na nieszczęście nadeszło właśnie przeniesienie siedziby Prezydenta R.P. do Angers, a Sztab N.W. i rząd postanowiły pozostać jeszcze w Paryżu. – W konsekwencji spowodowało to o wiele rzadsze wizyty Premiera u Prezydenta, a moje raporty u Premiera ustały zupełnie. – Moja powtórna prośba o odwołanie z wyznaczonego mi stanowiska nie została przyjęta.

Rozdział władz państwowych między Paryż i Angers, trwający szereg miesięcy, przy równoczesnym żywym zainteresowaniu się życiem wzajemnym, stwarzał tysiące najrozmaitszych plotek, które w konsekwencji podrywały wzajemne zaufanie. – Stosunki między Wodzem Nacz. a Prezydentem R.P. stawały się stopniowo coraz bardziej „protokolarne” i, pomimo starań ze strony Prezydenta, oziębiały się.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu usłyszałem nawet kilkakrotnie wyrazy niezadowolenia Nacz. Wodza w stosunku do mojej osoby, wyrażane słowami: „no cóż tam robi Pański Prezydent?”, przy czym słowo pański otrzymywało zawsze akcent dobitny. – Nie mając nigdy najmniejszego złego słowa o P. Prezydencie Raczkiewiczzu do powiedzenia, odpowiadałem zawsze dodatnio, – co się Premierowi nie podobało!

Wkrótce dowiedziałem się od kolegów, że w Paryżu krążą wieści, że ja „zdradziłem osobę gen. Sikorskiego i przeszedłem na stronę Prezydenta”. – Wiem nawet kto zmarłemu Generałowi w ten sposób sprawę przedstawiał. Złożenie nazwisk na papierze wydaje mi się jednak zbyt ciche.

Pojechałem natychmiast specjalnie do Paryża i prosiłem po raz trzeci o zwolnienie. – Wówczas to uzyskałem zgodę na przyszły mój wyjazd do Ameryki.

Stosunek Nacz. Wodza do mnie pogarszał się jednak nadal. Ostatecznie doczekałem się tego, że nominacja moja na generała, podpisana na wiosnę 1940 przez Nacz. Wodza, została w 4 dni po podpisaniu i już po złożeniu mi życzeń przez Prezydenta R.P., przez tegoż Nacz. Wodza cofnięta. – W zamian otrzymałem list Nacz. Wodza przyrzekający mi tę nominację po moim wyjeździe do Ameryki. – Przyrzeczenie to, jak wiadomo, nie zostało dotrzymane.

Dnia 4 czerwca 1940 otrzymałem pisemny rozkaz zwalnający mnie ze stanowiska Szefa Gab. Wojsk. Prez. R.P. i rozkaz wyjazdu do Ameryki z dość szerokimi kompetencjami.

Z powodu załamania się Francji nie zdołałem już wyjechać bezpośrednio. – Z Francji wywakuowałem do Londynu, gdzie uzyskałem statek do Kanady na dzień 3 lipca.

Gdy tegoż dnia 3 lipca rano odmeldowałem się osobiście u Nacz. W. powiedziałem dosłownie co następuje: „Wydaje mi się Panie Generale, iż Pan Generał nie obdarza mnie ostatnio takim zaufaniem jakim cieszyłem się przez kilkanaście lat ostatnich. Jadąc dziś na drugą półkulę globu ziemskiego, gdzie będę musiał robić wiele rzeczy bez możliwości pytania każdorazowo o zgodę Nacz. Dow., proszę Pana Generała tylko o jedno, o odnowienie Jego osobistego zaufania w stosunku do mnie, o danie wiary meldunkom moim, wiary w celowość moich propozycji i wniosków, wiary w moją najlepszą wolę, – inaczej bowiem misja moja będzie niewykonalną”.

Gen. Sikorski powstał, podał mi rękę i rzekł „ma Pan moje zaufanie, niech Pan jedzie”.

W tym stanie rzeczy wyjechałem z Anglii i przybyłem 13 lipca do Kanady.

Już w trzy tygodnie po mnie przybył do Kanady p. min. Alfred Falter, który w pierwszej ze mną rozmowie powtórzył mi swoje pożegnanie z Premierem, – które było mniej więcej tej treści, że praca którą Premier mnie powierzył nie jest pilną i że w ogóle wkrótce przyjedzie do Kanady w moje miejsce ktoś inny!

A ponieważ min. Falter powtórzył te słowa także p. Żółtowskiemu, p. Podoskiemu a może także i innym osobom, więc stanowisko moje zostało z miejsca poderwane i tempo pracy nie tylko zwolnione, ale prawie wstrzymane.

W dodatku, pomimo moich wielokrotnych listów i depesz, nie nadesłano mi z Londynu pieniędzy, potrzebnych do rozpoczęcia akcji na większą skalę, a przede wszystkim do wynajęcia pomieszczenia na obóz. Przez 5 miesięcy nie miałem nawet pokrycia na najpilniejsze wydatki biurowe, tak że każdy z tych miesięcy kończyłem niedoborem kilkuset dola-

rów, wykładanych na razie z mojej kieszeni.

Nie dając mi zaś pieniędzy na pomieszczenie żołnierzy, wyżywienie, żołąd, wydatki propagandowe, uniemożliwiono mi faktycznie jakąkolwiek pracę, gdyż nawet agitacji prasowej nie można było robić nie wiedząc gdzie będzie obóz, jaki będzie żołąd itp.

Dopiero w marcu 1941 r. otrzymałem pierwszy większy kredyt – 15.000 dolarów, z poleceniem wydzierżawienia obiektów pod obozy i równoczesną wiadomością że wkrótce przyjedzie W.N. osobiście do Kanady i St. Zj. aby sprawę rekrutacyjną ruszyć z martwego punktu.

Gdy w kwietniu 1941 Wódz Nacz. przybył okrętem do Halifax i zameldowałem się u niego, – prawie że się ze mną nie przywitał, a w parę minut później, rzucił już w moją stronę jakąś złośliwą uwagę o londyńskich intrygach i o „moim” Prezydencie.

W parę tygodni później, – gdyż śp. Generał wyjechał do St. Zj., a ja pozostałem w Kanadzie, – zostałem wezwany do Toronto.

Tam, w pokoju hotelowym, miałem z Premierem Polski i Wodzem Nacz. rozmowę, której wolałbym nigdy nie spisywać.

W dniu przybycia Jego, przed 14 dniami, do Halifax ukazała się bowiem w nowojorskim „Nowym Świecie” notatka o tym, że Generał nie jest już premierem i że przybył do St. Zj. w charakterze prywatnym. – Natychmiast rozesłano depesze, polecające poszukiwanie źródła tej fałszywej wiadomości. – W kilka dni później sam odszyfrowałem depeszę gen. Klimeckiego z Londynu, w której Szef Sztabu meldował, że na terenie Londynu sprawdzono z całą pewnością, że „żadna z Agencji Telegraficznych w Londynie nie wysyłała tej wiadomości, że zatem musiała być sfabrykowana przez ludzi złej woli w Ameryce”.

W parę dni po wspomnianej notatce ukazał się w tymże „Nowym Świecie” dłuższy b. pochlebny artykuł o mojej osobie i mej działalności, pióra p. Waldo, który kiedyś pisał pochlebny artykuł o b. min. Becku.

Fakt, że to samo pismo, które krytykowało Premiera, umieściło artykuł pochwalny o mnie, był bardzo niemiłe

przez Premiera zauważony i wystarczył też, aby, w umyśle nie wiem czym, powstała myśl, że to ja byłem autorem tej pierwszej notatki że śp. Generał już nie jest premierem!! – a Generał, który znał mnie 20 lat, uwierzył w tę wersję, podaną mu przez ludzi, których widział po raz pierwszy w życiu, a którzy chcieli Mu się podchlebić! – To był powód wezwania mnie do Toronto, bez uprzedzenia mnie jednak o treści mającej się odbyć rozmowy.

Zaskoczenie moje, gdy Generał z miejsca obrzucił mnie stekiem najstraszniejszych obelg, aż do zarzutu współpracowania z 5-tą kolumną, było tak wielkie, że – mając na względzie że mówię z Nacz. Wodzem – nie znalazłem żadnego innego słowa prócz „daję słowo honoru że to jest nieprawda i proszę mnie zdegradować gdy dochodzenia stwierdzą, że to ja dałem ten artykuł do „Nowego Świata”.

A jednak gen. Sikorski nie dał mi wiary. – Pomimo chwilowego uspokojenia, gdy po kilku godzinach siedzieliśmy w sali restauracyjnej, powrócił w obecności 8 innych osób znów do tego samego oskarżenia, rzucał we mnie, w bardzo podniesionym tonie, zarzuty przeciwko Panu Prezydentowi, panu Generałowi Sosnkowskiemu, p. min. Zaleskiemu, zarzucił mi prowadzenie korespondencji z Prez. Raczkiewiczem itp. – po czym zażądał ode mnie natychmiastowego wyciągnięcia konsekwencji z tej rozmowy, czyli podania się do dymisji. – Błady, odpowiedziałem wobec tychże świadków, w tonie tak spokojnym, że aż prawie szeptem, że nie mam sobie nic do zarzucenia, wobec czego żadnych wniosków nie wyciągnę.

To była ostatnia moja rozmowa ze śp. Premierem i Nacz. Wodzem. – Wkrótce, jeszcze za czasu pobytu Generała w N. Yorku, zostało stwierdzone, że notatka w „Nowym Świecie”, która była powodem burzy, ukazała się na podstawie depechy Agencji ONA z Londynu, a że meldunek Szefa Sztabu był nieścisły. – Mnie jednak satysfakcji nie dano. – Przeciwnie, otrzymałem wkrótce rozkaz odwołujący mnie ze stanowiska Szefa Misji Wojsk. w Kanadzie i stawiający mnie w stan dyspozycji, bez przydziału, z obowiązkiem pozostania w Kanadzie.

Tak czekałem 6 miesięcy! nikomu! w czasie wojny! nie-

potrzebny! – po czym otrzymałem rozkaz wyjazdu na drugi koniec świata, byle jak najdalej od Londynu, – aż do Rio de Janeiro, na stanowisko, bez którego obchodzono się dotąd zupełnie. – Starano się mnie, jako niewygodnego „wykończyć”. – W Londynie rozpoczęto nawet jakieś śledztwo sądowe przeciwko mnie. Szef II Oddziału zna tę sprawę i zreferuje ją Panu Generałowi.

To co tu opisałem jest może 10-tą częścią tego co można by jeszcze powiedzieć. – W różnych rozmowach ze Zmarłym „przyjacielem”, jak się śp. Generał jeszcze przed rokiem wyrażał, spotkało mnie tyle upokorzenia jak nigdy w moim życiu z niczyjej strony.

Ostatecznie On sam, oddalając mnie „w odstawkę”, przekreślił owoce 13-letniej mojej pracy przedwojennej, kiedy to wielokrotnie z Jego namowy, narażając się na b. wiele przykrości, występowałem jawnie, głośno i otwarcie z trybuny parlamentarnej wskazując na braki naszego uzbrojenia, a równocześnie pracując z własnej inicjatywy w wielu organizacjach społecznych nad podnoszeniem wiary w obronę Państwa i gruntowaniem miłości do wojska pomimo udziału oficerów w więzieniu brzeskim, udziału w sprawie prof. Cywińskiego w Wilnie itp.

Za to wszystko należała mi się chociażby ze strony gen. Sikorskiego skromna satysfakcja.

To wszystko zostało przekreślone ponieważ „Pan przeszedł na stronę Prezydenta, przeciwko mnie”.

To wszystko, i może jeszcze więcej, chciałem zameldować Panu Generałowi ustnie, – a osobiście też sprostować krążące zapewne po Londynie w różnych urzędach inne wersje o tym dlaczego zostałem przez b. Nacz. Wodza usunięty w tak daleki i głęboki cień. Bo jestem pewien tego, że nie mogąc podać tych powodów prawdziwych i wstydząc się ich, wynaleziono inne o mojej nieudolności fachowej, a może nawet mnie hańbiące.

Pamiętam kilka rozmów z Panem, Panie Generale, jeszcze w Angers, kiedy Pan Generał wyrażał zdziwienie z powodu stosunku Nacz. Wodza do mojej osoby. Powodów tych wówczas nie mogłem podać nawet Panu Generałowi, bo źródło leżało w bardzo intymnych rozmowach moich ze śp.

Zmarłym. – Dziś piszę o nich z przymusu, bo los złośliwy oddalił mnie tak daleko od Londynu, że nawet teraz jeszcze mam trudności w wyjaśnieniu mojej sprawy.

Po tym raporcie moim nie proszę Pana Generała o nic jak tylko o odwołanie mnie z miejsca, do którego zostałem zesłany za karę. – Za to, że przydzielony do osoby Prezydenta Polskiej Rzpl. aby meldować wszystko co koło Niego jest złe, meldowałem tylko dobrze – i za to że w imię dobra Służby Państwowej, a także zgodnie z prawdą, starałem się przekonać mojego Mocodawcę że jest w błędzie nie dowierając Prezydentowi, a On wolał słuchać innych doradców.

Pobyt mój w Brazylii przypomina mi ciągle straszną z Nim ostatnią rozmowę. – Tak marzę o tym kiedyż to nadejdzie w Polsce kres bezustannych wzajemnych oskarżeń osobistych. Walk, spowodowanych głównie zemstą, bardzo często słuszną, za faktycznie doznane krzywdy od tych którzy poprzednio byli u władzy. – A każda taka zemsta powoduje nowe zadrażnienia, nowe rany nie gojące, nowy rewanz, gdy tylko władza się zmieni i tak *crescendo* coraz ostrzej. – To straszna tragedia Polaków. Tak bardzo boję się tego pierwszego okresu powojennego w Polsce, gdy zaczną się znów wzajemne obrachunki bez formalnych sądów. – Znów obrzucania się błotem zamiast zrozumienia, że wszyscy jesteśmy niedoskonalimi i winniśmy podać sobie dłoń bratnią. – Boję się ponownego dzielenia ludzi na tych co służyli Polsce w I Brygadzie i tych z II Brygady, – na tych, którzy brali udział w wypadkach majowych po tej lub tamtej stronie, – tych co należeli do Sanacji lub byli w opozycji, – tych, co przejechali przez Zaleszczyki i tych którzy zostali w Kraju, – tych co wyjechali z Francji 18 czerwca 1940 i tych co wyjechali dopiero 20 czerwca, – tych co byli w czasie wojny w Szkocji i tych co byli w Rosji, – tych co w Anglii siedzieli w obozach bez przydziałów i tych co byli u władzy itd., itd. – Mówiłem Panu Generałowi o tych moich myślach jeszcze w czasie ostatniego śniadania w przeddzień mojego wyjazdu z Anglii do Kanady. [...]

Proszę mi wybaczyć, Panie Generale, że pisałem tylko o sprawach osobistych. O sprawach służbowych pisuję raporty

i uważałbym poruszanie ich w osobistym liście do Pana Generała za nielojalność wobec moich przełożonych pośrednich.

Pozwalam sobie załączyć wyrazy najgłębszego szacunku dla osoby Pana Generała oraz ukłony dla Pani Generałowej ode mnie i od mojej żony.

F. ARCISZEWSKI, płk

KOMUNIKAT KOMISJI FUNDACJI STYPENDIALNEJ IM. STANISŁAWA LAMA

Informujemy, że termin nadsyłania podań o stypendia na 1995 r. upływa z dniem 15 grudnia 1995 r.

Przypominamy, że zgodnie z założeniami Fundacji, o stypendia ubiegać się mogą osoby specjalizujące się w historii literatury polskiej i w krytyce literackiej. Chodzi o kandydatów, którym dla kontynuowania pracy niezbędny jest krótki pobyt w Paryżu i korzystanie z tutejszych bibliotek i archiwów, a zwłaszcza ze zbiorów Biblioteki Polskiej w Paryżu.

O stypendia im. Stanisława Lama nie mogą ubiegać się mieszkańcy Paryża i regionu paryskiego.

Do umotywowanego podania należy dołączyć życiorys, wykaz publikacji lub opinie osób kompetentnych.

Fundacja nie pokrywa kosztów podróży oraz nie zapewnia mieszkania w Paryżu. Stypendyści muszą również załatwić ubezpieczenie na wypadek choroby, przed przyjazdem do Francji.

Stypendium wynosi około 5 tysięcy franków francuskich.

Podania prosimy przysyłać na adres:

Fundacja im. Stanisława Lama
Soci t  Historique et Litt raire Polonaise
6, quai d'Orl ans
75004 PARIS

CI, CO ODESZLI

Ryszard LÖW

PAWEŁ GLIKSON

Spróbuję przywołać postać Pawła Gliksona. Był człowiekiem pod wieloma względami niecodziennym. Uosabiał już typ intelektualisty, który przez całe świadome życie pasował się z narzuconą koniecznością dokonywania wyboru. Działo się to na tym przecięciu polsko-żydowsko-izraelskim, na którym zatrzymało się tak wielu jego współczesnych, by w poczuciu bezradności od nowa podejmować próbę samookreślenia – narodowego, kulturowego, ideowego. Jego 'biografia, podobnie jak prace, dla unaocznienia problemu jest niemal wzorcowa, więc z pewnością nie od rzeczy będzie jej zrekonstruowanie.

Pochodził z warszawskiej rodziny zamożnych finansistów. Przybyła z Krakowa matka w chwili ślubu nie zmieniła nazwiska, była bowiem kuzynką męża i powinowatą Jakuba Apolinarego Gliksona, aktora i pod koniec ubiegłego wieku dyrektora teatrów krakowskich. Kulturalnie zasymilowani, wsiąkli w Polskę i jej charakterystyczne normy cywilizacyjne, narodowo pozostawali jednak Gliksonowie w żydowskim szeregu. Więcej nawet, jako że wierzyli w odradzającą się siłę syjonizmu i moc odnawianego języka hebrajskiego. W rodzinnym domu Pawła abonowano *Wiadomości Literackie* i mecenaso-

wano wydawnictwom książek hebrajskich. Jego samego posłano do gimnazjum hebrajskiego „Chinuch”, gdzie w lecie 1939 uzyskał maturę.

Przygotowywano się do emigracji z Polski, a wybuch wojny szczęśliwym i zupełnie wyjątkowym trafem zamiarów tych nie pokrzyżował. Wojnę poznali w Warszawie, przeżyli oblężenie i zniszczenie stolicy, a potem wkroczenie Niemców; pod okupacją przeżyli pół roku. Dzięki od dawna posiadanym właściwie owizowanym paszportom i bardzo okazałym środkom pieniężnym rodzina Gliksonów znalazła się w grupie Żydów, która mogła opuścić Warszawę i udać się do państw nie będących w stanie wojny z Trzecią Rzeszą; oni wybrali Palestynę. Podróż, z narzuconymi przestojami w Wiedniu i Trieście, trwała cztery miesiące, w sierpniu 1940 przybyli do Tel-Awihu. Dokonane dawniej lokaty majątkowe zapowiadały tryb życia mniej więcej normalny i ustabilizowany. Co dla dziewiętnastoletniego Pawła oznaczać winno było podjęcie studiów uniwersyteckich w Jerozolimie. Był do nich jak najlepiej przygotowany: władał przecież paroma językami – łącznie z hebrajskim i angielskim – miał dość wyraźnie skryształizowane zainteresowania naukami społecznymi i nieprzeciętną erudycję literacką. To stąd właśnie, z Tel-Awihu wysłał on do paryskich *Wiadomości Polskich* artykuł-list pt. „Decyzja Boya”, ciągle odtąd przywoływany jako źródło informacji o postanowieniu pisarza pozostania w okupowanej Polsce.

Paweł osobiście podjął decyzję najmniej przez otoczenie spodziewaną, wręcz zaskakującą: zaciągnął się do wojska. Do wojska polskiego. Reprezentował typ człowieka psychicznie zupełnie nie przystawalnego do munduru i narzuconej wraz z nim dyscypliny. Zamknięty w sobie, małomówny, nietowarzyski, skazywał się na trudy, do których nie był przygotowany. Nigdy do końca nie potrafił w sposób koherentny wytłumaczyć sprawy. Nieprzeparta woła walki z Niemcami – z faszyzmem – oraz zupełnie jednoznaczny zamiar powrotu do Polski po zakończonej wojnie (jednak i pomimo wychowania syjonistycznego!) – pojawiały się niezmiennie jako argumenty, które rozstrzygnęły.

Wstąpił zatem do formującej się w Palestynie Brygady Strzelców Karpackich gen. Stanisława Kopańskiego. Przeszedł z nią wędrowno-szkoleniowy szlak bliskowschodni, skończył podchorążówkę, po czym skierowano go do bardziej właściwych dla niego zajęć: został sztabowym tłumaczem. A potem

wraz z całym Korpusem znalazł się we Włoszech i pod Monte Cassino. Tę kampanię opłacił ciężką raną, w wyniku której już zawsze i bardzo widocznie utykał. Dopiero teraz, w ramach układów demobilizacyjnych, rozpoczął naukę uniwersytecką w Rzymie, następnie w Bolonii, w końcu w Londynie, gdzie osiadł na długie lata; dyplom otrzymał w London School of Economics.

Nie wiodło mu się, miał się rozmaitych zajęć i prac, nie wyłączając fizycznych, co przy jego kalectwie nie było łatwe. Nie zwracał się jednak o pomoc do rodziców, którzy spodziewali się jego powrotu do Tel-Awiwu, do domu. Powrotu do Polski, podobnie jak osiedlenia się w Izraelu wtedy jeszcze nie brał pod uwagę. Był polskim Żydem przynależnym do Polski, jakiej już nie było, albowiem nie było w niej tych Żydów, do solidarności z którymi się poczuwał. Polska personifikowana kręgami politycznej emigracji w Londynie, jej instytucjami, klubami, związkami, w których bywał, o które się ocierał – była mu obca. Przebywał wśród kolegów i przyjaciół z wojska – Polaków, polskich Żydów – takich jak on byłych kombatanatów rozpoczynających nowe życie. Był jednak odmienny. Zainteresowania intelektualne, lektury, projekty naukowe i wyraźny brak zdecydowania życiowego czyniły zeń kogoś – jakby z zewnątrz.

Po pewnym czasie wszystko się odmieniło. Uzyskał stanowisko, do sprawowania którego był predysponowany. Został sekretarzem wydziału Kulturalnego Światowego Kongresu Żydowskiego, co wiązało się z okazjami do nawiązywania ciekawych kontaktów osobistych, podróży, projektowania i realizowania różnorodnych zamysłów kulturalno-naukowych. Do jego obowiązków należało także redagowanie niektórych publikacji Kongresu, a wśród nich i periodyku *Jewish Cultural News*.

Znalazł się w orbicie ludzi o bliskiej mu mentalności i pokrewnych zainteresowaniach. Zbliżył się do swojego bezpośredniego zwierzchnika, pochodzącego z Rosji dra Arona Steinberga, autora głośnych rozpraw o Dostojewskim i przekładu na język niemiecki olbrzymiego dzieła Szymona Dubnowa o historii Żydów. Zaprzyjaźnił z od dawna zamieszkałym w Londynie polskim dziennikarzem i publicystą Florianem Sokołowem, synem pisarza i przywódcy syjonistycznego Nachuma. To z namowy Floriana z pewnością, przyjaciela Antoniego Słonimskiego, Glikson przetłumaczył na angielski fragment „Wspomnień warszawskich” poety. Po latach zaś, już w

Izraelu, to także Glikson zadbał o przekład i hebrajskie wydanie napisanej przez Floriana biografii ojca. I to on także po śmierci przyjaciela w roku 1967 zredagował wybór z jego przez parę dziesięcioleci prowadzonego dziennika oraz tom publicystyki polityczno-literackiej – do dzisiaj czekające na wydawcę.

Zaczął odwiedzać Tel-Awiw, przyjeżdżał do rodziców, potem na ich pogrzeby, potem już tylko do sióstr. Za każdym pobytem nawiązywał nowe kontakty i znajomości. Przekonywał się – nie bez pewnego zaskoczenia – że właśnie tutaj istnieje środowisko ludzi o postawie i zainteresowaniach bardzo mu bliskich: Izraelczyków wywodzących się z Polski, z polską kulturą związanych aktywnie, gromadzących biblioteki prywatne, wydających gazety polskojęzyczne, piszących książki o sprawach polsko-żydowskich, pielęgnujących pamięć o zamordowanym narodzie polskich Żydów. „W emigracyjnym grajdołku rozbicie, rozprężenie i bałagan – pisał do telawiwskiego bibliofila Mojżesza Morgensterna jesienią 1957. – Co lepsze ciągnie do Polski, chociaż i tam, jak słyszę sytuacja kulturalno-ideowa pogorszyła się znacznie”. Kilka miesięcy później, w marcu 1958, do tegoż adresata: „Mam nadzieję, że praca moja w Londynie dobiega końca i że już niedługo będę mógł powrócić do Izraela. Chciałbym naprawdę, aby stało się to najprędzej. Mam już dość tej kretyńskiej wędrówki po świecie”.

Decyzja ostatecznego opuszczenia Londynu i osiedlenia się na stałe w Izraelu przeciągała się z wielu powodów do roku 1963. Wtedy osiadł w Jerozolimie, gdzie założył własny dom, ożenił się z koleżanką z londyńskich biur Kongresu i rozpoczął pracę naukowo-organizacyjną jako sekretarz jednego z instytutów badawczych w Uniwersytecie Hebrajskim.

Dorobek piśmienniczy, edytorski i translatorski Gliksona w owym czasie był już zauważalny. Był on jednak – i takim zresztą pozostał – bardzo rozproszony, w jakiejś mierze także zakulisowy lub wręcz anonimowy. Wynikało to z natury pisarstwa, jakie uprawiał: redagowanie wydawnictw, zestawianie kronik i bibliografii specjalistycznych, tłumaczenia, recenzje naukowe oraz niewiele artykułów i szkiców.

Pisał bowiem z trudem, w pracę wkładał niestłuchanie dużo rzetelności, zachowywał niezmiennie postawę dyskretną i powściągliwą. Znajdował prawdziwą przyjemność w odkrywaniu tematów, zbieraniu materiałów do prac, które nigdy nie miały powstać. Taki był los – przykład to jeden z wielu

możliwych – rozprawki, zamyślanej i obmyślanej, o historyku Szymonie Askenazym, bardzo mu intelektualnie i ideowo (Żyd-Polak) bliskim, do napisania której przymierzał się przez lata. Zainteresowania własne Gliksona kierowały go w stronę historii i socjologii Polski i polskich Żydów, plany badawczo-wydawnicze instytutu, któremu sekretarzował w Jerozolimie – ku wąskiemu polu demografii. Wypowiadał się autorsko w obrębie tych właśnie zagadnień.

Publikował w elitarnych i elitarnie prestiżowych czasopismach naukowych, takich jak londyński *Jewish Journal of Sociology*, *Sowiet Jewish Affairs* czy jerozolimskich *Studies in Contemporary Jewry*, *Studies* (lub: *Papers*) *in Jewish Demography* i hebrajski *Revaon le-kalkala*, i in. Świadomie przejął w nich na siebie rolę rzecznika „polskości”. Albowiem drukował bądź recenzje z książek historycznych w całości lub częściowo poświęconych dziejom Żydów polskich (np. prac Michała Borwicza, Artura Eisenbacha czy Normana Daviesa), bądź przekłady rozpraw uczonych polskich z tego zakresu (np. Adama Vetulaniego czy Szyji Bronszejna). Napisał portret naukowy znanego żydowskiego socjologa-demografa Jakuba Leszczyńskiego. Chciał być użytecznym, pisał wtedy tylko, gdy nikt go w tej czynności nie mógł wyręczyć. Stąd zamieszczane w *Jerusalem Post* artykuły, np. recenzja angielskiego przekładu nowel Tadeusza Borowskiego czy omówienie dzienników osobistych pochodzących z getta warszawskiego – Emanuela Ringelbluma, Abrahama Lewina i Adama Czerniakowa. Również w publikacjach i bibliografiach socjologiczno-demograficznych polskie i polsko-żydowskie powiązania ich autora pozostawiały liczne i liczące się znaki.

Po polsku pisywał sporadycznie w pismach emigracyjnych – londyńskich *Kontynentach* i *Wiadomościach*. To o *Wiadomościach* właśnie napisał niegdyś w prywatnym liście: „...nie bardzo odpowiada mi ich arystokratyczno-szlachecko-wspominkowy ton w narodowo-katolickim sosie. Znając redaktorów i wydawców wygląda to dość pociesznie”. Tutaj ukazał się znany w swoim czasie artykuł Mendla Mana o „Zagładzie literatury żydowskiej w Sowietach”, przełożony przez Gliksona z języka żydowskiego. W *Kontynentach* natomiast znalazł się jeden z najciekawszych polskich tekstów Gliksona – „Jako trawa dni jego”. Wstrząsająca historia Polaka, który przez długie lata daremnie ubiega się o oczyszczający wyrok żydowskiego sądu za wyimaginowane przez siebie uczestnictwo

w okupacyjnym prześladowaniu Żydów. Jest to opowieść autentyczna, „z kluczem”, którego autor nigdy jednak nie dostarczył.

Sprawność bibliograficzna osiągnięta w sprawach demograficznych skłoniła Gliksona do zredagowania bibliografii, której brak odczuwano dotkliwie. Podjął poszukiwania biblioteczne, których rezultatem okazała się bibliografia żydowskiej prasy publikowanej w języku polskim – od warszawskiego *Dostrzegacza Nadwiślańskiego* z roku 1823 po współczesne mu telawiwskie *Nowiny-Kurier*. Doprowadził rzecz do stanu, w którym poszła do druku, by niebawem, w sierpniu 1983 (i ponownie w 1987) ukazać się w postaci książki, której – on już nie ujrzał. Atak serca pokonał go 5 stycznia 1983 w kilka chwil. Miał 62 lata.

Bibliografię polskojęzycznych periodyków żydowskich wydał Instytut Badania Historii i Kultury Żydów Polskich w Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Instytut ten otrzymał w darze od wdowy historyczną i historycznoliteracką część biblioteki prywatnej Gliksona, w sumie parę tysięcy tomów w kilku językach na tematy polskie i polsko-żydowskie. Zaś w cztery lata później, w roku 1987, ten sam Instytut opublikował zbiorową księgę rozpraw naukowych *Studies on Polish Jewry. Paul Glikson Memorial Volume* – napisanych przez izraelskich historyków, historyków literatury, etnografów, socjologów i demografów. Złożono hołd pamięci Pawła Gliksona, uczonego polskiego Żyda, pracami z tych dziedzin, których poznawanie było treścią i pasją jego życia.

Ryszard LÖW

RECENZJE

Tadeusz WYRWA

POLSKIE RADIO W POWSTAŃCZEJ WARSZAWIE

Nagromadzone od wielu lat emocje akowskiego pokolenia znalazły swoje ujście w uroczystościach, hucznie obchodzonej 50-tej rocznicy „Burzy” i Powstania Warszawskiego. Dla akowców, coraz mniej już licznych, uroczystości te były spóźnionym zadośćuczynieniem za to, co przeżyli podczas wojny i co ich spotkało po jej zakończeniu. Jeśli natomiast chodzi o organy rządzące, na różnych ich szczeblach, to obchody tej rocznicy, dające upust gloryfikacji czynu zbrojnego i bohaterstwa, służyły przede wszystkim do odwrócenia uwagi od ponurej rzeczywistości. Czym bardziej bowiem ta rzeczywistość oderwana jest od codziennych potrzeb ludzi, tym większe wzięcie mają tzw. „tematy zastępcze”, programowane przez miarodajne czynniki. Najlepiej chwytają tematy rocznicowe, z orkiestrą, wieńcami i patriotyczno-łzawymi przemówieniami.

Jak zwykle w podobnych wypadkach emocje szybko mijają, ale na szczęście nie do nich tylko ograniczył się końcowy rezultat rocznicowych obchodów. Mam na myśli publi-

kacje, które ukazały się i te które się jeszcze ukazały w wyniku sesji naukowych, jakie z okazji 50-lecia powstańczych walk zostały w ub. r. zorganizowane i zebrany z nich materiał oddany do druku. Jedną z najwartościowszych dotychczas – a chyba w ogóle najwartościowszą publikacją rocznicową – jest książka Macieja Józefa Kwiatkowskiego poświęcona Polskiemu Radiu w powstańczej Warszawie¹.

W oparciu o teksty audycji, opracowania członków zespołu radiowego w bezpośrednim okresie po Powstaniu, apeli i sprawozdań, oraz dokumentacji niemieckiej Autor dokonał dzieła, które stanowi niezastąpione źródło do poznania całości kształtu zagadnień tego wszystkiego, co doznawała Warszawa w ciągu tych dwu miesięcy zbrojnej walki. Uczestnik Powstania (ppor. „Kopański” z batalionu „Golski”), a po wojnie profesor wykładający historię radia i telewizji na Uniwersytecie Śląskim, Kwiatkowski jest autorem dawniej wydanych trzech z tej dziedziny tomów². Niestety nie doczekał się zakończenia publikacji ostatniego z tej serii tomu, gdyż zmarł w styczniu 1994 r. w trakcie jego edytorskich prac.

Na wstępie trzeba zaznaczyć, że w powstańczej Warszawie, oprócz zespołu Polskiego Radia działał drugi zespół, radiostacji „Błyskawica” i oba ze sobą rywalizowały przeważnie w nie najlepszy sposób. Zespół Polskiego Radia, pod kierownictwem Edmunda Rudnickiego („Konopka”), wywodził się z przedwojennej ekipy. Jego filarami byli: Maria Ponikowska, Zenon Skierski, Edmund Osmańczyk („Jan Gor”) i Joanna Gorczycka. We wrześniu 1939 roku, gdy dyrekcja Polskiego Radia wyjechała z Warszawy, Rudnicki przejął kierownictwo i „stał się Starzyńskim Polskiego Radia”³. Później, od początku okupacji, przygotowywał z konspiracyjnym zespołem – uważającym się za jedyne spadkobiercę Polskiego Radia – wznowienie działalności

1. Maciej Józef Kwiatkowski, „Tu mówi powstańcza Warszawa...”. Dni Powstania w audycjach Polskiego Radia i dokumentach niemieckich. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1994, str. 737.

2. Chodzi o trzy następujące tomy: „Tu Polskie Radio Warszawa...” w 1980 r., „Wrzesień 1939 w Warszawskiej Rozgłośni Polskiego Radia” w 1984 r., „Polskie Radio w konspiracji 1939-1944” w 1989 r.

3. Stanisław Zadrożny, „Tu – Warszawa. Dzieje radiostacji powstańczej ‘Błyskawica’”, Księgarnia Orbis, Londyn 1964, str. 29.

radiofonii w okresie powstania, które było ostatecznym celem tworzonej konspiracji. W 1942 roku działalność Polskiego Radia została podporządkowana dwóm odrębnym władzom: wojskowej – Biura Informacji i Propagandy (BIP) Komendy Głównej AK, z płk. Janem Rzepeckim („Sędzia”, „Rejent”) na czele, oraz cywilnej – Departamentu Informacji i Prasy, której dyrektorem był Stanisław Kauzik („Dołęga”, „Modrzewski”). Od sierpnia 1942 r. Polskie Radio stało się oficjalnie Sekcją „RA” Departamentu Informacji i Prasy, co nie rozwiązywało sprawy, wręcz odwrotnie – istniejąca nadal dwoistość działalności radiowej, wojskowej i cywilnej, była powodem permanentnego konfliktu dwu zespołów radiowców.

Ekipę radiową z ramienia BIP-u organizował Tadeusz Żencykowski („Kania”, „Kowalik”), kierownik „Akcji N” (antyniemieckiej dywersji psychologicznej) a w czasie Powstania szef propagandy AK. To głównie Żencykowski rozbudował powstańczy aparat BIP-u. Rudnicki w dalszym ciągu stał na stanowisku, że gospodarzem radiofonii jest wyłącznie Polskie Radio, któremu winien podporządkować się program audycji dla wojska. Wiosną 1944 władze Polski podziemnej zażądały zsynchronizowania działalności cywilnej i wojskowej na odcinku radiowym. Do tego jednak w pełni nie doszło i jak przypomniał Kwiatkowski „zanim jeszcze padły pierwsze strzały powstania, już istniały rozbieżności zdań w tak niewralgicznej materii jak propaganda, czyli ‘rząd dusz’, między wojskiem i władzami cywilnymi...”. Ostatecznie zostało ustalone, że będą istniały dwa zespoły radiowe, każdy ze swoją radiostacją i teoretycznie nastąpił ramowy podział kompetencji⁴. Edmund Rudnicki zachował kierownictwo Polskiego Radia, a kierownictwo programowe radiostacji BIP-u – o nazwie „Błyskawica” i pod zwierzchnictwem Żencykowskiego – objął Stanisław Zadrozny („Pawlicz”) i tam też w pierwszych dniach Powstania był przydzielony Nowak-Jeziorański⁵.

Ironią losu w tym wszystkim było to, że uzgodniono,

4. Zob. Grzegorz Mazur, „Biuro Informacji i Propagandy SZP-ZWZ-AK 1939-1945”, Przedmowa Aleksander Gieysztor, Pax, Warszawa 1987, str. 124-125 i 354.

5. Jan Nowak (Zdzisław Jeziorański), „Kurier z Warszawy”, Odnowa, Londyn 1978, str. 336-339.

przynajmniej pozornie, współpracę Polskiego Radia i „Błyskawicy”, ale w chwili wybuchu Powstania żadna z tych dwu ekip nie dysponowała radiostacją, gdyż nie dotarto do miejsc, gdzie ekipy te miały aparatury nadawcze, a czego nie przewidziano wcześniej. Działający z ramienia BIP-u zespół zdołał uruchomić, dzięki przedsiębiorczości Żenczykowskiego, zapasową krótkofalówkę i dnia 8 sierpnia została nadana z powstańczej Warszawy pierwsza audycja „Błyskawicy”. Następnego dnia rozpoczęło również audycje Polskie Radio, które nie uratowało swojej radiostacji (spłonęła na Krakowskim Przedmieściu) i otrzymało prawo nadawania własnego programu na falach „Błyskawicy”. Jak napisał Skierski, pracownik Polskiego Radia, „zostaliśmy sublokatorami BIP-u – przyjmując wszystkie szykany tej władzy”. Kwiatkowski z kolei podkreślił, że wystarczył niespełna tydzień działalności na antenie, „aby między pracownikami Polskiego Radia, podległego władzy cywilnej – Delegaturze Rządu na Kraj, a pracownikami BIP-u, podległego władzy wojskowej – Komendzie Głównej Armii Krajowej, zarysował się i pogłębiał konflikt”, o którym będzie mowa później.

Książka Kwiatkowskiego jest swoistego rodzaju kroniką powstańczej Warszawy opisaną przez pryzmat audycji Polskiego Radia z jednoczesnym wykorzystaniem różnej dokumentacji archiwalnej, w tym i ze źródeł niemieckich, o czym już wspominałem. W oparciu o te ostatnie Autor cytuje słowa Heinricha Himmlera, od zamachu na Hitlera jednej z trzech najważniejszych osób w III Rzeszy, który po wybuchu Powstania powiedział: „To Anglicy wywołali to powstanie i to w dla nas absolutnie niesympatycznym momencie. Gdy usłyszałem wiadomość o powstaniu w Warszawie poszedłem natychmiast do Führera... Powiedziałem: Mój Führerze, moment jest niesympatyczny. Z punktu widzenia historycznego jest jednak błogosławieństwem, że ci Polacy to zrobili. W ciągu pięciu-sześciu tygodni będziemy to mieli za sobą. Ale wtedy Warszawa – stolica, głowa, inteligencja tego niegdyś 16-17-milionowego narodu Polaków będzie starta... Ponadto wydałem rozkaz, żeby Warszawa została doszczętnie zniszczona... żeby już w Warszawie żadni dekonwicy nie uwili sobie gniazdka”. Kwiatkowski przypomina jeszcze, że Him-

mier wydał także rozkaz wystrzelania ludności stolicy, bez względu na wiek i płeć; „w połowie XX wieku Warszawa miała stać się nową zrównaną z ziemią Kartaginą”.

W pierwszej audycji Polskiego Radia nadanej 9 sierpnia w powstańczej Warszawie, jej kierownik Edmund Rudnicki, zabierając na wstępie głos, po przegraniu płyty ze słowami „Warszawianki” oznajmił: „Polskie Radio przerwało swą służbę przy mikrofonach 29 września 1939 roku w wolnej Warszawie. Przez cały czas okupacji praca jego nie ustawała, praca konspiracyjna. Dziś w wyzwolonej Warszawie stajemy wraz z całym społeczeństwem do walki o wolność Rzeczypospolitej Polskiej”.

Następnie, Edmund Osmańczyk zainaugurował cykl codziennych komentarzy „Warszawa walczy”, gdzie m.in. mówił: „... Stolica Polski chwyciła wroga za gardło gołymi rękami... Takiej wojny, takiego boju nie pojmie, nie wyobrazi sobie nikt w Londynie, nikt w Waszyngtonie... Świat powtarza górnobrzmiące słowa o Polsce – ‘natchnieniu świata’, ale nie może wiedzieć, jak wygląda rzeczywistość... Warszawa nie chce od was (krajów sprzymierzonych) podziwu ani wyrazów współczucia... Żądamy karabinów i amunicji...”. W odczytanej później deklaracji stronnictw politycznych, opracowanej na podstawie wstępnych artykułów ich organów prasowych, przebijała jedna główna myśl: „Polska sama wywalczy sobie wolność. Od Europy żąda tylko sprawiedliwości”.

W pierwszym okresie Powstania audycje Polskiego Radia, zgodnie z panującą w Warszawie atmosferą, wyrażały przekonanie, jak np. w audycji z 12 sierpnia, że „bracia nasi w Londynie czuwają i działają. Heroicznym wysiłkiem przygotowują dla nas pomoc... Nie chcemy od was (demokracji zachodnich) ludzi... Mamy swą Armię Krajową. Dajcie nam tylko broń i amunicję”. W pogadance politycznej pt. „Znaczenie Powstania Sierpniowego”, napisanej przez Skierskiego i nadanej 19 sierpnia autor zapewniał, że największym dorobkiem Powstania jest to, że „budujemy i utrwalamy niezależną polską państwowość”. Podjęto ponownie otwartą walkę z Niemcami, „aby światu zadokumentować, że jesteśmy i chcemy istnieć jako państwo niepodległe”. Autor twierdzi dalej, że „Powstanie Warszawskie znalazło echo w społeczeń-

stwach zachodnich. Od 1 sierpnia jesteśmy stale na ustach całego świata... Oczy całego Zachodu zwrócone są ku nieugiętej Warszawie... Rząd nasz w Londynie wszystko robi, co jest w jego mocy, aby zarówno pomoc potrzebna Warszawie, jak również znaczenie powstania były właściwie ocenione w Anglii i Ameryce”.

Jak napisze później, po Powstaniu, autor tej pogadanki, jedyne wytyczne otrzymane przez Polskie Radio od S. Kauzika, dyrektora Departamentu, któremu to Radio podlegało były: „Nie atakować Rosji, nie atakować Anglii. Można atakować Komitet Lubelski i KRN” (Krajowa Rada Narodowa, utworzona przez komunistów na przełomie 1943-1944 r.). Ponadto, pisał dalej Skierski, „w zakresie politycznym nie mieliśmy żadnych wskazań, nic dokładnie nie wiedzieliśmy, co się dzieje między Warszawą a Londynem... Nie wiedzieliśmy prawie nic z zakulisowych spraw rządowych... Niedobre było umieszczenie nas w tej pustce ideowej, w której męczyliśmy się jako patrioci i jako ludzie na posterunku”. To też tłumaczyło błędne mniemanie o możliwościach naszego rządu w Londynie i stosunku zachodnich sprzymierzeńców do Polski, a co również przyczyniło się zapewne do tego, że Departament Informacji i Prasy, podobnie jak BIP „nie potrafił wykorzystać dla politycznych celów takiego potężnego środka jak radio” (str. 380).

W tym stanie rzeczy, o czym mówił Skierski w audycji z 22 sierpnia, trzy dni po wspomnianej wyżej pogadance, „Żołnierz Armii Krajowej bijący się na ulicach Warszawy nigdy nie zrozumie, że podczas gdy on, niedostatecznie uzbrojony, krwawi się na barykadach stolicy o wolność i godność, i całość Rzeczypospolitej, bracia w jego szeregach Polskich Sił Zbrojnych walczą daleko od kraju ojczystego i nie mogą przyjść mu z pomocą. Pragniemy, aby wszyscy żołnierze polscy znaleźli się jak najprędzej na ulicach Warszawy i wzmocnili front dla nas najdroższy – front polski”.

Zespół Polskiego Radia pozbawiony był nie tylko informacji koniecznych do zrozumienia w Polsce zawiątej sytuacji, ale brak mu było słuchaczy i w ogóle jakiegokolwiek kontaktu ze słuchaczami krajowymi. Pisała o tym Maria Ponikowska, bliska współpracowniczka Rudnickiego, że w

przeciwieństwie do września 1939 roku „radio w czasie powstania było mało związane z ludnością warszawską”. Działo się to głównie dlatego, że ludzie nie mieli odbiorników, a podczas powstania „nie uruchomiono w Warszawie ani jednego megafonu, przez który można by słuchać audycji nadawanych przez Polskie Radio. BIP zorganizował wprawdzie ruchome punkty megafonowe, ale nie służyły one do transmitowania programu radiowego. Nadawano przez nie specjalnie w tym celu montowane audycje o charakterze świetlicowym; ‘trochę słowa, trochę muzyki’, przeznaczone raczej dla walczących żołnierzy”. Brak telefonów uniemożliwiał również sprawdzenie czy audycje były słuchane i jak je oceniano. W sumie program Polskiego Radia „został nastawiony na słuchaczy przebywających za granicą” i był odbierany w Londynie (str. 388-389).

Na charakterze audycji radiowych oraz ich zasięgu zaciążył w dużym stopniu brak jednolitego kierownictwa i antagonizm między Polskim Radiem i „Błyskawicą”. Poniżowska podkreślała, że „należało wspólnie ustalić, jaki cel, a w konsekwencji jaki charakter mają mieć audycje radiowe z powstańczej Warszawy... jakie tematy poruszać, dla jakich słuchaczy, jakie wywoływać nastroje” (str. 384). Przede wszystkim błędny i praktycznie niewykonalny był podział na sprawy wojskowe, należące do BIP-u, a sprawy cywilne przynależne do Polskiego Radia, gdyż obie dziedziny tych spraw wzajemnie się zacięły z uwagi na współdziałanie ludności cywilnej z powstańczym wojskiem.

Słusznie zapytywał Skierski: „Czy nie byliśmy żołnierzami?” i pisał następnie pod adresem ludzi z BIP-u, że „nie da się podzielić społeczeństwa na dwie grupy – ‘naród’ i ‘wojsko’ – bo społeczeństwo to nie garnizon ani też skład afiszów, że w nim są inne wartości, które wykluczają takie symplifikatorskie podziały” (str. 652). Po różnych perypetiach, nawet w kolejkach z przydziałem wody, innych dla wojska a innych dla ludności cywilnej, z pomijaniem w obydwu zespołu Polskiego Radia, w ten sposób podsumowano cały problem: „Podczas powstania kryteria podziału na płęć były zgoła inne niż w normalnych czasach. Ponieważ żołnierzami były i kobiety, i dzieci, pod względem płci więc dzieliło się ludność

Warszawy na dwie kategorie: żołnierzy i cywilów. A nasz radiowy zespół? – Myśmy stanowili trzecią płęć... Broniliśmy się przeciw takiemu ‘zaszeregowaniu’ rękami i nogami – nic nie pomogło. I tak już zostało do końca” (str. 157-158).

Stałe napięcie w stosunkach między Polskim Radiem a BIP-em wypływało – jak tłumaczył Skierski, bardzo krytycznie nastawiony do zespołu „Błyskawicy” – „z różnicy temperamentów, ambicji, punktów widzenia i kwalifikacji profesjonalnych” (str. 66). Jeśli chodzi o program Polskiego Radia – pisze w innym miejscu Skierski – „dawaliśmy poważny ton naszym audycjom, zgodny z warszawską rzeczywistością. Był to kamień obrazy dla BIP-u, który stwierdził, że działamy deprymująco na ‘lud’”. Autor tych słów był przekonany, że „audycje radia z walczącej Warszawy bez fryzowanych komunikatów Bora i świetlicówek BIP-u – nastawiłyby i Polaków, i nasze władze londyńskie poważniej do problemów powstania. Ostatecznie żądało się pomocy, a z drugiej strony potrzęsało szabelką” (str. 180).

Co do audycji Polskiego Radia, to kierownik radiostacji „Błyskawica”, Stanisław Zadrozny, napisał po wojnie, że „początkowo denerwował nas płaczący ton tych audycji. Nazywaliśmy je modlitwą za konających, lub też śpiewem w katakumbach. Może to była znów z naszej strony przesada. Może nasz optymizm wtedy był również niewłaściwy?” Następnie Zadrozny twierdził, że „później nastąpiło zbliżenie (między dwoma zespołami radiowców)... Zbliżyło nas dopiero nieszczęście”⁶. Podobnie pisał Nowak-Jeziorański: „Pod koniec byliśmy już wszyscy jedną bardzo zżytą rodziną”⁷. Odmiennego zdania był Skierski, który w relacji z ostatniej audycji Polskiego Radia, nadanej 4 października, wyrażone tam wówczas przez Zadroznego podziękowanie za współpracę opatrzył uwagą: „a niech go krew zaleje za tę współpracę” (str. 616 – w książce Kwiatkowskiego).

Przełomowym momentem Powstania był, jak wiadomo, upadek Starego Miasta. Wówczas pod datą 2 września Pon-

6. Stanisław Zadrozny, op. cit. str. 59.

7. Jan Nowak-Jeziorański, op. cit. str. 339.

kowska notuje: „nadzieja na pomyślny koniec powstania umiera”. Dzień wcześniej, w piątą rocznicę wojny, w komentarzu Polskiego Radia „Wojna o pokój”, Osmańczyk ubolewał, że przez pięć lat „w kołysance idealizmu i patriotyzmu, męczeństwa i poświęcenia usypiano opinię światową, czyniąc z Polaków zawodowych bohaterów, stworzonych na to, by w nierozsądnych, lecz szlachetnych porywach utwierdzali w świecie wiarę w istnienie ideałów”.

Kilka dni później, w audycji z 11 września, nadano tekst zatytułowany „Warszawa jeszcze czeka” (na pomoc Zachodu): „Ludzie jeszcze wierzą w waszą pomoc. Mimo wszystko i wbrew wszystkiemu. Wierzmy, bo jesteśmy uczciwi. Uczciwość jest jedyną naszą polityką i naszą kalkulacją. Wierzmy, bo przez pięć lat nasze władze zapewniały kraj, że nasi sojusznicy są uczciwi i solidni. Uwierzyliśmy. I wierzmy. Jeszcze wierzmy”. W audycji z następnego dnia został odczytany artykuł pt. „Bolesne pytanie”, gdzie autor (nieznanego nazwiska) zapytywał: „...Czyż siła moralna już nic nie znaczy? Czyż nasza pięcioletnia postawa, czyny naszej armii za granicą i powstańczy wysiłek wywołają tylko gołostowne pochwały i nieobowiązujące komplementy? A jeśli tak – to czyż ten świat, który się rodzi z potopu krwi wszystkich ludów globu, ma być oparty nadal jedynie na przemoc?”

Zbieg okoliczności sprawił, że w audycji z 17 września, w piątą rocznicę agresji sowieckiej, na falach Polskiego Radia stwierdzono: „Jesteśmy nędzarami. Okupant zniszczył i zburzył nasz wielowiekowy dorobek kulturalny. Tego nie da się odtworzyć... Jeśli jednak alianci chcą nam pomóc, to pomoc taka musi być natychmiastowa... Czekamy”. Daremne były, wówczas i później, wszelkie oczekiwania. Jak pisał w ostatniej dekadzie września 1944 niemiecki sprawozdawca radiowy „pobliski (sowiecki) front nie może ich (powstańców) odciążyć, gdyż moskiewscy bolszewicy zdradzili ich już wtedy, gdy dali im sygnał do powstania. Z woli Moskwy Warszawa miała zostać zniszczona. I powstańcy w swoim zaślepieniu dokonali tego jak najbardziej gruntownie” (str. 659).

Jedno stawało się coraz bardziej aktualne, o czym była mowa w audycji z 22 września a mianowicie, „że wreszcie

odpowiedzialność zarówno Polaków, jak i sprzymierzonych za Powstanie Warszawskie wybija się jako naczelné zagadnienie z całej wojny obecnej”. W przeddzień kapitulacji, w audycji z 1 października, Polskie Radio sporządziło „Obrachunek”, gdzie z ubolewaniem potwierdzono, że w Powstaniu ginął „najlepszy, najofiarniejszy, ideowy młody żołnierz polski, szkolony... w twardych i trudnych podziemiach konspiracji. Ginęły kilkunastoletnie dziewczęta... Ginęli kilkunastoletni chłopcy... Tych nam nikt już nigdy nie wróci. I nie wróci nam już nikt nigdy tych bezcennych dzieł sztuki i pomników kultury... bibliotek i muzeów”. Resztę będzie można odbudować, „ale to będzie już inne miasto... inna Warszawa”.

Dwa dni wcześniej sporo czasu w audycji Polskiego Radia poświęcono problemom Prus Wschodnich oraz współpracy i potrzebie sojuszu polsko-czesko-sowieckiego, ale pod warunkiem, że nie byłoby to kosztem utraty naszego terytorium lub ograniczeniem polskiej suwerenności. Po przytoczeniu tekstu tej audycji, Kwiatkowski, autor omawianej tutaj książki, zwraca uwagę, że „zespół radiowy trwa na posterunku... przedstawiając nie tylko życie walczącego miasta, lecz także wyrażając myśli i uczucia niezależnego suwerennego polskiego społeczeństwa w trudnym momencie najwyższego zagrożenia. Radiowcy zdają sobie dobrze sprawę z sytuacji. Zenon Skierski temu fragmentowi swej relacji dał lapidarny tytuł ‘Rozkład’ i pisał:

„Wewnątrz miasta następował rozkład. Armia Krajowa kaptowana całymi batalionami przez AL (Armia Ludowa) i PAL (Polska Armia Ludowa), łudzona bezpieczeństwem wobec ‘bliskiego’ wejścia Sowietów, stawiała się stopniowo kupą przestępców, nienawidzoną przez lud... To był typowy, żałosny finał. Chciałoby się wtedy jak najspieszniej kapitulacji, aby wojsko i ludność cywilna nie utraciła tego całego piękna moralnego, które zademonstrowały w czasie powstania. Opinia buntu wisiała w powietrzu. ‘Naród’ rozchodził się z ‘Wojskiem’” (str. 579). Kwiatkowski dodaje od siebie, że „relacja Skierskiego, niechętnego wojsku, była przesadna i niesprawiedliwa”.

Wyżej już przypominałem, że upadek Starego Miasta stanowił przełomowy moment. Powstańczy entuzjazm słabł

coraz bardziej; wzmacniano go złudną nadzieją na rychłą pomoc. W audycji z 9 września zwracano uwagę, że czterdzieści (a później było ich razem 63) dni pożarów i terroru w insurekcyjnej Warszawie „mogłoby w niejednym społeczeństwie zniszczyć nie tylko zdrowie – mogłoby złamać wiarę w jakiegokolwiek wspólne ideały świata... Ludzie zza barykad Warszawy po przejściu tego piekła będą niewątpliwie chorzy. Choroba ta – to właśnie gorzyc aż tylu dni osamotnienia”. Następnego dnia, w audycji „Opinia Warszawy”, Osmańczyk mówił: „Wielkich wysiłków, ogromnych kapitałów będzie wymagało odbudowanie Warszawy, ale większych bodaj trudów trzeba będzie, aby nasi sojusznicy choć w drobnej części z gruzów stolicy Polski odtworzyć mogli zmarnowany do dzisiaj kapitał zaufania Polaków”.

Po kapitulacji Warszawy, Maria Żebrowska – związana z okresu okupacji z konspiracyjnym zespołem radiowców – napisała: „W tym ginącym mieście ginęło dla nas wszystko. Nie tylko drogi nam dorobek całego życia i mienie własne, nie tylko bogactwa kulturalne nagromadzone przez wieki, nie tylko pamiątki najdroższe – ale w pięcioletnim codziennym trudzie wybudowane, wywalczone, wypracowane podwaliny pod nowe i lepsze życie w wolnej i niepodległej Polsce” (str. 637). O to właśnie Sowietom chodziło i co też ułatwiło im narzucenie Polsce komunistycznego systemu.

Ostatnia audycja Polskiego Radia podczas Powstania, a było ich wszystkich 122, została nadana 4 października 1944 roku o godzinie 19.45. Większość materiałów archiwalnych uratowano i wywieziono z Warszawy. Z wyjątkiem dwu radiowców, cały zespół Polskiego Radia zdołał wydostać się ze Stolicy i przenieść się w zmniejszonym składzie do Krakowa, gdzie sporządzono dwa opracowania: „Historia Polskiego Radia w czasie wojny”, oraz „Polskie Radio, jego cele i działania”, zawierające projekt organizacji radiofonii polskiej po wojnie. Jak napisał Kwiatkowski, „jedną z zadziwiających cech zespołu radiowego była odporność psychiczna na trudności życiowe i szybka zdolność regeneracji”.



Wartość dzieła Kwiatkowskiego polega przede wszystkim na zgromadzeniu bogatego materiału archiwalnego i na umiejętnym wykorzystaniu go bez pomijania faktów mniej chwalebnych, w przeciwieństwie do tego czym charakteryzują się przeważnie jeszcze opracowania historii powstańczej Warszawy. W większości wypadków jest to bowiem historia pisana przez uczestników Powstania, stąd ich subiektywizm udzielający się historykom z młodszych pokoleń, którzy nadal niezbyt chętnie wychylają się poza ogólnie przyjęte normy i oceny w obawie (chyba?) przed reprimendą powstańczych autoritetów. Kwiatkowski, liniowy żołnierz Powstania, a później asystujący jako tłumacz przy przejmowaniu gen. Bora do niewoli, stanowi pod tym względem raczej wyjątek.

Dzięki zebranej dokumentacji i sposobem ujęcia problemów książka Kwiatkowskiego wybiega daleko poza dzieje samego Powstania. Ciekawa jest również dokumentacja niemiecka, reportaże wojennych korespondentów, opinie dowódcztwa związanej walką armii niemieckiej w Warszawie i przegrupowania jednostek tej armii na innych terenach, z różnymi danymi o oddziałach partyzanckich, szczególnie w Kampinosie i w rejonie kielecko-radomskim⁸. Szczególne znaczenie dokumentacyjnego materiału dzieła Kwiatkowskiego polega na tym, że jest to materiał w ogromnej większości wzięty wprost z pola walki, bez upiększania i bez medytowania, co by było gdyby? Stanowi przeto nieodzowne źródło do bliższego poznania życia i walki powstańczej Warszawy.

Na jedno jeszcze chciałbym zwrócić uwagę, tym razem krytyczną, nie tyle nawet pod adresem Autora książki, ile skutków antagonizmu, jaki istniał pomiędzy Polskim Radiem a radiostacją „Błyskawica”. Skierski podkreślał, że „zarówno w Londynie, jak i w Warszawie nie odróżniano dokładnie BIP-owskiej „Błyskawicy” od Polskiego Radia działających na tej samej stacji nadawczej, na tych samych falach, często w

8. W dokumentacji niemieckiej, jaka znajduje się w książce Kwiatkowskiego wymienione są pseudonimy niektórych dowódców oddziałów partyzanckich, które częściowo uzupełniam tutaj nazwiskami: na str. 270 wymieniony jest oddział „Szarego” – Antoni Heda, koło Starachowic, a na str. 514 mowa jest o oddziale „Starego” – Józef Wyrwa, w okolicy Opoczna.

bezpośrednim sąsiedztwie” (str. 179). Otóż tym bardziej teraz pokolenia powojenne nie odróżniają, a przeważnie w ogóle nie wiedzą, że były wtedy w Warszawie dwa zespoły radiowe i dla nich audycje radia powstańczego utożsamiane są niejednokrotnie ze Zbigniewem Jasińskim („Rudy”), „poetą Powstania Warszawskiego”⁹, o którym w książce Kwiatkowskiego nie ma najmniejszej nawet wzmianki, pomimo że jest tam przecież trochę danych o „Błyskawicy”, gdzie Jasiński redagował dziennik radiowy i na falach której szły w świat jego wiersze. Przez wiele lat nazwisko Jasińskiego znajdowało się na indeksie komunistycznej władzy i obecnie była po temu okazja, żeby przypomnieć autora „Pieśni o Powstaniu” i innych utworów, będących najdonioślejszym głosem akowskiego pokolenia. Warto o tym pamiętać i uzupełnić w następnym wydaniu tej wartościowej książki.

Tadeusz WYRWA

Z. S. SIEMASZKO

SIOSTRY DZIEWULSKIE

Zarówno Huszcza ze Skamienowszczyzny (mój dziadek ze strony Mamy) jak i Malinowski z Czerepowszczyzny, którzy sąsiadowali ze sobą, brali udział w powstaniu 1863 r. Zdołali jednak potem uniknąć zarówno aresztowania jak i konfiskaty majątków. Jeden z synów Malinowskiego, Gedy-

9. Zob. Zbigniew Jasiński. Poeta Powstania Warszawskiego, „Krwia i rymem. Dokumenty powstańcze”. Wstęp Tadeusza Żenczykowskiego („Kania”). Przedmowa Jerzego Grota-Kwaśniewskiego. Szkic o życiu i twórczości Jasińskiego opracował Lech Paszkowski. Do druku przygotował Marian Bruszewski. Wydane staraniem Oddziału i Fundacji Armii Krajowej w Nowej Walii, Australia 1989.

min był najpierw oficerem carskim, a potem polskim, a jego starsza siostra Jadwiga w 1909 roku wyszła za mąż za Władysława Dziewulskiego, późniejszego profesora astronomii na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie. Po 1920 r. Skamienowszczyzna i Czerepowszczyzna pozostały tuż za „kordonem”, kilkadziesiąt kilometrów na wschód od Głębokiego¹.

Dziewulscy mieli trzy córki (Jadwiga, Aniela i Wanda), oraz o wiele młodszego syna Wacława, z którym bawiłem się w latach 30-tych na terenie Obserwatorium Astronomicznego na Zakręcie w Wilnie. Najstarsza córka Jadwiga, jeszcze będąc studentką została recenzentką teatralną wileńskiego *Słowa* pisząc pod pseudonimem Eddy, a wkrótce potem, ku zgorzzeniu ówczesnych wilnian stała się „przyjaciółką” redaktora tej gazety, znanego w całym mieście Stanisława Mackiewicza i rozeszła się z nim dopiero w Londynie po zakończeniu wojny. Wyjechała do Argentyny, wyszła za mąż za byłego oficera 2 Korpusu Karbowskiiego. Potem wrócili oni do Polski, gdzie Jadwiga owdowiała i obecnie mieszka w Warszawie. Ostatnio wyszła jej książka pod bardzo udanym tytułem „Z Mackiewiczem na ty”².

Jeszcze będąc uczniem Gimn. oo. Jezuitów w Wilnie odnosiłem wrażenie, że inteligencja miejska, wywodząca się głównie z kresowych dworów, miała wówczas pretensje do ówczesnego ziemiaństwa, ale nie wiedziałem o co jej chodziło.

Wyjaśnił mi to dopiero następujący dialog pomiędzy Eddy i Mackiewiczem:

– Powinna Pani zdawać sobie sprawę, że nasze pismo to ostatni wkład ziemiaństwa w kulturę naszego kraju.

– Tak, ale jednocześnie jest to klasa, która najbardziej boczy się na uniwersytet.

– Co Pani wygaduje!

– Moje argumenty wydadzą się Panu śmieszne, ale to tylko pozory. Jeśli Pan nie zbędzie ich kpinami, to potrafię Pana przekonać.

1. „Władysław Dziewulski 1878-1962”, praca zbiorowa pod redakcją Wilhelminy Iwanowskiej, PWN, Poznań 1978, oraz Grasylda Malinowska, „Pamiętnik kresowej nauczycielki 1833-1921”, Bydgoszcz 1995.

2. Pax, Warszawa 1994, 290 stron. Niestety, książka ta nie posiada indeksu nazwisk, więc trudno z niej korzystać.

(...) Moje szkolne koleżanki, te z ziemiańskich rodzin, były zawsze bardzo miłe, zapraszały do domu, ale dotąd ani jedna nie zaprosiła mnie do siebie na wieś. A wie Pan dlaczego? Bo nie należę do ich klanu, bo mój ojciec pochodzi z Warszawy. (Str. 27).

To mylny wniosek, ziemianie nie zapraszali w pierwszym rzędzie dlatego, że wstydzieli się swego prymitywu – braku kanalizacji, much, zapchlonych psów i kotów. A poza tym inteligencja miejska chciałyby przyjeżdżać latem, w czasie wakacji, tzn. wówczas kiedy ziemianie byli najbardziej zajęci.

Ale przejdźmy do wspomnień Pani Jadwigi. Okres wileński wypadła najlepiej, jest barwny i żywy. Może wpływa na to młodość i zakochanie się Autorki. Potem Francja i Portugalia w 1940 roku wypadają jeszcze nieźle. A najgorzej wychodzi Londyn. Ludzie są sztywni, bez wyrazu, sam bohater – Słoń, jak go nazywa w tym okresie Pani Jadwiga – jest jak manekin, który stale chodzi po przeważnie małym pokoju (str. 231, 254, 285, 286 i inne). Jego przewlekłe rozmowy z Renatą Jeleńską (matką niedawno zmarłego w Paryżu Konstantego), jak również z Wandą Ostrowską (żoną Krystyna) są niezmiernie nudne (str. 205 i 228 oraz dalsze).

A rozpisywanie się o Churchillu to zbiór komunałów bez większego znaczenia, który czytelnikom krajowym nie da wiele (str. 220 i dalsze). Polacy londyńscy są jak mamuty, Wojska Polskiego nie widać, o uratowanych z Sowietów ani słowa, a Brytyjczycy jak istoty z innej planety. Trudno sobie wyobrazić, że ktoś, kto mieszkał w Londynie pięć czy sześć lat w okresie wojny, potrafi napisać, że wówczas można było „w sąsiednim pubie” wypić herbatę lub zjeść obiad (str. 251), czy też, że Irlandczyk Muldowney, zabójca Krystyny Skarбек „powieszony został bez sądu” (str. 277).

Autorka pisze również o wykradaniu dokumentów z biura premiera Gen. Sikorskiego, do czego miał się według niej przyczynić Związek Ziem Północno-Wschodnich, który nazywa Stowarzyszeniem i twierdzi, iż „najpilniejszą dla niego sprawą było dotarcie do ściśle tajnych – *top secret* – źródeł angielskich” (str. 281). Trudno o większe wypaczenie sytuacji. Według autorki pewien człowiek „przekraczał progi gabi-

netu premiera, wyciągał z biurka odpowiedni dokument, wsiadał do samochodu i odwoził maszynistce, która pisała szybko i sprawnie. Po zakończeniu oryginalny dokument wracał na dawne miejsce” (str. 281). A człowiekiem tym miał być Władysław Guenther, były poseł w Grecji. O ile mi wiadomo, nie miał on nic wspólnego z otoczeniem premiera Sikorskiego, a tym bardziej Mikołajczyka i nie miał szans dostania się do ich biur.

A jednak w jakiś sposób tajne dokumenty musiały trafić do rąk Mackiewicza, co wykorzystał on z miejsca w swoich broszurkach. Sprawa ta stała się jaskrawa, kiedy po konferencji teherańskiej prasa polska na Zachodzie i polscy „mężowie stanu”, z Mikołajczykiem włącznie, twierdzili, iż wszystko jest w jak najlepszym porządku i interesy polskie nie zostały naruszone. Jedyne Mackiewicz pisał, że niepodległość Polski została w Teheranie przekreślona, bo połowę Europy oddano Sowiecom bez zastrzeżeń. Szereg Polaków potępiał wówczas Mackiewicza za jego wypowiedzi, ale jednak po wojnie, kiedy ujawniono dokumenty, okazało się, że on jedyny miał rację, więc najprawdopodobniej znał treść tajnych umów³.

Ale z pewnością nie w sposób, jaki podaje Pani Jadwiga i powtarza za nią Jerzy Jaruzelski, autor książki „Stanisław Cat-Mackiewicz”⁴.

Jednak mimo szeregu niedociągnięć, wspomnienia Pani Jadwigi zawierają sporo, chociaż smętnych, ale „złoty” Mackiewicza z okresu wojennego, które ze względu na ich aktualność warto tu przytoczyć.

Nie kalkulacje polityczne, lecz emocje, lecz echa bajek rządzą naszym społeczeństwem (str. 104).

A co mam robić z moimi rodakami?! Niczego nie potrafili nauczyć się ani zrozumieć. (...) To ślepcy! (str. 246).

Gdyby Marszałek żył, to nie weszlibyśmy do tej wojny pierwsi, bo grałby na zwłokę, zrobiłby wszystko, co w jego

3. Pisałem o tym w swym wspomnieniu pt. „Spotkania z Mackiewiczem” *Kultura* nr 4/246, kwiecień 1968 r.

4. Czytelnik, Warszawa 1987. Najciekawszą częścią tej książki są listy Cata do Michała Pawlikowskiego obejmujące 30 stron. Natomiast opracowanie Jaruzelskiego słusznie skrytykował mój brat (Zdzisław A.) w *Pulsie* nr 39, grudzień 1988.

mocy, żeby nam zaoszczędzić grozy pierwszego uderzenia. Dzięki jego posunięciom dołączylibyśmy do tej wojny jak naj-później. (...) Zabrakło nam rozsądku (str. 286).

Jeżeli polityk nie może zrozumieć, że powinien być graczem przewidującym i ostrożnym, jeżeli nie może pojąć, że od jego inteligencji i zręczności zależy los powierzonego mu narodu, to niech się zajmie czymś innym (str. 286).

Opisz koniecznie (...) O Verdun. O tym, jak psychika narodu może ulec zmianie, kiedy całe pokolenie, to najwarściowsze, zostanie zmiecione z powierzchni ziemi (str. 289).

W bitwie pod Białą Górą zginął kwiat czeskiego rycerstwa, razem z nim odeszły w przeszłość dotychczasowe tradycje. I stąd psychika tego narodu uległa zasadniczej zmianie. Zastanawiam się, a może nawet jestem pewien, że po Powstaniu Warszawskim psychika mojego narodu zmieni się nie-do-pozna-nia (str. 289).

Szczególnie teraz po 1989 r. okazało się jak słuszne były przewidywania i ostrzeżenia Mackiewicza.

Po zakończeniu wojny Pani Jadwiga – jak pisze w Słowie wstępnym – rozstała się z Mackiewiczem „burzliwie i nieodwołalnie”. Podobno przyczynił się do tego nie tylko romans Mackiewicza z Renatą Ostrowską (córka Krystyna), o czym pisze obszerniej Jaruzelski, ale również przybycie do Anglii z 2 Korpusem wuja Pani Jadwigi, kpt. Gedymina Malinowskiego, który podobno robił co mógł, aby spowodować jej odejście. Mówiono wówczas w Londynie, że Mackiewicz był oburzony, iż rząd emigracyjny odmówił udzielenia mu pożyczki na pogoń do Argentyny w ślad Eddy.



Młodsza siostra Pani Jadwigi, Aniela szła inną drogą. Należała do AK, potem przeszła przez łagry, w 1956 przyjechała do PRL. Wkrótce wyszła za mąż za Leona Łosia, późniejszego dyrektora Biblioteki Polskiej Akademii Nauk w Warszawie. Tuż przed wojną ukończył on studia prawnicze na USB w Wilnie. Potem był zastępcą szefa Biura Informacji i Propagandy w Okręgu Białostockim AK. Latem 44 r. został ranny w czasie bombardowania. Aresztowano go 27 paździer-

nika i wysłano do obozu internowanych akowców w Ostasz-kowie, a później był w innych obozach. Pod koniec września 1947 roku uciekł i został złapany już na terenie PRL, zupełnie przypadkowo, w czasie obławy na jakichś innych „przes-tępców”. Przekazano go w ręce sowieckie. Ucieczka ta była właściwie niepotrzebna, bo większość akowców, z obozów w których przebywał pan Leon, została zwolniona jeszcze w 1947 roku.

W grudniu 1947 roku za przekroczenie granicy został pan Leon skazany dość łagodnie na dwa lata łagrów. W ten sposób rozpoczęła się druga faza jego pobytu w Sowietach. Wysłano go do Kazachstanu, do obozów koło Karagandy, znanych Polakom z lat 1940-42. Na przykład tam w obozie Dolinka, w którym później przebywał pan Leon, zmarł w grudniu 1940 roku gen. Stefan Suszyński, uprzednio znany z elegancji komendant miasta Warszawa.

Po ukończeniu dwuletniego terminu przeniesiono pana Leona do obozu w Krasnogorsku pod Moskwą, gdzie trzy-mano więźniów różnych narodowości spoza Sowietów, oczekujących na odesłanie do swoich krajów. Tak rozpoczęła się trzecia faza pobytu w ZSSR, najpierw pod Moskwą, a potem pod Kijowem, w czasie której zastanawiano się, czy odesłać go do PRL, czy też postawić w stan oskarżenia za działalność antysowiecką w AK.

W październiku 1951 r. rozpoczęto nowe śledztwo. Cho-dziło w nim między innymi o to, czy był on obywatelem so-wieckim, bo na przełomie październik-listopad 1939, kiedy wydawano dekrety o przyłączeniu polskich terenów (wraz z Białymstokiem) do ZSSR, przebywał w Białymstoku. Czy też, jak sam twierdził, przybył z Warszawy do Białegostoku po tym terminie i dlatego nie został objęty ukazami o nadaniu obywatelstwa sowieckiego i powinien być odesłany do Polski. Śledztwo to skończyło się wyrokiem śmierci, zamienionym po prawie trzech miesiącach na 25 lat łagrów. W ten sposób do-biegła końca czwarta i rozpoczęła się piąta faza w sowieckim okresie pana Leona.

Pod koniec 1952 roku wysłano go do jednego z obozów koło Irkucka. Po śmierci Stalina w marcu 1953 roku warunki w łagrach zaczęły się poprawiać. Latem 54 r. przyszły pierwsze

pocztówki z Polski. W połowie 55 r. system *isprawitielno-trudowych łagieriej* zaczął rozkładać się. W sierpniu 56 r. pan Leon został zrehabilitowany przez specjalną komisję, która rozważała sprawy łagierników-cudzoziemców. W grudniu 56 r. był on już w Brześciu Litewskim i tuż przed Bożym Narodzeniem jego 12-letni okres pozbawienia wolności dobiegł do końca.

W tym okresie Leon Łoś przechodził różne koleje losu. Niekiedy życie jego wisało na włosku. Czasem groziła mu kula NKWD lub stan jego zdrowia był beznadziejny, a kiedy indziej powodziło mu się nieźle, jak na stosunki sowieckie, na przykład wówczas, kiedy był kierownikiem prac w obozie.

Wśród literatury dotyczącej przeżyć sowieckich w latach 1939-1956, jego wspomnienia powinny zajmować czołowe miejsce⁵. Napisane są żywo i z dużym zrozumieniem świata sowieckiego, przy dobrej znajomości rosyjskiego języka i opanowaniu prawa sowieckiego. Obserwacje jego są o wiele głębsze i oparte na o wiele lepszej znajomości Rosji i Sowietów niż osławiony reportaż Ryszarda Kapuścińskiego pt. „Imperium”⁶.

Wydaje się, iż ta wybitna relacja ma nieco niefortunny tytuł – „Drugi brzeg Oki”. Może jest on bardziej zrozumiały dla czytelnika krajowego, natomiast mniej przystępny dla Polaka na Zachodzie. Autorowi chodziło o przeciwstawienie mobilizacji podczas wojny Dywizji Kościuszkowskiej nad Oką, z czego powstała legenda opiewana w piosenkach Ludowego Wojska Polskiego, i drugiej powojennej „mobilizacji” do łagrów, z czego, mimo wielkich strat, nie powstała żadna legenda i nikt tego dramatu nie opiewa.

Leon Łoś miał szerokie spojrzenie na świat. Przyjaźnił się z przedstawicielami różnych narodowości, zarówno sowieckich, jak i niesowieckich, do czego miał szczególną okazję w

5. Pierwsze wydanie ukazało się jeszcze nielegalnie w Warszawie w 1988 r. (wyd. Neutrino). Autor występuje tam jako Leon Agrest i pisze o sobie w trzeciej osobie. Drugie wydanie ukazało się już pod własnym nazwiskiem i w pierwszej osobie, w Paryżu w 1989 r. (wyd. Editions Spotkania). W tym omówieniu korzystam z pierwszego wydania. Oba mają ten sam tytuł – „Drugi brzeg Oki”.

6. Czytelnik, Warszawa 1993.

obozie (pod Moskwą), dla oczekujących wyjazdu z Sowietów. Jednocześnie wspomnienia jego sięgają w głąb przeżyć ludzkich w nieludzkich łagiernych i więziennych warunkach. Najlepszy jest jednak opis ucieczki z obozu internowanych w jesieni 1947 r. Czasami brakuje wytłumaczenia pewnych reakcji Autora, który na ogół jest bardzo opanowany, ale niekiedy wybucha i czytelnik nie wie dlaczego właśnie w tych okolicznościach pan Leon nie zapanował nad sobą. Na przykład dwukrotnie złapał za stołek, na którym siedział i zaatakował nim raz śledczego (oficera NKWD), a kiedy indziej lekarza, który oskarżał go o symulację. I ciekawe, że w obu wypadkach te gwałtowne reakcje były skuteczne i nie spowodowały jakichś bardziej nieprzyjemnych konsekwencji.



Aniela Dziewulska („Krystyna”), przysłała żona Leona Łosia, ur. w 1916 r. była kierowniczką łączności wewnętrznej na miasto Wilno przy szefie sztabu Okręgu Wileńskiego AK, ppłku Lubosławie Krzeszowskim („Ludwiku”)7.

Po powrocie z Sowietów w 1956 r. stała się ona znanym geofizykiem. Już w łagrach zaczęła gromadzić dane o współtowarzyszach niewoli sowieckiej. Ostatnio wyniki tych prac ukazały się w formie książkowej pt. „Konwój strzela bez uprzedzenia – Polki w więzieniach i łagrach sowieckich (1944-1956)”8.

Szkoda, że na tej liście nie ma Polek aresztowanych przed 1944 r., których nazwiska są znane, jak na przykład Urszula Muskus aresztowana wiosną 1942 r. w Kazachstanie, którą ostatecznie zwolniono w styczniu 1956 r., autorka wspomnień „Długi most 1939-1956”9.

Zanim przejdę do omówienia innych części tej książki

7. Warto nadmienić, że kierowniczką łączności zewnętrznej szefa sztabu Okręgu Wileńskiego z inspektoratami i brygadami była wspomniana w tej książce Barbara Skarga („Ewa”), ur. w 1919 r. Natomiast kierowniczką łączności konspiracyjnej sztabu była zamieszkała po wojnie w Londynie Zofia Biernacka („Jagienka”), córka gen. Dąba-Biernackiego.

8. Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza, Białystok 1994.

9. Koło Lwowian, Londyn 1975.

trzeba spojrzeć na jej całość, która wzbudza szereg zastrzeżeń. Na pierwszy rzut oka wygląda, że autorką jest Aniela Dziewulska-Łosiowa, że to ona ułożyła całość książki i wybrała cytaty ze wspomnień innych Polek, ale zaraz powstają wątpliwości, bo napisano, że „redagowała Elżbieta Feliksiak”, która jest również „przewodniczącą Komitetu Redakcyjnego” składającego się z jednego pana i aż sześciu pań, z których żadna (włączając Elżbietę Feliksiak) nie występuje na liście Polek-łagierniczek w tej książce. Widocznie cały ten komitet brał udział w przygotowaniu materiału do druku, choć napisano, że redagowała jedynie przewodnicząca.



Ale zacznijmy od tytułu, „Konwój strzela bez uprzedzenia”, który jest raczej nieudany, bo ta sowiecka zasada jest dobrze znana i występuje niemal we wszystkich wspomnieniach z przeżyć łagiernych. O wiele lepszy i wystarczający byłby sam podtytuł „Polki w więzieniach i łagrach sowieckich 1944-1956”.

W pracy zbiorowej tego rodzaju, można by oczekiwać, że teksty autorki będą złożone normalnym drukiem, a inne relacje kursywą. I wygląda, że tak jest. Ale przy dalszych oględzinach okazuje się, że cały szereg tekstów innych osób jest również złożony normalnym drukiem, co wprowadza poważne zamieszanie (str. 154-177, lub 221-223). Niekiedy układ tekstu jest chaotyczny, na przykład:

Oddam znów głos Irenie Kuran, opisującej zdarzenia z obozu w Komi ASSR, Uchta 1947-1948:

Mama
(Irena Kuran)

Córce pani Leokadii Kruk, Janinie,
wspomnienie o jej matce, której
zawdzięczam życie – poświęcam.

Z fotografii, którą dostałam patrzą na mnie oczy mądre,
dobre (str. 228).

„Konia z rzędem” temu, kto w ciągu paru minut rozszyfruje personalia w tym krótkim cytacie.

Spójrzmy jak wygląda układ rozdziału zatytułowanego „Wspomnienia z Ozierłagu”. Najpierw jest relacja Pani Anieli, która przytacza długie cytaty siedmiu innych łagierniczek (38 stron), a potem występują krótkie epizody napisane przez poszczególne osoby (w sumie 23 strony) i ułożone w następującej kolejności: Bogucka dwa epizody, Skalska – jeden, znowu Bogucka – trzy, Kuran – jeden, Bogucka – trzy, Skalska – jeden, i Bogucka – dwa. Trudno zrozumieć jaki jest sens takiego układu, nie jest on ani chronologiczny, ani też tematyczny, a zupełnie przypadkowy.

Większość sowieckich zwrotów i skrótów została wyjaśniona zarówno w liście Polek, jak i w poszczególnych relacjach, z wyjątkiem Ka-We-Cze (str. 193), co oznacza *Kulturno-Wospitatielnaja Czast'*, czyli Wydział Kulturalno-Oświatowy. Należy też zwrócić uwagę na to, że *pieriewospitanije* nie znaczy wychowanie (jak podano na str. 248) a powtórne, inne wychowanie. Nieścistość ta sugeruje niezrozumienie podłoża łagrów sowieckich, których teoretycznym celem było wychowanie na nowo ludzi, którzy uprzednio zostali wadliwie wychowani. A jak to wyglądało w praktyce, zostało już dawno opisane w wielu wspomnieniach z okresu 1939-1942 i omawiany zbiór relacji z okresu 1944-56 wnosi niewiele nowego. Owszem pojawili się w tym czasie w łagrach Japończycy, ale o ich pozytywnym nastawieniu do Polek pisała już wspomniana przeze mnie Urszula Muskus (str. 164). Pojawili się również Polacy z Harbina¹⁰, ale o nich pisał już obszernie ks. Józef Hermanowicz (Białorusin ze zgromadzenia Marianów)¹¹.

Dziedzina przeżyć sowieckich uprzednio nieco mniej znaną były zesłania na bezterminowe osiedlenia w głąb Sowie-tów, po odbyciu wyroku, co dla większości Polek występujących w tej książce przypadło w latach 1954-55. Lecz niestety właśnie rozdział poświęcony tym zesłaniom jest najmniejszy i obejmuje zaledwie 37 stron, jak również kilkanaście zdjęć z lat 1955-56.

10. Już czas zacząć pisać Harbin i hałwa, a nie z rosyjska Charbin i chałwa.

11. „Chiny – Sybir – Moskwa”, Veritas, Londyn 1966.

Tematem relacji przytoczonych w tej książce są prawie wyłącznie warunki bytowania w łagrach i na zesłaniu. Nie sposób z nich dowiedzieć się, co te młode podówczas Polki myślały i jakie miały, poza materialnymi, problemy. Co sądziły o działaniach AK, które przyczyniły się głównie do ich uwięzienia? Kiedy dowiedziały się o tym, że Wschodnia Polska została wcielona do Sowieców i jak na to reagowały?

Kiedy dowiedziały się, że powojenne państwo polskie było komunistyczne i co o tym sądziły? Jak ustosunkowały się do Sowieców, do Rosjan, i do innych narodów sowieckich? Nic o tych sprawach z tej książki nie można dowiedzieć się. Jedynie tu i ówdzie, ale niewiele, napisały o swym stosunku do mężczyzn i o problemie zakładania rodzin.

Trudno zrozumieć dlaczego Autorki tych relacji ograniczyły się do spraw przyziemnych, mimo że szereg z nich pochodziło z rodzin inteligenckich i, jak wynika z przytoczonych w tej książce danych, uzyskało potem znaczne stanowiska. Wątpliwe, żeby już w czasie pobytu w Sowieciech zainteresowania ich były ograniczone jedynie do spraw materialnych. Należy przypuszczać, że ich niechęć do zapisywania przeżyć duchowych z okresu sowieckiego wynikała raczej z warunków i atmosfery, jakie panowały w PRL przez prawie pół wieku, niż z braku takich przeżyć. I jeżeli tak jest w rzeczywistości, jest to zjawisko naprawdę smętne.



Najmłodsza Dziewulska, Wanda, która przed wojną zdała maturę, jeszcze podczas wojny wyszła za mąż za dra Tadeusza Ginko, lekarza 1 Brygady Wileńskiej AK. Po wojnie był on profesorem Akademii Medycznej w Katowicach, gdzie starał się zaszczyć tradycje wileńskiego Klubu Włóczęgów.

Z.S. SIEMASZKO

GENERALICJA II RZECZYPOSPOLITEJ

Otrzymaliśmy kilka różnego typu opracowań biograficznych, dotyczących generałów Polski lat międzywojennych. Były więc zbiory prezentujące życiorysy odznaczonych Orderem Virtuti Militari, uczestników wojny polsko-bolszewickiej oraz tych, którzy wyszli z Pierwszej Kompanii Kadrowej i objęli stanowiska począwszy od dowódcy DOK wzwyż; mamy też prace stosujące kryterium pochodzenia¹. Piotr Stawecki jest pierwszym, który po próbie T. Kryski-Karskiego i S. Żurakowskiego podjął z powodzeniem próbę przedstawienia biografów wszystkich generałów II Rzeczypospolitej². Oprócz tych prac wykorzystane też zostały przez niego dotychczasowe publikacje o poszczególnych osobach, literatura pamiątnikarska i wspomnieniowa oraz liczne informatory, zwłaszcza z okresu międzywojennego. Przede wszystkim jednak ważne było sięgnięcie do, będących podstawowym źródłem tych życiorysów, akt personalnych w Centralnym Archiwum Wojskowym w Rembertowie, do których nie dotarli pracujący w Londynie T. Kryski-Karski i S. Żurakowski. Akta personalne zawierają podstawowe informacje, bez których napisanie tej książki byłoby niemożliwe, choć obejmują one dane tylko do lat 30-tych włącznie; szukanie szczegółów dotyczących powojennych losów generałów i informacji o dacie i miejscu ich

1. Do najważniejszych do tej pory prac, w których zamieszczone zostały życiorysy generałów polskich tego okresu, należą: T. Kryski-Karski, S. Żurakowski, „Generałowie Polski Niepodległej”, W-wa 1991; „Kawalerowie Virtuti Militari 1792-1945”, pod red. B. Polaka, Koszalin 1991; „Kto był kim w Drugiej Rzeczypospolitej”, pod red. Jacka Majchrowskiego przy współpracy Grzegorza Mazura i Kamila Stepana, W-wa 1994; A. Suchcitz, „Generałowie wojny polsko-sowieckiej 1919-1920. Mały Słownik Biograficzny”, Białystok 1992; J. Giza, „Sądecki generałowie”, Kraków 1993.

2. P. Stawecki, „Słownik biograficzny generałów Wojska Polskiego 1918-1939”, Wydawnictwo Bellona, Warszawa 1994.

śmierci jest bardzo żmudne i czasochłonne.

Praca Piotra Staweckiego uświadamia nie tylko wielkość korpusu generalskiego, ale także wytrwałość Autora, który – jak sam przyznaje – pracował nad tym dziełem około ćwierć wieku. Nadmienić należy, że wiele z dotychczasowych wyników swych badań opublikował na łamach „Polskiego Słownika Biograficznego”. Nawiasem mówiąc, dotychczasowy dorobek tego wydawnictwa, liczący już ponad 60 życiorysów generałów, został przez Autora sumiennie uwzględniony; szkoda jedynie, że zakradły się przy tym pewne usterki (np. biogram gen. K. Sawickiego zamieścił tam jeden z nas, a nie, jak podano, S. Jellenta)³.

Życiorysy poprzedza cenny rozdział wstępny, zawierający informacje o korpusie generalskim II Rzeczypospolitej, jego pochodzeniu z armii zaborczych lub Legionów, opinie wystawione poszczególnym generałom przez Marsz. J. Piłsudskiego oraz tabele dotyczące różnych kwestii szczegółowych np. podające stanowiska zajmowane przez nich latem 1920 r., w czasie wojny polsko-sowieckiej, czy też wykaz generałów, którzy zginęli z rąk okupantów niemieckich i sowieckich lub zmarli w niewoli w czasie II wojny światowej.

Życiorysy – zredagowane według zasad obowiązujących w „Polskim Słowniku Biograficznym”, choć krótsze od nich – zawierają najistotniejsze dane o poszczególnych osobach; przedstawiają cały przebieg służby, często poczynając od armii zaborczej, a także dalsze losy już po przejściu na emeryturę. Ta część wielu życiorysów – pomijając oczywiście bardziej znane – była najtrudniejsza do opracowania: brak jest dokładnych danych w aktach personalnych, ponadto po wybuchu II wojny światowej ludzie „wypadali” ze swych naturalnych kolein życiowych, wędrowali po różnych krajach i ginęli w różnych okolicznościach.

Zaraz po wojnie o postaciach przedwojennych generałów panowało w kraju kompletne milczenie i o śmierci kogoś z nich wiedziała tylko jego najbliższa rodzina. Stąd też w wielu przypadkach można było jedynie napisać: zmarł po 1938 roku lub po 1939 roku. Jest rzeczą zrozumiałą, że we wszystkich

3. G. Mazur, „Sawicki Kazimierz”, Polski Słownik Biograficzny, t. XXXV, z. 146 – r. 1994, s. 326-329.

zyciorysach główny nacisk położony jest na służbę w WP, mniejszą zaś uwagę poświęcono wcześniejszej w wielu przypadkach służbie w armiach zaborczych. Często zresztą świetna kariera w tych armiach świadczyła o znakomitych talentach dowódczych oficerów polskiego pochodzenia (np. w armii austriackiej Tadeusza Rozwadowskiego i Stanisława Szepetyckiego). Z kolei jako mało znaną ciekawostkę można przytoczyć fakt, że niektórzy z generałów, służący wcześniej w armii rosyjskiej, brali udział w tak egzotycznych dla Polaków działaniach, jak tłumienie powstania „bokserów” w Chinach 1900-1901 (m.in. B. Babiański, W. Iwaszkiewicz-Rudoszański, E. de Henning-Michaelis, A. Osiński), wojna chińsko-japońska 1895 (W. Iwaszkiewicz-Rudoszański), czy – co jest bardziej znane i w czym już więcej oficerów uczestniczyło – wojna rosyjsko-japońska 1904-1905.

Przy pozytywnej ocenie recenzowanej pracy, chcielibyśmy zwrócić uwagę na pewne dyskusyjne kwestie. Zaczniemy od cezury. Cezury czasowe są oczywiste – praca obejmuje lata międzywojnia, a więc Autor potraktował II Rzeczypospolitą w sposób zamknięty nie wychodząc poza jej ramy. Oznacza to, iż nie uwzględnieni zostali w niej generałowie awansowani na ten stopień przez władze emigracyjne. I choć zapewne niektórzy będą z tym dyskutować, to jednak cezura jest jasna i wyraźna. Sprawą rzucającą się w oczy i wymagającą wreszcie precyzyjnego wyjaśnienia jest kwestia nazwisk, zwłaszcza legionistów. Problem polega na tym, iż część z nich swoje pseudonimy jeszcze z czasów strzeleckich, POW czy innych formacji – gdzie działalność wymagała konspiracji – z czasem włączyła do nazwisk. I tak mamy do czynienia z S. Zosikiem-Tessaro, S. Grzmotem-Skotnickim, M. Rysiem-Trojanowskim, B. Wieniawą-Długoszowskim. I dlatego też uważamy, iż nazwiska te umieszczać należy w kolejności alfabetycznej pod Z, G, R, W; nazwisko tak brzmiało wówczas i było to potwierdzone ogłoszeniem w *Monitorze Polskim*: Grzmot-Skotnicki czy Wieniawa-Długoszowski. Zwracamy na to uwagę, bo Autor jest niekonsekwentny. Mamy więc S. Biernackiego-Dąba, ale także S. Bukackiego-Burhardta. Co prawda, w tym drugim przypadku użyta pisownia jest prawidłowa – Bukacki to dawny pseudonim – jednakże powszechnie przy-

jęta została forma: Burhardt-Bukacki. Z kolei przy gen. Zosik-Tessaro, „Zosik” wymieniono tylko jako pseudonim, podczas gdy stał się on częścią dwuczłonowego nazwiska. Trzeba to ujednoclić i szkoda, że ta właśnie praca tego nie uczyniła. M. Neugebauer-Norwid jest umieszczony w tej kolejności członów nazwiska, zaś na str. 19 i 30 wymieniony już w prawidłowej. Podobna sytuacja ma miejsce w stosunku do marsz. E. Śmigłego-Rydza, którego prawidłowa kolejność członów nazwiska jest taka i tak też jest w dokumentach; w recenzowanej pracy występuje on pod Rydz-Śmigły. Kwestią istotną i często myloną jest nazwisko premiera Składkowskiego z tej racji, iż pierwsze jego imię Sławoj było dlań pseudonimem włączonym potem do nazwiska, a więc tak naprawdę, pełne jego nazwisko winno brzmieć Sławoj Felicjan Sławoj-Składkowski (bo będąc dodane do nazwiska imię przecie nie zniknęło).

A nawiasem mówiąc, należałoby przy każdym nazwisku dwuczłonowym lub zmienionym podać pierwotne, rodowe brzmienie. Uczyniono tak przy gen. Franciszku Krajewskim, gdzie znalazła się informacja o nazwisku rodowym: Kraliček, przy gen. G. Orlicz-Dreszerze (nazwisko rodowe: Drescher), choć niekonsekwentnie zabrakło tej informacji przy jego bracie, gen. Rudolfie Dreszerze. Także przy gen. Juliuszu Rómmelu pominięto pierwotne brzmienie nazwiska: von Rummel; generał wywodził się ze spolonizowanej rodziny szlachty kurlandzkiej. Podobnie przy gen. Pawle Szymańskim należy zamieścić nazwisko rodowe: Szymczuk, a przy biskupie polowym S. Gallu: Gała. Natomiast książka pana P. Staweckiego jest bodaj pierwszą w naszej historiografii, gdzie znajduje się rodowe nazwisko gen. Michała Żymierskiego (Łyżwiński). Brak jednak w jego życiorysie informacji o pozyskaniu go do współpracy z wywiadem sowieckim już w 1932 r., kiedy to przebywał na emigracji we Francji, zerwaniu kontaktu w 1937 r. i wznowieniu współpracy wywiadowczej w 1942 r. Sprawa co prawda wstydliva i mało znana, ale już parę lat wcześniej została opisana przez J. Poksińskiego⁴.

4. J. Poksiński, „TUN”. Tatar – Utnik – Nowicki”, W-wa 1992, s. 208-219. Ostatnio zresztą w *Zeszytach Historycznych* E. Halicz w

Trzeba też wspomnieć o pewnych usterkach w informacjach o pseudonimach; gen. Tokarzewski-Karaszewicz posługiwał się w Służbie Zwycięstwu Polski pseudonimem „Torwid”, a nie „Tarwid”. Nie ma to co prawda wiele wspólnego z wojskiem, ale warto było wspomnieć, że był on wybitnym masonem. Następnie, gen. K. Sawicki – o czym brak wzmianki – posiadał w Związku Walki Zbrojnej – Armii Krajowej pseudonimy „Pрут” i „Opór”, zaś dowodził tam Obszarem Lwowskim (a nie „Południe” – tym mianem określano istniejący do 1.VII.1941 r. Obszar Krakowsko-Śląski). Należałoby także podać używane przezeń w czasie I wojny światowej pseudonimy w POW, m.in. „Zawisza”.

Autor posługuje się nieprecyzyjnym słownictwem, pisząc na przykład, że Litwinowicz wstąpił do Legionów Polskich 1.VIII.1914 r., zaś Kruszewski 3.VIII tegoż roku. Było to o tyle trudne dla nich do wykonania, iż Legiony powstały nieco później (choć w licznych aktach personalnych jako data rozpoczęcia służby wojskowej podany jest właśnie 1.VIII 1914 r.). Z kolei przy innych biografjach wojskowych podaje daty o wydarzeniach w nie istniejących już jednostkach. Np. trudno jest napisać przy H. Paszkowskim, że od października 1914 r. dowodzi kompanią kadrową I Brygady Legionów Polskich, należy napisać którą, bo było ich potem kilka (przynajmniej trzy), ale po pierwsze z wyjątkiem kilku dni sierpnia terminu „kadrowa kompania” nie używano, jako że nastąpiły przekształcenia organizacyjne i jednostki otrzymały numery, po drugie zmiany te spowodowały, iż trudno jest mówić o istnieniu tej kompanii. I skoro jesteśmy przy I Kompanii Kadrowej to jeszcze jedna uwaga, przy Paszkowskim i Burhardcie Autor pisze, że dowódcami plutonów w niej zostali

recenzji książki T. Pióro („Armia ze skazą. W Wojsku Polskim 1945-1968”. Wspomnienia i refleksje, W-wa 1994) napisał: „Wizerunek Roli Żymierskiego jest nakreślony trafnie, expressis verbis mówi się o jego powiązaniach z wywiadem sowieckim od lat trzydziestych, a w ten sposób odrzuca się kategorycznie przeinaczanie faktów dokonywane przez długie lata, a w szczególności zaś fałszywe podane o Roli-Żymierskim w pracy wydanej stosunkowo niedawno przez Wojskowy Instytut Historyczny (1983) (...)” (E. Halicz, „Armia ze skazą”, *Zeszyty Historyczne*, Paryż, 1995, z. 111, s. 198). Niestety na ten właśnie panegiryk powołuje się Autor.

6.VIII, zaś przy J. Kruszewskim tylko, że wstąpił do Legionów 3.VIII, gdzie objął dowództwo plutonu w I Kompanii Kadrowej bez podania daty dziennej. Otóż trzeba wyraźnie powiedzieć, że wszyscy oni, podobnie jak dowódca Kompanii Tadeusz Kasprzycki oraz Kazimierz Piątek („Herwin”) objęli dowództwo 3.VIII w momencie sformowania owej kompanii, dzień zaś 6.VIII to dzień wymarszu kadrówki.

Jest rzeczą niemożliwą, by przy tego typu pracy nie popełnić błędów, tym bardziej, iż jak jeden z nas sam doświadczył przygotowując biografię generała Wieniawy-Długoszowskiego, w kilku miejscach, wszystkich wiarygodnych, potrafi znajdować się inna data urodzenia. Ale gdy mamy do czynienia z opracowanym już dokładnie życiorysem któregoś z generałów, nie powinno się pewnych błędów popełniać. Pozostając przy Wieniawie pragnę zwrócić uwagę na kilka, wynikających z przeoczenia bądź nieprecyzyjnego wyrażania się Autora. I tak po kolei: ostatni jego stopień wojskowy to generał dywizji. Co prawda w wydawnictwach ogłaszających te nominacje nigdzie nie napotkaliśmy wiadomości o niej, ale istnieje, podpisany przez Prezydenta Mościckiego, akt owej nominacji⁵. Fakt ten potwierdza również fotografia samego Wieniawy, który podczas oficjalnych uroczystości w Rzymie występuje w mundurze z takimi dystynkcjami. Druga sprawa: do oddziału W. Beliny-Prażmowskiego wstąpił on nie 6.VIII, kiedy to jako piechur wyruszył w pole z Kadrówką, lecz trzy cztery dni później; różne źródła podają odmienne daty. Inną sprawą, niewątpliwie bardzo ważną, jest kwestia desygnowania go przez Mościckiego na swego następcę. Warto by może dodać, iż urzędu tego nie objął, bo w przeciwnym wypadku powstaje poważne niedopowiedzenie. I jeszcze dwie kwestie natury osobistej: córkę Zuzannę miał z Bronisławą Berenson, tzn. z drugą żoną, nie zaś z pierwszą – Stefanią Calvas, która zresztą w tym samym roku (1920) urodziła syna generałowi Skotnickiemu. Druga sprawa dotyczy wyznania – stwierdzenie, że był ewangelikiem reformowanym jest mylące, gdyż był nim niejako *en passant* – tylko dla uregulowania

5. Opublikowany w pracy: J.M. Majchrowski, „Ulubieniec Cezara. Bolesław Wieniawa-Długoszowski: zarys biografii”, Wrocław 1990.

spraw osobistych, podobnie jak uczynił to Piłsudski i wielu innych, a potem powrócił na łono kościoła rzymskokatolickiego.

Inną kwestią dyskusyjną jest nieuwzględnienie przez Autora tzw. generałów kontraktowych, wśród których było sześciu Gruzinów. Są oni wymienieni w pracy T. Kryski-Karskiego i S. Żurakowskiego. Nie byli oni co prawda obywatelami polskimi, ale w Wojsku Polskim służyli i stopnie generalskie posiadali. Wydawałoby się więc konieczne wspomnienie o nich, tym bardziej, że o oficerach kontraktowych w WP zupełnie w literaturze przedmiotu zapomniano.

W sumie, mimo tych wszystkich uwag natury dyskusyjnej, otrzymaliśmy książkę bardzo przydatną, będącą podsumowaniem badań prowadzonych przez wiele lat zarówno przez samego Piotra Staweckiego, jak i innych historyków. Jest to praca ważna, obrazująca losy bardzo wpływowej i znaczącej grupy społecznej w II Rzeczypospolitej. Należy tylko żywić nadzieję, że następcom Staweckiego cierpliwość pozwoli na kontynuowanie badań i poszerzenie stanu naszej wiedzy o polskich generałach.

Jacek M. MAJCHROWSKI, Grzegorz MAZUR

Krzysztof Tarka

RZĄD NA UCHODŹSTWIE

Niepodległość i suwerenność państwa, wolne wybory przyniosły spełnienie podstawowych postulatów emigracji politycznej, stanowiły zarazem jej faktyczny kres. Nadeszła więc szansa (i konieczność) gruntownego opracowania i przybliżenia tego zamkniętego w dziejach polskiego uchodźstwa

okresu. W 1992 r. Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie podjęło myśl wydania „Materiałów do dziejów polskiego uchodźstwa niepodległościowego w latach 1939-1991”. Jako pierwszy ukazał się obszerny, liczący ponad 1000 stron druku, tom poświęcony władzom RP na obczyźnie podczas II wojny światowej*. Kolejne tomy (łącznie 7) dotyczyć mają rozmaitych aspektów funkcjonowania i działalności emigracji od końca wojny aż po czasy współczesne (mobilizacja uchodźstwa do walki politycznej, kierownictwo obozu niepodległościowego na obczyźnie, akcja niepodległościowa na terenie międzynarodowym, pomoc krajowi przez niepodległościowe uchodźstwo, zakończenie działalności władz RP na uchodźstwie, wybór dokumentów).

Jeśli działalność rządu polskiego w latach 1939-1945 jest stosunkowo niezłe poznana (stała się ona tematem kilku wydanych ostatnio publikacji), to powojenne dzieje emigracji politycznej są dla krajowego czytelnika, a często i badacza, swoistą *terra incognita*. W efekcie emigracja nie istniała niemal w społecznej świadomości. Zmiana nastąpiła dopiero w ostatnich latach. Stąd zapowiedź kilkutomowej edycji materiałów do dziejów powojennego wychodźstwa wydaje się prawdziwą rewelacją. W opracowaniu poszczególnych tomów uczestniczą historycy z kraju i emigracji.

Na tom pierwszy, dotyczący władz na uchodźstwie w latach II wojny światowej, złożyło się 18 artykułów i kalendarium. Autorzy przedstawili działalność trzech kolejnych rządów, na czele których stali gen. Władysław Sikorski, Stanisław Mikołajczyk i Tomasz Arciszewski, Rady Narodowej RP (*quasi*-parlamentu na emigracji). W osobnych szkicach omówiono politykę wojskową, krajową i zagraniczną władz emigracyjnych. Szkoda, iż zabrakło odrębnego opracowania poświęconego osobie prezydenta, Władysława Raczkiewicza.

Odbudowę i działalność władz RP w okresie „francuskim” w obszernym artykule ukazał Tadeusz Wyrwa. Po internowaniu władz polskich w Rumunii powołanie nowego prezydenta („transfer prezydentury”) odbyło się nie bez kłopotów. Wyrwa podkreślił, iż „Ingerencja rządu francuskiego w sprawę wyznaczenia następcy prezydenta Mościckiego,

*„Władze RP na obczyźnie podczas II wojny światowej 1939-1945”, Materiały do dziejów polskiego uchodźstwa niepodległościowego, t. 1, pod red. Zbigniewa Błażyńskiego, Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie, Londyn 1994, ss. 1011.

zwłaszcza metoda tej ingerencji, była brutalnym narzuceniem woli Francji w zamian za udzielenie gościny naczelnym władzom Polski. Ale – trzeba jednak bezstronnie przyznać i co bynajmniej nie usprawiedliwia bezwzględności rządu francuskiego – Polacy w pewnym stopniu sami sprowokowali Francję do zajęcia takiego stanowiska”. Z ubolewaniem dodał, że tworzeniu rządu gen. Sikorskiego towarzyszył „nienawistny stosunek do rządu przedwrześniowego. Przedwojenna ekipa rządowo-wojskowa musiała być zastąpiona, lecz nie powinno to być oznaczać zerwania ze wszystkimi i ze wszystkim, co ekipa ta i poszczególni jej członkowie reprezentowali. Bez względu bowiem na ocenę działalności tego rządu, sympatię czy antypatię, jakimi każdy miał prawo darzyć poszczególnych jego członków, metody stosowane wobec nich chluby naszym przywódcom nie przynoszą i sprawie polskiej wyrządzały duże szkody”. Wyrwa trafnie zwrócił zwłaszcza uwagę na fakt, iż „Wraz z krytyką rządu przedwrześniowego szła w parze izolacja członków tego rządu, którzy najwięcej mieli danych po temu, żeby upominać się u sojuszników o wypełnienie ich zobowiązań zaciągniętych przed wojną wobec Polski”.

Jednym z ciekawszych jest artykuł Magdaleny Hułas „Podstawy prawne działania rządu RP na obczyźnie”. Zgodnie z prawem konstytucyjnym i międzynarodowym powołanie rządu polskiego na emigracji, podkreśliła autorka, odbyło się z zachowaniem zasady legalizmu i ciągłości prawnej.

W swym drugim artykule, dotyczącym polityki rządu gen. Sikorskiego, Hułas zwróciła uwagę na znaczenie relacji polsko-sowieckich (lub polsko-radzieckich, jak chce autorka): „czynnikiem poważnie ograniczającym możliwości skutecznego działania rządu RP były stosunki polsko-radzieckie i polityka ZSRR. Problem ten dotyczył praktycznie wszystkich obszarów aktywności rządu, a przede wszystkim stosunków z innymi sojusznikami; im gorsze były stosunki między ZSRR a Polską, tym trudniej było stronie polskiej umacniać dobre stosunki z innymi rządami uchodźczymi i z rządem brytyjskim, i tym trudniej było zyskać ich poparcie dla polskich celów wojennych”. Rzecz tylko w tym, że to nie rząd polski dążył do pogarszania relacji ze Związkiem Sowieckim.

Na czele ostatniego wojennego rządu (rządu protestu narodowego) stanął Tomasz Arciszewski. Jego działalność, to temat stosunkowo najślabiej opracowany w historiografii spośród trzech wojennych rządów. Nie mając *de facto* popar-

cia aliantów zachodnich nie zdołał on ocalić nie tylko integralności terytorialnej, ale i suwerenności Polski. Pozostało mu, jak zaznaczył Andrzej Suchcitz, „wydawanie odezw, pisanie memoriałów i protestów przeciwko nowemu rozbiorowi i zniewoleniu kraju”. Na marginesie dodajmy, iż Suchcitz pomylił tzw. Rząd Tymczasowy z Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej. Ten pierwszy powstał w kraju, w noc sylwestrową z 1944 na 1945 r., drugi utworzono w Moskwie (Komisja Trzech) 28 czerwca 1945 r. (rząd sowiecki nie mógł go więc uznać, jak napisał Suchcitz, 4 stycznia 1945 r.). Co prawda podstawę obu tych rządów tworzyli działacze PKWN, na ich czele stał Edward Osóbka-Morawski, oba były też zdominowane przez komunistów (choć wicepremierem TRJN był Mikołajczyk), były to jednak dwa różne ciała. Ostatecznie, 5 lipca 1945 r., Wielka Brytania i Stany Zjednoczone uznały TRJN, cofając jednocześnie uznanie Rządowi RP na Uchodźstwie.

Zbigniew Wawer omówił formowanie sił zbrojnych poza granicami kraju. Utworzenie armii polskiej było jednym z ważniejszych zagadnień w polityce rządu. Ogromną wagę do tej kwestii przywiązywał premier i naczelny wódz, gen. Sikorski. Rozumiał on, iż było to nie tylko zagadnienie natury militarnej, ale i politycznej.

Bodaj najlepsze z pomieszczonych w tomie jest obszerne (ponad 100-stronicowe) opracowanie Marka Kazimierza Kamińskiego „Zarys polityki zagranicznej rządu RP na obczyźnie 1939-1945”. Wykorzystując literaturę przedmiotu i archiwalia londyńskie (Instytut Polski i Muzeum im. gen. Sikorskiego) autor ukazał najistotniejsze elementy polityki zagranicznej rządu polskiego w latach 1939-1945 (relacje polsko-sowieckie, miejsce Polski w polityce rządu francuskiego, brytyjskiego i amerykańskiego, kontakty polsko-czechosłowackie na emigracji). Swe opracowanie wzbogacił o kilka interesujących, a do tej pory pomijanych w historiografii kwestii (np. kontakty z emigracją litewską). Możliwości skutecznego wywierania wpływu przez rząd na arenie międzynarodowej były ograniczone i wraz z upływem czasu słabły. Kamiński podkreślił, iż już w początkowym okresie wojny „polski Premier i Naczelny Wódz nie był traktowany przez aliantów jako przedstawiciel państwa będącego równorzędnym partnerem Francji i Wielkiej Brytanii”. W efekcie „Rzeczpospolita faktycznie nie znalazła się w gronie zwycięskich państw w drugiej wojnie światowej. Polska polityka zagraniczna okazała się bezsilna

wobec dyktatu trzech najsilniejszych członków koalicji antyniemieckiej”.

Wiele interesujących informacji zawiera również artykuł Edwarda Kołodzieja „Rola polskich placówek dyplomatycznych i konsularnych w latach 1939-1945” (w aneksie autor przedstawił np. obsadę personalną polskich placówek dyplomatycznych w latach II wojny w 52 państwach świata). Do priorytetowych zadań MSZ, obok opieki i ewakuacji polskich uchodźców, należało „uzyskanie dla rządu co najmniej takiego prestiżu, jakim cieszył się emigracyjny rząd belgijski w latach I wojny światowej”.

Krzysztof TARKA

Tadeusz WYRWA

LOTNY ODDZIAŁ A.K. „SZARUGI” NA LUBELSZCZYŹNIE

Sytuacja w Polsce do lat dziewięćdziesiątych z jednej strony i z drugiej beztroski stosunek środowisk akowskich na emigracji, z ich centralą w Londynie, do działalności podziemnej w okręgach poza Warszawą spowodowały, że działalność ta była bądź to przemilczana, bądź też zniekształcana, a przeważnie świadomie fałszowana przez autorów krajowych, zgodnie z tym co odpowiadało ludziom piastującym władzę i różnym, na ich usługach, terenowym kacykom. Przyczyny tego stanu rzeczy w kraju są ogólnie znane i nie wymagają ściślejszych wyjaśnień. Nie zawsze natomiast tak jest gdy chodzi o ośrodki akowskie na Zachodzie.

Warto przeto przypomnieć, że za granicą znaleźli się w ogromnej większości uczestnicy Powstania Warszawskiego z gen. Borem-Komorowskim i gen. Pełczyńskim na czele. Dzieje A.K. ograniczano przeważnie do Powstania, reszta uważana

była za peryferie walczącego Podziemia. Skutek był taki, że dyskutowano i pisano głównie o Powstaniu - i to przede wszystkim na polski użytek - zostawiając ugiorem nie opracowane całe obszary podziemnej działalności, dzisiaj trudne niejednokrotnie do odtworzenia. Do braku archiwalnej dokumentacji dochodzi bowiem to, że niewielu już zostało przy życiu uczestników i świadków wydarzeń i fakt ten ułatwia utrwalanie tego, co koniunkturalnie zostało wyprodukowane lub przemilczane ze szkodą dla prawdy historycznej.

Tym większe przeto zainteresowanie powinna budzić ostatnia książka Jerzego R. Krzyżanowskiego¹. Autor tej książki, żołnierz A.K., najpierw w konspiracyjnych „Szarych Szeregach”, potem w oddziałach partyzanckich Okręgu Lublin, zostaje aresztowany przez NKWD w listopadzie 1944 r. i deportowany do Rosji, skąd powraca jesienią 1947 r. Od 1959 roku mieszka w Stanach Zjednoczonych, gdzie po ukończeniu studiów doktorskich wykładał literaturę polską kolejno na kilku uniwersytetach, a ostatnio w Ohio University, idąc tym samym śladem swojego ojca prof. Juliana Krzyżanowskiego, wybitnego historyka literatury.

Jerzy R. Krzyżanowski ma bogaty dorobek literacki, w którym przeważają tematy akowskie tak z okresu wojennego, jak i późniejszych ich losów. Serię książek z tej dziedziny otwiera pierwsza biografia w formie powieściowej o generale Leopoldzie Okulickim - „Niedźwiadku”, ostatnim dowódcy A.K.² Następna książka pt. „Diana”³ jest „powieścią o miłości zniszczonej przez Historię” w wyniku wojennych powikłań. Akcja trzeciej z kolei powieści Krzyżanowskiego „Banff”⁴ toczy się na dwóch płaszczyznach: pokolenia akowskiego i pokolenia wychowanego w ustroju komunistycznym.

Omawianą tutaj książkę prof. Krzyżanowski poświęcił pamięci „kolegów ze Specjalnego Oddziału Lotnego Szarugi

1. „U Szarugi. Partyzancka opowieść”, Norbertinum, Lublin 1995, str. 326 oraz liczne zdjęcia, rysunki i dokumenty.

2. „Generał. Opowieść o Leopoldzie Okulickim”, Odnova, Londyn 1980, str. 243, a później wyszło wydanie krajowe.

3. „Diana”. Powieść, Bicentennial Publishing Corporation, Nowy Jork 1986, str.184.

4. „Banff”. Powieść, Instytut Literacki, Paryż 1988, str. 156.

– Aleksandra Sarkisowa w Okręgu Lubelskim Armii Krajowej”. Autor, żołnierz tego oddziału, pseudonim „Szpic”, w stopniu plutonowego podchorążego, oparł się w swej pracy na pamiętniku pośpiesznie spisywanym w listopadzie 1944, a więc zaraz po zakończeniu działań partyzanckich, pamiętniku który ocalał (przesłany do matki kilka minut przed aresztowaniem w listopadzie 1944 r.) i dotarł do niego w USA. Następnie wykorzystał gromadzony przez wiele lat materiał, w tym dokumentację i wspomnienia kolegów, oraz urywki własnych esejów i poematów. W ten sposób powstała literatura opracowana historia Oddziału Lotnego „Szarugi”, który został utworzony celem przyjmowania zrzutów lotniczych.

Oddział ten odebrał w sumie 11 zrzutów, pierwszy w nocy z 9 na 10 października 1943 a ostatni z 28 na 29 maja 1944 roku, oraz odegrał kluczową rolę w przygotowaniu i zabezpieczeniu akcji pierwszego „Mostu” z 15 na 16 kwietnia 1944 r. Kryptonimem „Most” określano wówczas lądowanie samolotu alianckiego, na uzgodnionym konspiracyjnie terenie, samolotu który oprócz zaopatrzenia przywiózł, w danym wypadku, 4 cichociemnych i zabrał do Londynu 5 wysłanników, wśród nich gen. Stanisława Tatara. Partyzanci byli dumni, że wzięli udział w „pierwszym po pięciu prawie latach moście trwale łączącym walczący kraj z walczącą na Zachodzie armią”. O oddziale „Szarugi” nie spotkałem żadnego śladu w wydawnictwach emigracyjnych z wyjątkiem wymienienia go w dokumentach książki Tadeusza Żencykowskiego, w załączonym tam tekście wyroku reżimowych władz, skazującego w grudniu 1944 r. na śmierć lub długoletnie więzienie szesnastu żołnierzy tego oddziału⁵.

Pierwszy rozdział książki pt. „Przyrzeczenie”, harcerskie przyrzeczenie składane przed samą wojną przez Autora w obecności Aleksandra Sarkisowa – przyszłego „Szarugi”, jest nawiązaniem do wychowania młodzieży w tradycji jednoczącej pokolenia, czego dowodem była tworzona wkrótce konspiracja, w której przeważała na ogół licznie dorastająca wówczas młodzież. Autor przechodzi następnie do organizo-

5. Zob. Tadeusz Żencykowski, „Polska Lubelska 1944”, Editions Spotkania, Paryż 1989, str. 308-314.

wania konspiracji i później oddziału partyzanckiego, pod dowództwem „Szarugi”, występującego początkowo pod pseudonimem „Czarnota”. Pod koniec 1943 roku oddział zaczął się powiększać, ochotników zgłaszało się wielu, ale brak było broni, podobnie jak i na innych terenach. Posiadanie broni – jak pisze Krzyżanowski – „przywracało godność sponiewieraną we wrześnie”, umacniało poczucie przynależności do armii podziemnej. Zaczynano od znalezionych po kampanii wrześniowej kilku karabinów i pistoletów, które posłużyły do zdobywania uzbrojenia na Niemcach.

Latem 1943 roku płk Kazimierz Tumidajski, pseudonim „Marcin”, komendant Okręgu Lubelskiego A.K. zaproponował por. (później w stopniu kapitana) „Szarudze”, żeby ze swoim oddziałem przyjmował zrzuty. „Szaruga” chętnie się zgodził i tak powstał pod jego dowództwem Specjalny Oddział Lotny. Przyjęcie pierwszego zrzutu – jak już wspomniałem w nocy z 9 na 10 października 1943 roku – ze współdziałaniem oddziału Kedywu dowodzonego przez por. Jana Poznańskiego, pseudo „Ewa” – było dla partyzantów „Szarugi” wielkim wydarzeniem i po otwarciu metalowych zasobników pieoszono w rękach wymarzoną broń, pożerano ją wzrokiem tym większym, że nie wszystko mogli zatrzymać dla siebie. Później były następne zrzuty. Czuwali, „tkwili uchem przy miniaturowych radioodbiornikach, czekali na tę jedną, umówioną melodię mającą zapowiedzieć przyłot z wolnego świata...”.

Tymczasem oddział powiększał się i złożony z chłopców z konspiracyjnych placówek, głównie okolicznych wsi, „wyrósł na bojową i zdolną do walki jednostkę Wojska Polskiego”. Podczas zimy byli porozmieszczani na kwaterach, w żargonie konspiracyjnym nazywanych melinami, w podlubelskich wioskach, gotowi każdej chwili do akcji i przyjmowania zrzutów.

Plastycznie oddaje Krzyżanowski m.in. uciążliwość marszów partyzanckich, przeważnie w nocy, czym ciemniejszych tym bardziej bezpiecznych, z omijaniem wiosek po błotnistych drogach, w przemoczonych a niejednokrotnie w dziurawych butach i z zamykającymi się ze zmęczenia oczami. Jeden z tych marszów zakończył się dramatem. „Szaruga” wysłał

część oddziału pod dowództwem „Żegoty” w okolice Kijan celem podjęcia zrzutu. Wbrew rozkazowi „Szarugi”, żeby powrócić jeżeli nie zdołają przekroczyć szosy warszawskiej do godziny pierwszej w nocy, co okazało się niemożliwe, maszerowali do godz. 5 rano i wyczerpani marszem, zwaleni dosłownie z nóg, zakwaterowali we wsi Marysin koło Lublina. W nie wyjaśnionych dokładnie okolicznościach zostali osaczeni przez Niemców i w nierównej walce nastąpiła rzeź partyzantów. Straty oddziału wyniosły ponad dwudziestu zabitych i zaginionych, a wśród nich nie wszystkie nazwiska są do dzisiaj znane.

Po uzupełnieniu stanu, oddział „Szarugi” liczył wiosną 1944 r. stu trzydziestu partyzantów dobrze uzbrojonych i umundurowanych, był u szczytu swojego rozwoju. W tym samym czasie zaszły zmiany w lubelskiej Komendzie Okręgu, gdzie znaleźli się ludzie nieprzychylni „Szarudze”, którym „powodzenia i atmosfera oddziału musiały być solą w oku”. Nie był to wypadek odosobniony, bo na innych terenach dochodziło również do nieporozumień, gdyż konspiracyjne sztaby Okręgów pracowały w innych warunkach niż wymagała tego działalność partyzantów, wzajemnie żytych i solidarnie podporządkowanych wspólnemu losowi, co nie zawsze szło w parze z narzucanym hierarchicznie „drylem” zawodowych wojskowych. Rozkazem Komendy Okręgu oddział „Szarugi” został podzielony na trzy odrębne oddziały. „Szaruga” miał zatrzymać tylko około dwudziestu ludzi, ale wkrótce dołączyli do niego wierni mu partyzanci z rozdzielonych oddziałów, a wśród nich Krzyżanowski.

Walki powstańczej „Burzy” na tyłach frontu niemiecko-sowieckiego w Okręgu Lubelskim poprzedzone były echemi nadchodzącej ze Wschodu burzy z fatalnymi jej później skutkami, na które oddziały partyzanckie nie były przygotowane, a co najgorsze nie były poinformowane o losie, jaki spotkał oddziały A.K. na innych terenach, zwłaszcza 27 Dywizję na Wołyniu. Wraz ze zbliżaniem się frontu wzmożona została wszędzie działalność dywersyjnych oddziałów sowieckich i ugrupowań im podporządkowanych. Do nich należało zgrupowanie partyzanckie dowodzone przez płk. Roberta Satanowskiego, który przeszkolony w Moskwie prze-

wyszedł z Wołynia na Lubelszczyznę, werbując ludzi do armii Berlinga. Doszło również do spotkania z „Szarugą”, które wówczas nic nie dało.

Był to też końcowy okres istnienia oddziału „Szarugi”, z ostatnią jego bitwą dnia 25 lipca 1944 i poniesioną tam w Bychawie klęską. Krzyżanowski nie brał w niej udziału, gdyż dwa dni wcześniej został wysłany do zabezpieczenia lądowania samolotów alianckich na lotnisku Świdnik pod Lublinem (za wykonanie tego zadania był przedstawiony do Krzyża Walecznych). W tym czasie oddział, rozbitý przez Niemców w Bychawie, przestał istnieć; reszty dokonali Sowieci rozbrajając żołnierzy A.K. Krzyżanowski, wraz ze starym również partyzantem Sławomirem Żerdzickim – „Sławkiem”, schował broń i mundury i w przebraniu cywilnym wyruszył do Lublina, gdzie dotarł z poranionymi od marszu nogami.

Kilkadziesiąt następnych stron książki Autor poświęcił „wyzwolonemu” Lublinowi i losom, jakie spotkały w wyniku tego „wyzwolenia” partyzantów z oddziału „Szarugi”, a więc i własnemu losowi. W pierwszych dniach po wejściu Armii Czerwonej w mieście panowała dwuwładza: z jednej strony sowiecka, z drugiej delegata Rządu Władysława Cholewy – „Paśnika” i komendanta Okręgu A.K. płk. Tumidajskiego – „Marcina”. Wkrótce lubelska idylla skończyła się aresztowaniem obu i deportowaniem ich do Rosji, gdzie Tumidajski zmarł w 1947 r. a kilka miesięcy później tego samego roku wrócił do Polski Cholewa ze zrujnowanym zupełnie zdrowiem.

„Szarudze” udało się wówczas uniknąć aresztowania (w grudniu 1945 r. znalazł się jednak w więzieniu, z którego wyszedł po czterech latach). W zaistniałej latem 1944 r. sytuacji był zdania, że „trzeba zmienić skórę, idzie o to tylko, żeby siebie nie zmienić, pozostać sobą”. Wydawało mu się, że żołnierze unikną aresztowania wstępując do armii Berlinga. Skorzystał przeto z propozycji wspomnianego już płk. Satanowskiego, który mając rzekomo zleczone przez gen. Rolę-Zymierskiego sformowanie dywizji piechoty złożonej z partyzantów, zaproponował „Szarudze” utworzenie i dowództwo jednego z pułków. Twierdzono wtedy, że „wkrótce i tak ma być ogłoszona mobilizacja, lepiej przeto iść do wojska jako

jednolita grupa niż dać się rozproszyć po różnych jednostkach”.

Tworzenie partyzanckiej dywizji było jedną iluzją więcej, ofiarą której padło kilkudziesięciu żołnierzy „Szarugi”, w tym i Krzyżanowski, iluzją ułatwiającą ujawnienie się akowców i następnie ich aresztowanie. Najtragiczniejszy los spotkał tych, których uwięziono w Kąkolewnicy (pisanej miejscami przez Autora Kąkolewica), wsi, która wraz z otaczającymi ją lasami zastąpiła jako miejsce masowych egzekucji. Tam też zginęło kilkunastu partyzantów z oddziału „Szarugi”, zamordowanych w barbarzyński sposób⁶. Krzyżanowski z kolei został aresztowany i osadzony w Obozie Internowanych Oficerów (miał wówczas stopień porucznika) A.K. w Skrobowie koło Lubartowa, a później deportowany do Rosji spędził tam dwa i pół roku w obozach⁷.

Z żalem w sercu pisał Autor po rozbrojeniu oddziału: „Nie ma już Armii Krajowej, nie ma już wolności wywalczonej na własnej ziemi. Obce wojska, obce ręce odebrały broń zdobywaną trudem długich lat... zniszczyli siłę i dumę konspiracji, pozostanie może tylko legenda...”. I rzeczywiście została, do czego przyczynia się książka prof. Krzyżanowskiego, stanowiąca świadectwo tego co było w dobrym i złym znaczeniu i co jest niezbędne do przetrwania legendy zbrojnego czynu Armii Krajowej i losu, jaki spotkał jej żołnierzy, zaskoczonych klęską nie tylko militarną, lecz i ideologiczną, o czym należy również pamiętać zwłaszcza z uwagi na to, co dzieje się obecnie w Polsce, jakże ciągle dalekiej od wizji ojczyźnianego Kraju z okupacyjnych lat.

Tadeusz WYRWA

6. Oprócz rozdziału w omawianej tutaj książce, str. 240 i nast., zob. Jerzy R. Krzyżanowski, „Kąkolewnica - podlaski Katyń” w *Zeszytach Historycznych* nr 95, Paryż 1991, str. 222-229.

7. Rozkaz o utworzeniu obozu w Skrobowie a później decyzję o jego rozwiązaniu i wywóźce uwięzionych tam żołnierzy A.K. do Związku Sowieckiego podpisał gen. Michał Rola-Żymierski. Zob. Janusz Cisek, „Dwa przyczynki do biografii Michała Żymierskiego” w *Tekach Historycznych* tom XX, Polskie Towarzystwo Historyczne w Wielkiej Brytanii, Londyn 1993, str. 314.

O INSUREKCJI KOŚCIUSZKOWSKIEJ I JEJ PRZYWÓDCACH

Aleksander Linowski, autor znanego paszkwilu politycznego *List do przyjaciela, odkrywający wszystkie czynności Kołłątaja w ciągu insurekcji, pisany roku 1795*, wyznawał z nie ukrywaną niechęcią w swojej broszurze:

„Powszechnym wszystkim (i moim jeszcze wtedy) było mniemaniem, że Kościuszko, Kołłątaj i Potocki, były trzy osoby jednym tchnące zupełnie duchem; dlatego w ciągu rewolucji każdy krok osobisty czynnego Kołłątaja miał postać pochodzić z woli pierwszego i z wspólnej rady z drugim. Sam Kościuszko dał mi to poznać przed jeszcze ich do Krakowa przybyciem”¹.

Cytowany dokument pisany jest piórem umaczanym w żółci oraz przepojony nienawiścią i śmiertelną urazą dotkniętego w swej ambicji wysokiego urzędnika władz powstańczych, którego intrygi Kołłątaj ukrócił, pozbywając się go ze stolicy w decydujących dla insurekcji momentach. Zarazem jednak paszkwil Linowskiego pisał człowiek stojący od samego początku bardzo blisko wszystkich najważniejszych spraw i wydarzeń roku 1794. Można więc w tym wypadku zaufać jego słowom, tym bardziej że znajdują one pełne potwierdzenie w wypowiedziach osób, które z racji swych obowiązków służbowych zobligowane były do maksymalnej wiarygodności czynionych obserwacji i składanych oświadczeń. Mowa tu o rezydentach państw ościennych w Warszawie, Benedyckie de Caché – pośle austriackim oraz Ludwiku Buchholtzu – pośle pruskim. Pierwszy z nich wspominając w raportach do Wiednia o Ignacym Potockim i Hugonie Kołłątaju, informował swych przełożonych: „Obu ich się uważa powszechnie za

1. Korzystam z II wyd. „Kołłątaj w rewolucji kościuszkowskiej”, Leszno i Gniezno 1846, s. 21-22.

głównych inspiratorów powstania, jakkolwiek dotychczas pozostawali na uboczu. Od ich decyzji w istocie będą uzależnione wszystkie sprawy wewnętrzne – z wyjątkiem militarnych”². Te ostatnie zarezerwowane były oczywiście dla Najwyższego Naczelnika, którego autorytet i prestiż w środowiskach insurekcyjnych wielokrotnie Caché podkreślał.

Podobną opinię wyrażał Buchholtz, który pisał do Fryderyka Wilhelma II: „Madaliński jest tylko podrzędnym agentem, a Kościuszko, Potoccy i Małachowscy, jak również Kołłątaj, głównymi motorami. Kościuszko jest przywódcą całej rewolty”³. Gdzie indziej zaś donosił: „Potoccki i Kołłątaj są nadal bardzo aktywni... prostacki gmin, jak również przywódcy rewolucji – a w szczególności Kołłątaj – starają się rozpaść umysł”⁴.

Tak więc, zdaniem bacznych obserwatorów oraz czynnych uczestników powstania, na jego czele stać miał otoczony popularnością i admirowany przez polskie społeczeństwo triumwirat. Stało się wszakże tak, że w tradycji historycznej i w narodowej pamięci pozostało przede wszystkim dwóch – Kościuszko i Kołłątaj, a zadecydowało o tym kilka czynników, różnych i odmiennych w wypadku każdej z wymienionych postaci.

Tadeusz Kościuszko, generał brygadier armii amerykańskiej i kawaler orderu Cyncynata, zwycięzca spod Dubienki w stopniu generała majora wojsk polskich, odznaczony krzyżem *Virtuti Militari*, honorowy obywatel Republiki Francuskiej, przystępował do ruchu insurekcyjnego w glorii chwały. Są na to dziesiątki dowodów w materiałach źródłowych, ówczesnych pamiętnikach i korespondencji, a także w ustaleniach badaczy. Wystarczy przywołać znamienne wyznanie Kołłątaja – poczynione w *Memoriale o przygotowaniach do*

2. B. de Caché, „Powstanie kościuszkowskie w świetle korespondencji posła austriackiego w Warszawie”. Listy B. de Cachégo do ministra spraw zagranicznych J.A. Thuguta, w Wiedniu (styczeń-wrzesień 1794 r.). Z rękopisu przełożył, wstępem i przypisami opatrzył H. Kocój, Warszawa 1985, s. 123-124.

3. L. Buchholtz, „Powstanie kościuszkowskie w świetle korespondencji posła pruskiego w Warszawie”. Listy Ludwika Buchholtza do Fryderyka Wilhelma II (styczeń-czerwiec 1794 r.). Z rękopisu przełożył, wstępem i przypisami opatrzył H. Kocój, Warszawa 1983, s. 92.

4. Ibidem, s. 166.

powstania roku 1794, napisanym dla Tomasza Wawrzeckiego w październiku tegoż roku: „zgodziliśmy się, że insurrekcja w Polsce powinna być pod dyktandem jednego człowieka, który by pozyskał powszechne zaufanie. Cały naród i wojsko wskazywały do tego Kościuszkę”⁵.

O tym, że w szerokich warstwach społeczeństwa powstanie było organicznie związane z postacią Naczelnika świadczy również – i chyba najwymowniej – fakt, iż do świadomości narodowej i do historii przeszło jako powstanie kościuszkowskie, nie – krakowskie, jak je początkowo określano. Można więc mówić wręcz o kulcie Kościuszki, który – jak to stwierdza Andrzej Zahorski – „Stawał się... pomału jakimś nadludzkim mocarzem i świętym narodowym”⁶. Swoistym katalizatorem ujawniającym w sposób wysoce spektakularny rozmiary owego kultu oraz temperaturę uczuć, jakimi znaczna część polskiego społeczeństwa otaczała Tadeusza Kościuszkę, są reakcje ludności Warszawy na wieść o klęsce maciejowickiej i o wzięciu Naczelnika do niewoli. Michał Kleofas Ogiński wspomina o tamtych wydarzeniach:

„Przybyłem właśnie do Warszawy tego dnia, kiedy wiadomość o tym wypadku doniesiono, a mogę zapewnić, że w całym ciągu mojego życia nie widziałem obrazu bardziej wzruszającego i scen bardziej rozdzierających jak te, które przedstawiała publiczność stolicy podczas kilku dni następných. Na wszystkich ulicach, we wszystkich kołach towarzyskich, we wszystkich zgromadzeniach familijnych, nie przestawano powtarzać: ‘Już nie ma Kościuszki!’, a łkania towarzyszyły temu wykrzyknikowi powtarzanemu w całej Polsce. Trudno uwierzyć, lecz mogę poświadczyć, co sam widziałem, a co mnóstwo świadków mogą stwierdzić wraz ze mną, że kilka matek poroniło, dowiadując się o tej wiadomości, kilku chorych uległo pozerającej febrze, kilku popadło w napady szaleństwa, które ich już nie opuściły, a spotykano na ulicach

5. H. Kołtątaj, „Memoriał o przygotowaniach do powstania 1794, napisany dla Tomasza Wawrzeckiego w październiku tegoż roku”, w: Ks. H. Kołtątaj, „Wybór pism”. Ułożył i wstępem oraz objaśnieniami opatrzył S. Rymar, Kraków 1912, s. 254.

6. A. Zahorski, „Warszawa w powstaniu kościuszkowskim”, Warszawa 1967, s. 262.

mężczyzn i kobiety, którzy załamywali ręce, uderzali głową o mur, powtarzając z wyrazem rozpaczy: 'Nie ma Kościuszki! Ojczyzna zgubiona!'"⁷.

Ogiński posłużył się językiem i stylem, po który oświeceniowa wymowa i poezja, a także publicystyka, sięgały zawsze, ilekroć stawały w obliczu tematów publicznie doniosłych, o dużym rezonansie społecznym. Do stałych atrybutów tego stylu należały m.in. hiperbola, patos, emfaza i retoryczna ekspresja wypowiedzi. Nie odejmuje to jednak bynajmniej wiarygodności relacji pamiętnikarza. Fakty, o których pisze on, znajdują potwierdzenie w ówczesnej prasie i w oficjalnych obwieszczeniach Rady Najwyższej Narodowej⁸. Znanym powszechnie faktem jest również obłąd Franciszka Dionizego Książnina, w który poeta popadł po klęsce insurekcji.

Zastanawiając się nad okolicznościami, które zrodziły kult oraz legendę Kościuszki, wskazują zazwyczaj historycy na Maciejowice, tę przedziwną klęskę, która nie tylko nie obarczyła Naczelnika winą i odpowiedzialnością za przegraną, ale stała się załączkiem powszechnej czci, jaką poczęto go otaczać. Powodem tej czci było to, że walcząc do końca, zniesiony został nieprzytomny na skutek upływu krwi z pobjowiska, wpadł w ręce śmiertelnego wroga i był przez carycę więziony w twierdzy petersburskiej. W ten sposób stał się symbolem walki do ostatka.

Wydaje się wszakże, iż nie można jedynie do tego sprowadzić przyczyn ogromnej popularności Kościuszki i wielkiego autorytetu moralnego, jakim cieszył się u współczesnych sobie. Ich przyczyną były również szczególne uwarunkowania historyczne, które spowodowały, że polska zbiorowość u schyłku Rzeczypospolitej Obojga Narodów oczekiwała z upragnieniem człowieka o czystym sercu i czystych rękach. Bowiem degrengolada moralna tych, co stali „na narodu czele”, najwyższych dostojników państwowych i ogromnej większości magnaterii, była tak wielka, że cały naród czuł się unu-

7. M.K. Ogiński, „Pamiętniki o Polsce i Polakach. Od roku 1788 aż do końca roku 1815”. Przełożone z jęz. francuskiego, t. 2, Poznań 1870, s. 28-29.

8. *Gazeta Rządowa* 1794, nr 106; „Akta powstania Kościuszki”, t. 2, Kraków 1918, s. 234.

rzany w błocie. O tym, że czas już „wyliżć z tego błota” mówił i myślał sam król⁹. Chodziło zaś nie tylko o bachanalie wyprawiane na ruinach ginącego państwa wespół z moskiewskimi dygnitarzami i oficerami, nie tylko o powszechną deprawację sumień i umysłów oraz równie powszechną korupcję, ale przede wszystkim o jawną zdradę narodową, o to, że na palcach można by policzyć tych spośród ówczesnych prominentów, którzy nie pozostawali na stałej pensji u Katarzyny II lub jej kolejnych prokonsulów. W tych warunkach Kościuszko jawił się jako ucieleśnienie tęsknot, pragnień i aspiracji patriotycznych polskiego narodu. Nie tylko jego szlacheckiej części. Była to również postawa rzesz chłopskich. Pamiętnikarz z tamtych lat zanotował opowiadanie jednego z wieśniaków, który twierdził: „Kościuszko chciot szczęścia dla Polski i szczęścia dla nas chłopów, ale niegodziwi biskupi i magnaci Kościuskę zdradzili i Polskę przedali Moskałom, Prusakom i Austriakom”¹⁰.

A przecież istniały równocześnie całe grupy społeczne i zawodowe, których stosunek do Kościuszki był bardzo chłodny, a nierzadko wręcz krytyczny lub oskarżycielski. Najczęściej spotykanym zarzutem było przy tym stwierdzenie, iż zdecydowanie nie dorósł do tej wielkiej roli historycznej, jaką wyznaczył mu los, albo też oskarżenie wywodzące się z protopozytywistycznych przeświadczeń, że insurekcja była daremnym przelewem krwi i zaprzepaszczeniem potencjalnych szans na przetrwanie. Do tych, którzy podnosili pierwszy z wymienionych zarzutów, należał m.in. Józef Wybicki, do drugiej grupy oskarżycieli – źle zapisany w polskiej pamięci narodowej Antoni Trębicki, który pisał w swym pamiętniku:

„Bo Kościuszko, porwawszy się jak z motyką na słońce, bez sposobów, bez talentów, z jedną tylko utciwością i prostotą serca, zgubił nas na zawsze, bo zniszczył aż do zarodu charakteru i imienia polskiego. Bez niego bowiem, bez jego nieszczęsnego powstania zostałyby się przynajmniej Polska

9. J.U. Niemcewicz, „Pamiętniki czasów moich”, t. 1. Pierwsze wydanie według obszerniejszej wersji rękopiśmiennej. Tekst opracował i wstępem poprzedził J. Dihm, Warszawa 1957, s. 232.

10. Pamiętnik Leona Drewnickiego. Bibl. Polska w Paryżu, rkps 416.

przy Warszawie i przy tym małym zakresie, jaki jej sejm grodzieński zostawił, i jeszcze wówczas większą byłaby od Szwajcarii albo Holandii, których imię, charakter i sława wytrzymały wszelkie wstrząśnienia. Kto wie, czyliby przy walce całej Europy z Napoleonem nie byłyby się tak złożyły okoliczności, iżby egzystencja Polski dla samej równowagi Europy była przywrócona i oddana w rządy jakiej familii panującej sąsiedzkiej, z konstytucją, która by odpowiadała polityce północnej, a nie niszczyła zwyczajów i charakteru narodowego, które przez rewolucją Polski na wieki niszczały...”¹¹.

Sposób myślenia Trębickiego nie był jednak nigdy popularny, zarówno przed dwustu laty, jak i współcześnie. Ani insurekcja, która nie miała od początku szans na zwycięstwo, ani jej Naczelnik nie spotkali się z potępieniem w szerokich kręgach polskiego społeczeństwa lecz przeciwnie, z szacunkiem i uznaniem. Wysoko ceniono zawsze pozostawiony przez powstanie testament polityczny, który przypominał przez całe dziesiątki lat, że bez walki Polska nie mogłaby dalej żyć jako naród. Stosunek zaś do Tadeusza Kościuszki był w większości wypadków nie tyle naznaczony chłodną kalkulacją pokolenia pozytywistów, co maksymalizmem politycznym romantyków. Polacy jak gdyby pozostawali posłuszni nawoływaniom Hugona Kołłątaja, który w jednym ze swych wierszy więziennych wzywał rodaków:

*Błogostawcie rycerza, który własną zgubą,
Nie dał wam zginąć z wstydem, zginęliście z chlubą.
Los srogi nie dozwolił, żeby was obronił,
Zginęła Polska, lecz ją od hańby ostonił*¹².

Autor tego wiersza, ksiądz podkanclerzy Hugo Kołłątaj, więzień austriacki przez lat osiem, związał się z ruchem insurekcyjnym jeszcze wcześniej niż jego późniejszy Naczelnik, a

11. A. Trębicki, „Opisanie sejmu ekstraordynaryjnego podziałowego roku 1793 w Grodnie. O rewolucji 1794”. Opracował i wstępem poprzedził J. Kowecki, Warszawa 1967, s. 391.

12. P. Żbikowski, „Poezje więzienne Hugona Kołłątaja, Wrocław 1993, s. 126.

rola, jaką w tym ruchu odegrał, była wyjątkowo doniosła. Podkreślił to m.in. Bogusław Leśnodorski, pisząc w jednej ze swych wcześniejszych prac:

„Kołłataj bardzo rychło, namiętnie i całkowicie zaangażował się w przygotowaniach do insurekcji i wybił się w nich na jedno z pierwszych miejsc, uzyskując pozycję jeszcze poważniejszą i bardziej wpływową niż w czasie swego podkanclerstwa”¹³.

Podobnego zdania był najlepszy niewątpliwie znawca przedmiotu, Wacław Tokarz, który po gruntownym przestudiowaniu wszystkich – jak należy przypuszczać – materiałów dotyczących życia i działalności Kołłataja, tak oto pisze o jego roli w powstaniu:

„... ze wszystkiego... wnosić można, że Kołłataj wziął wówczas na swoje barki wiele. Formalnie tylko naczelnik wydziału skarbu, dzięki swemu wpływowi na Kościuszkę i Ignacego Potockiego, oraz swej niezmordowanej, narzucającej się wszędzie i wszystkim ruchliwości, był on od 24 maja 1794 aż do końcowego poróżnienia się z Ignacym Potockim i Wawrzeckim duszą rządu powstańczego i wywierał znaczny wpływ na działalność innych wydziałów..., a sama gwałtowność wystąpień przeciw niemu dowodzi zakresu i siły jego znaczenia owoczesnego”¹⁴.

Zanim jednak do owych wystąpień doszło, a więc zanim rozpoczęto przeciwko Kołłatajowi kampanię oskarżeń, pomówień, przekłamań i insynuacji, a stało się dopiero po klęsce powstania, on także, podobnie jak Kościuszko, przeżywał najwspanialszy być może okres w swoim życiu. Kiedy na przykład przybył wraz z Ignacym Potockim do Warszawy 24 maja, lud stolicy oczekiwał obydwo przywódców już na rogatkach miasta, następnie zaś wyprzęgnięto konie od karety, którą jechał nękany atakiem podagry Kołłataj i wśród entuzjasty-

13. B. Leśnodorski, „Polscy jakobini. Karta z dziejów insurekcji 1794 roku”, Warszawa 1960, s. 331.

14. W. Tokarz, „Ostatnie lata Hugona Kołłataja (1794-1812)”, t.1, Kraków 1905, s. 13.

cznych okrzyków ciągnięto powóz księdza podkanclerzego aż pod sam ratusz.

Wszystko to jednak działo się później. Najpierw były trudne dni drugiej połowy roku 1792 i pierwszych miesięcy 1793, kiedy to polscy emigranci polityczni w Saksonii, ciągle jeszcze pod wrażeniem interwencji rosyjskiej i zwycięstwa Targowicy, gorączkowo szukali drogi wyjścia z powstałej sytuacji. Pierwszym krokiem na tej drodze było powstanie w Dreźnie Komitetu Emigracyjnego, na którego czele stanął właśnie Hugo Kołłątaj. Komitet postawił sobie za cel „ratować ginącą ojczyznę, albo przynajmniej zdobyć się na jakie wspaniałe myślenie, które by zmasało hańbę dzisiejszego pokolenia”¹⁵. Oznaczało to w praktyce szukanie za pośrednictwem posła francuskiego w Rzeczypospolitej Marie Louis Descorchesa pomocy politycznej, militarnej i finansowej u rządu rewolucyjnej Francji, a jednocześnie montowanie konspiracji zbrojnej w kraju. Spisek zawiązał się niemal w tym samym czasie, na wiosnę 1793 roku, w kraju i na emigracji, a głównym inspiratorem i koordynatorem spiskowych poczynań, szczególnie w kręgach lewicy, był od początku ksiądz podkanclerzy. W Saksonii działał osobiście, na terenie kraju poprzez swych licznych emisariuszy, takich jak Maciej Mirosławski czy Tomasz Maruszewski, który faktycznie odbudował konspiracyjną organizację, rozbitą w wyniku aresztowań przeprowadzonych na rozkaz Igelströma w dwóch pierwszych miesiącach 1794 roku.

Jak wiadomo, termin insurekcji został na skutek tego przyspieszony. Ostatecznie jednak o ogłoszeniu narodowego powstania zdecydowała – jak to ustalił Zbigniew Góralski¹⁶ – grupa skupiona wokół Kołłątaja. Lucjan Siemieński twierdził, że to również Kołłątaj wysunął na Naczelnika powstania z władzą dyktatorską Tadeusza Kościuszkę, trafnie przewidyując, iż „naród ukocha i wyniesie do szczytu władzy to serce tak rycerskie, tak do poświęceń pochopne”. Pisał dalej Siemieński, że dla siebie Kołłątaj przeznaczył polityczne kierow-

15. A. M. Skałkowski, „O cześć imienia polskiego”, Lwów 1908, s. 197.

16. Z. Góralski, „Stanisław August w insurekcji kościuszkowskiej”, Warszawa 1988, s. 37.

nictwo w ruchu insurekcyjnym, uważając, że na takie stanowisko „trzeba głowy przebiegłej, wdrożonej już w interesa publiczne – tą głową siebie być rozumiał – i tak, poza plecami męża nieposzlakowanej czystości, szlachetności i męstwa, wzniosł piedestał dla siebie”¹⁷.

Skąd Siemieński czerpał swoje wiadomości – nie wiadomo, prawdą jest jednak, że ksiądz podkanclerzy istotnie sprawował niemal do końca powstania pełnię władzy politycznej. Wyniesienie to zawdzięczał m.in. swej wyjątkowej energii, niez mordowanej pracowitości oraz poparciu lewicy insurekcyjnej i ludu Warszawy, które to poparcie wielokrotnie wykorzystywał jako swoistą presję na Radę Najwyższą Narodową, na prezydenta Warszawy Ignacego Wyssogotę Zakrzewskiego, a nawet na wojskowe kierownictwo insurekcji. Ale przede wszystkim zapewnił Kołłątajowi jego wyjątkową pozycję w ruchu insurekcyjnym wpływ, jaki miał przez cały prawie czas na Naczelnika, i o jakim wspominają wszyscy właśnie polscy historycy zajmujący się dziejami insurekcji kościuszkowskiej, m.in. Tokarz, Skałkowski, Leśnodorski, Zahorski i Szyndler.

O te wpływy zabiegał Kołłątaj nieustannie i bardzo wytrwale. Tak było w okresie przygotowań do powstania oraz podróży Kościuszki do Paryża, kiedy to ksiądz podkanclerzy umieścił przy osobie przyszłego Naczelnika swego bratanka Eustachego, i w czasie kolejnej podróży – do Krakowa, w której towarzyszył Kościuszcze brat Hugona Kołłątaja – Rafał. Podobnie działo się na początku insurekcji, gdy od 17 kwietnia przebywał Kołłątaj w obozie Kościuszki, a także w czerwcu, kiedy u boku Naczelnika umieścił obydwu swych braci – Jana i Rafała. Już zresztą po 24 maja, czyli po przyjeździe Kołłątaja do Warszawy, jego wpływ na Kościuszkę historycy określają jako „niepodzielny”¹⁸. A po pewnym kryzysie we wzajemnych stosunkach, do jakiego doszło w wyniku czerwcowych samosądów w stolicy, ksiądz podkanclerzy ponownie odzyskał swe wpływy już w drugiej połowie lipca, o czym świadczy skierowany do niego list Naczelnika z 1 VIII 1794

17. L. Siemieński, „Żywot Tadeusza Kościuszki”, Kraków 1866, s. 168.

18. W. Tokarz, op. cit., s. 97.

rozpoczynający się od słów: „Posyłam Ci, Bracie...”¹⁹.

Wypada w tym miejscu wspomnieć, iż wśród zarzutów stawianych Kołłątajowi po klęsce powstania znalazło się również oskarżenie o intrygi przeciwko Kościuszcze, które miały doprowadzić – zdaniem oskarżycieli – aż do spiskowania na życie Naczelnika, a tego ostatniego do oświadczenia księdzu podkanclerzemu, że „jeśli nie odmieni swego postępowania, każe go zamknąć tak, że słońca nigdy nie zobaczy”²⁰. Tokarz nazywa jednak to oskarżenie „jednym z najmniej rozjaśnionych”, świadectwa Linowskiego, Wolskiego i Tyszkiewicza uważa za „nacechowane... najwidoczniejszą przesadą”, na koniec zaś powiada:

„Nie mógł Kołłątaj spiskować w celu pozbawienia Kościuszki życia, a choćby nawet dowództwa, gdyż inaczej trudno by było wyjaśnić fakt, podany przez Linowskiego, że Naczelnik był do ostatnich chwil codziennym gościem w jego domu i podtrzymywał jego znaczenie, jak również i to, że tylko Kołłątajowi i Zajączkowi powierzył on sekret wyprawy Maciejowickiej, a Zajączkowi oddał wówczas dowództwo nad pozostałym w Warszawie wojskiem”²¹.

Kołłątaj miał jednak wpływ nie tylko na Najwyższego Naczelnika, ale również – i to niemały oraz utrzymujący się do końca powstania – na Radę Najwyższą Narodową. Świadectwem tego wpływu aż do ostatnich dni insurekcji może być m.in. przeforsowanie decyzji o pozostaniu w stolicy po klęsce maciejowickiej i o obronie Pragi, kolejnej decyzji o usunięciu z Warszawy Linowskiego, a także wprowadzenie do Rady 28 października dwóch stronników – Jana Jaśkiewicza i Franciszka Myszkowskiego. Cytowany już Wacław Tokarz był zresztą zdania, że z wyjątkiem Zakrzewskiego, cała RNN składała się z ludzi, na których Kołłątaj mógł całkowicie liczyć i na których przez cały czas się opierał.

Pozycja Kołłątaja w powstaniu umocowana była wszakże

19. List T. Kościuszki do H. Kołłątaja z 1 sierpnia 1794 r., Bibl. PAN w Kórniku, rkps 1512, k. 19.

20. W. Tokarz, op. cit., s. 113.

21. Ibidem, s. 114.

nie tylko na zakulisowych wpływach, wywieraniu nieoficjalnej presji na czynniki rządowe czy na sterowaniu lewicą insurekcyjną. Książd podkanclerzy ma również swój własny ogromny wkład w powstanie, od samych jego początków, a nawet od okresu przygotowawczego. Tak więc, jeszcze w Saksonii, na polecenie Tadeusza Kościuszki, układa historyczny *Akt powstania obywatelów, mieszkańców województwa krakowskiego*, który 24 marca odczytany zostanie głośno na rynku krakowskim jako proklamacja zrywu insurekcyjnego, zaczyna się zaś od pamiętnych słów: „Wiadomy jest światu stan terażniejszy nieszczęśliwej Polski. Niegodziwość dwóch sąsiedzkich mocarstw i zbrodnia zdrajców ojczyzny pogrzyżyły ją w przepaść”²². Niewątpliwy jest także, choć trudny do udowodnienia, udział Kołłątaja w anonimowej insurekcyjnej publicystyce politycznej. Psychologicznie nieprawdopodobny jest bowiem fakt, aby pisarz tej miary i o podobnym temperamencie ograniczył się jedynie do opracowywania urzędowych odezw i aktów. Niemniej, również autorstwo niektórych z owych aktów godne jest zapamiętania, jak choćby wydanego przez Kościuszkę pod Połańcem 7 maja *Uniwersatu urządzającego powinności gruntowe włościan i zapewniającego dla nich skuteczną opiekę rządową, bezpieczeństwo własności i sprawiedliwość*, czyli tzw. *Uniwersatu polanieckiego*. Jest też Kołłątaj autorem ustawy RNN z 20 października o nadawaniu ziemi chłopom na „wieczne dziedzictwo”, będącej rozwinięciem uwag i poglądów zawartych w *Listach Anonima*. Ustawa deklarowała nadania po pół włóki gruntu bez żadnych innych ciężarów oprócz podatków dla wszystkich zasłużonych, rannych i powracających z niewoli żołnierzy, ponadto zaś tym, którzy wytrwaliby w szeregach powstańczych do końca wojny obiecywała dom, parę wołów, konia, dwie krowy, owce itp. Rozpocynała się od słów:

„Obywatelu! Rada Najwyższa udzieliła ci część ziemi, której całości bronisz, przez co przywiązując cię do ojczyzny jako właściciela gruntowego chce, abys tym mocniej pamiętał,

22. „Pisma Tadeusza Kościuszki”. Wybrał, objaśnił i wstępem poprzedził H. Mościcki, Warszawa 1947, s. 271.

iz powinienes bronic swobód i wolności tej Rzeczypospolitej, w której własność gruntową posiadać będziesz”²³.

Na szczególną uwagę i pamięć zasługuje wszakże wkład Hugona Kołłątaja do sprawy narodowej jako naczelnika wydziału skarbu RNN. Pieniądze potrzebne były insurekcji jak tlen każdej żywej istocie, bez pieniędzy groziła jej zagłada, tymczasem wybuchła ona w kraju o zrujnowanych finansach, wyniszczonym przez wojnę i ciężką okupację rosyjsko-targowicką w latach 1792-1794, a ponadto boleśnie dotkniętym bankructwem największych banków warszawskich. Według obliczeń Tadeusza Korzona ogół wydatków na potrzeby insurekcji wynosił 25 mln złotych. I wydział skarbu sumę tę zebrał. Różnymi sposobami: ściągano stare i nowo wprowadzone podatki, m.in. nieznanym dotąd w Polsce podatek od komornego; opodatkowano niektóre gałęzie przemysłu i przedsiębiorstwa; usiłowano wybierać zaległe zobowiązania płatnicze; próbowano zdobyć pieniądze z dochodów, jakie przynosiła Dyrekcja Tabaczna, loteria oraz z opłat za korzystanie z mostu na Wiśle; apelowano o składanie darów i ofiar, uzyskując w ten sposób blisko 1,5 mln złotych; upaństwowiono mennicę warszawską, będącą dotychczas własnością króla; rozpoczęto rekwizycję przedmiotów srebrnych i złotych, w tym również sreber i złota kościelnego, zabieranych w depozyt państwa; zapowiedziano na 1 grudnia sprzedaż części dóbr narodowych; wydano asygnaty na ok. 4/5 wydatków; na koniec w okresie oblężenia Warszawy wprowadzono do obiegu – pomimo dużych oporów ludności – po raz pierwszy w polskim systemie płatniczym bilety mennicze i bilety skarbowe czyli pieniądze papierowe, mające taki sam kurs jak pieniądze metalowe i zabezpieczone na dobrach narodowych.

Tak więc, pomysłowość, upór i nieustępliwość to trzy cechy księdza podkanclerzego, które ujawniły się z całą mocą w czasie jego niezłomnych wysiłków zmierzających do przezwyciężenia piętrzących się przed insurekcją trudności. Te same cechy charakteru dojdą do głosu po klęsce maciejowickiej i wzięciu do niewoli Naczelnika. Wyrażą się zaś przede

23. „Akta powstania Kościuszki”, op. cit., s. 255 nn.

wszystkim w tym, że klęski tej nie utożsamiał Kołłątaj z klęską powstania. Przeciwnie, on jeden właśnie na wieść o Maciejowicach zareagował natychmiast i na cios zadany przez wroga odpowiedział błyskawiczną kontrakcją. Mianowicie na nadzwyczajnym posiedzeniu RNN, zwołanym być może z jego inicjatywy już 12 października, a więc w dniu, w którym nadeszła dopiero do stolicy wiadomość o klęsce wojsk polskich, aby –

„... podnieść ducha i ożywić męstwo stroskanych towarzyszków swoich, rzekł: Straciliśmy wybornego wodza, jednak żebyśmy własnej naszej przynajmniej nie szkodzili sprawie, pamiętajmy, że ze stratą Kościuszki nie zginęły wszystkie nadzieje Rzeczypospolitej. Obranie mu następcy pierwszym naszym staraniem być winno”²⁴.

Znamienna to reakcja. Żadnych jeremiad, żadnych żalów, utyskiwań i narzekań, aczkolwiek atmosfera sprzyjała takim właśnie wystąpieniom i choć korespondowały one znakomicie z nastrojami ogółu mieszkańców Warszawy. Zamiast jednak krasomówczych popisów konkretny, rzeczowy, z pewnością przemyślany wcześniej wniosek personalny i twarde oświadczenie, które mogło zabrzmieć nieledwie jak profanacja uczuć gromadzących się na ulicach stolicy, zrozpaczonych tłumów: „pamiętajmy, że ze stratą Kościuszki nie zginęły wszystkie nadzieje Rzeczypospolitej”.

Podobną postawę jak na posiedzeniu Rady Najwyższej zajął również Kołłątaj w pisany pięć dni później liście do Franciszka Barssa, który był nieoficjalnym reprezentantem rządu insurekcyjnego w Paryżu. Pisał w nim:

„Dobrze się wiedzie naszej armii przeciw królowi pruskiemu. Cała Wielkopolska powstała. Jenerał Dąbrowski po wkroczeniu do Prus Zachodnich opanował Bydgoszcz i dzięki niemu żywimy nadzieję na znaczne rozszerzenie powstania w Prusach po obu stronach Wisły. Całe województwo sandomierskie jest całkowicie wymiecione z Prusaków. Żywimy na-

24. L. Wegner, „Ostatnie dni powstania kościuszkowskiego (od 12 października do 8 listopada 1794 roku)”. Poznań 1871, Nadb. z *Roczników Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego*, t. IV, s. 262.

dzięć rychłego odzyskania województwa krakowskiego. Dostrzegając owe wielkie rozszerzenie się rewolucyjnego ducha, pewni jesteśmy jego wzrostu ze wszystkich stron. (...) Nie miejcie co do tego wątpliwości, Obywatelu! Powstanie nasze znajduje się w położeniu godnym szacunku”²⁵.

Oczywiście, taka ocena sytuacji politycznej i militarnej insurekcji przeznaczona była przede wszystkim na użytek propagandowy, miała wpłynąć na stanowisko władz francuskich, urabiać opinię publiczną, a także neutralizować napięcia w polskim społeczeństwie i osłabiać powszechne przygnębienie. Nie tylko jednak te intencje przyświecały Kołłątajowi. On chyba naprawdę nie stracił nadziei, jeżeli nawet nie na zwycięstwo, to na uzyskanie dogodnych warunków do rozmów i przetargów z ościennymi państwami. Dlatego też nie zrezygnował z prób zdominowania nowo wybranego Naczelnika i zdobycia sobie w ten sposób faktycznego wpływu na bieg spraw, a kiedy usiłowania te zakończyły się fiaskiem, doprowadził do reaktywowania klubu jakobińskiego pod nazwą „Zgromadzenie na utrzymanie Rewolucji i Aktu Krakowskiego”, którego działalność miała umocnić jego pozycję polityczną i znaczenie w Radzie Najwyższej. Nie zaprzestał też ani na chwilę nawoływać do walki.

Niestety, insurekcja nie miała od samego początku szans na zwycięstwo. Przeciwnik był zbyt silny, bo przecież naprzeciw polskim insurgentom stanęły armie trzech największych potęg w ówczesnej Europie. Dlatego też 18 listopada 1794 roku Polska insurekcyjna, która nawet po utracie Krakowa i części Lubelszczyzny miała około 150 tys. km², przestała istnieć.

Równie dramatyczne były losy obydwu przywódców powstania. Tadeusz Kościuszko miał spędzić w więzieniu rosyjskim jeszcze rok, zanim nie uwolni go Paweł I, a ksiądz Hugo Kołłątaj, wydany w ręce Austriaków przez własnych rodaków, cierpiał w Ołomuńcu i w twierdzy Josephstadt przez pełne osiem lat. Nawet wówczas jednak, odcięty od świata i ludzi, poddany niezwykle surowym restrykcjom wię-

25. W.M. Kozłowski, „Kościuszko, Kołłątaj i Rewolucja Francuska”, *Kwartalnik Historyczny* R. XII, 1898, s. 464 (przekł. mój – P Z).

ziennym, nie pozwolił się ugiąć i załamać. Co więcej, zachował przez cały ten czas hart ducha, godność osobistą, dumę wysokiego dostojnika Rzeczypospolitej i wysokie poczucie własnej godności. Dał im wyraz m.in. w liście do arcyksięcia Karola, mianowanego wówczas generalnym gubernatorem Czech i Moraw, do którego należały także sprawy więźniów politycznych w tych krajach. List jest obszerną petycją, w której Kołłątaj przedstawia dokładnie swą niedolę więzienną, prosząc zarazem adresata o interwencję w jego sprawie, równocześnie jednak już na samym wstępie podkreśla z naciskiem, że zwraca się z prośbą nie o litość, ale o sprawiedliwość. Nieco dalej zaś dodaje z dumą:

„Uważ przecie WXM, iż cokolwiek dzieje się ze mną, dzieje się z człowiekiem, który dość żył i dość był znany Europie, aby potomność zapomniała o nim. Choćby mi przyszło dni nieszczęśliwie w tym więzieniu zakończyć, popioły moje o niesprawiedliwość i okrucieństwo wołać jeszcze będą”²⁶.

Obydwaj, Kołłątaj i Kościuszko, zeszli z polskiej sceny politycznej wraz z klęską insurekcji i upadkiem Polski, i nigdy więcej na tę scenę nie powrócili. Pierwszy z nich, bo go nie chciano, drugi, bo sam nie chciał, nieufny i zniechęcony manipulowaniem sprawą polską na arenie politycznej Europy. Ale Kołłątaj żywił niezłomne przekonanie, że na zawsze pozostanie w pamięci potomnych. W jednym ze swych wierszy więziennych pisał z wiarą, że jego będzie za grobem zwycięstwo:

*Wnuki późne niewolę moję będą głosić.
Nie umrę wszystek; ujdzie śmierci cząstka jaka,
Dogodna prawdzie, zdatna rozwadze Polaka*²⁷.

Piotr ŻBIKOWSKI

26. List H. Kołłątaja do arcyksięcia Karola, wielkorządcy Królestwa Czeskiego, dnia 28 lutego 1798 r., z Josephstadt, Bibl. PAN w Krakowie, rkps 201.

27. H. Kołłątaj, „Do ziemi ojczystej”, w: P. Żbikowski, „Poezje więzienne”, op. cit., s. 172.

LISTY DO REDAKCJI

Charenton, 28 czerwca 1995 r

Szanowny Panie Redaktorze,

Katsuyoshi Watanabe sygnalizując w 111 numerze *Zeszytów Historycznych* ukazanie się „Historii Polski” po fińsku, napisanej przez prof. Kalervo Hoviego, wspomina również wydaną w 1983 r. we Wrocławiu „Historię Finlandii” Tadeusza Cieślaka, jako zawierającą wiele informacji na temat stosunków polsko-fińskich.

Przeczytałem w Bibliotece Narodowej wielce erudycyjne dzieło T. Cieślaka i złapałem się za głowę. Rzeczywiście wiele w nim poloników. Jest nawet o tym, że płytę nagrobną zabitego w 1158 r. biskupa Henryka, który został jako męczennik kanonizowany, później ogłoszony patronem Turku i całej Finlandii, wykonał ludwisarz gdański; później – w czasie „Potopu” w 1656 r. komendantem Warszawy był mieszkaniec Finlandii Arvid Wittemberg – „Fin zły i okrutny”, jak go nazywano – choć zapewne na co dzień mówiący po szwedzku. Wtedy trwała „szwedzacja” Finlandii.

Książka jest horrendalnie tendencyjna, przedstawiająca dzieje Finlandii z punktu widzenia historyografów rosyjskich i sowieckich. Począwszy od całkowitego pominięcia ugrofińskich Ingrów (po fińsku – Inkeri), których car Piotr I „etnicznie wyczyścił” przy budowie St. Petersburga. Nazwa ich kraju pojawia się na mapie, między ujściem Newy i Estonią, ale jako teren dziwnie bez ludzi. I tak przez cały czas dziejów kiedy to walczą wpływy wojowniczego protestantyzmu z dobrotliwym i pokojowym prawosławiem. Aż po mocny akcent o przyczynach „Wojny Zimowej” (Finowie nie chcieli sojuszu obronnego, który im wielkodusznie proponował sam tow. Stalin, a w dodatku wystali na rokowania do Moskwy m.in. socjalistę Tannera, co było postępkiem antysowieckim). Później – przebieg wojny – spowodowanej więc przez Finów – dosłownie w kilku wierszach, a na koniec – pouczenia Finów, że powinni byli przyjąć warunki sowieckie. Historyk ma żal do Finów, że dobrowolnie nie stracili niepodległości, nie podzielili losu państw bałtyckich.

Byłem zdumiony. Ale dowiedziałem się, że autor, który już zresztą od wielu lat nie żyje, nie był ...polskim historykiem. Choć

pisał po polsku. Tadeusz Cieślak studiował historię w Moskwie na jakiejś akademii, bodajże wojskowej. Robił to, czego go nauczono, zamiast myśleć własną głową. A Polskę obdarzył fałszywą, tendencyjną historią Finlandii. Książka jest już zresztą wyczerpana. Jak widać – zainteresowanie Finlandią w polskim społeczeństwie było. Jest zapewne i nadal – po wejściu Finlandii do UE.

Nie warto wydawać ponownie książki Cieślaka. To jasne. Warto natomiast pokusić się o wydanie historii tego kraju widzianej oczyma historyków uczciwych i obiektywnych, nie ulegających presji panujących ideologów i polityków.

Łączę wyrazy szczerego szacunku

Andrzej BOGUSŁAWSKI

23 czerwiec 1995

Szanowny Panie Redaktorze!

Pani Hanna Świdorska w swym ciekawym przyczynku, „Król dla Polski?”, *Zeszyty Historyczne*, nr 112, zdaje się sugerować, iż „Dobre wrażenie, jakie podczas wizyty w Szkocji wywarł na Sikorskim książę Kentu, zdaje się podsukać mu myśl o nim jako możliwym kandydacie”.

Twierdzenie niezupełnie ściśle. Generał Sikorski specjalnie pojechał do Szkocji, pod pretekstem wizytowania polskich okrętów, by spotkać się z królewiczem. Decyzja ta była wynikiem rozmów jakie generał i polski minister spraw zagranicznych, August Zaleski, mieli w Londynie w listopadzie 1939 roku. Podpisali w nim umowę morską poddającą polskie okręty pod operacyjne dowództwo brytyjskie. Anglicy podkreślali w rozmowach potrzebę jedności w walce z Niemcami. Jednocześnie powtórzyli swe oświadczenie z października tegoż roku, iż nie zamierzają z powodu Polski zaostriżać swych stosunków z Rosją. „Polacy muszą się zrównać w szeregu z aliantami i z tego szeregu nie wybiegać, prowadząc zgodną z aliantami politykę pokonania Niemiec”. Wytrawny dyplomata, jakim był August Zaleski, doskonale rozumiał grożące Polsce niebezpieczeństwo. Czy to nie on podsunął myśl by ratować całość i niepodległość Polski przez związanie jej sprawy z brytyjską rodziną królewską? Przywrócenie monarchii miało, według planów Sikorskiego, ułatwić stworzenie jakiejś federacji państw położonych między Niemcami a Rosją.

Łączę wyrazy szczerego szacunku i poważania

Stanisław BÓBR-TYLINGO

SPIS TREŚCI

W. Grochala, T. Kędziora, M. Kielak, J. Kodym, M. Kula, T. Markiewicz, D. Smoleń: <i>Missi dominici nowych czasów</i>	3
A. Grzywacz, G. Mazur: <i>Lotnictwo polskie w Planie Operacyjnym „Wschód”</i>	40
Władysław Zajewski: <i>Polska – Belgia: dwie drogi do niepodległości</i>	54

WSPOMNIENIA

Bohdan Skaradziński: <i>Wronki – Warszawa – Wronki</i> . . .	67
Władysław Kempfi: <i>Między Katowicami, Wrocławiem i Legnicą</i>	90
Stanisław Iwanowski: <i>Samoobrona w Lidzie i Grodnie w 1918-1919</i>	110

DOKUMENTY

Lech Kowalski: <i>KOK wobec opozycji politycznej i Kościoła w latach 80-tych</i>	125
--	-----

OKRUCHY HISTORII

Karolina Lanckorońska: <i>Rada Regencyjna</i>	148
Piotr Daszkiewicz: <i>„Pamiętnik Farmaceutyczny”</i> . . .	150
Piotr Daszkiewicz: <i>Maison Verreaux</i>	155
Władysław Kijuć: <i>Armia Krajowa na Litwie i Białorusi</i>	160

<i>Generał Sikorski od kulis. List płk. Franciszka Arciszewskiego do gen. Kazimierza Sosnkowskiego (do druku podał Krzysztof Münnich)</i>	165
<i>Komunikat Komisji Fundacji Stypendialnej im. Stanisława Lama</i>	174

CI, CO ODESZLI

Ryszard Löw: <i>Paweł Glikson</i>	175
---	-----

RECENZJE

Tadeusz Wyrwa: <i>Polskie Radio w powstańczej Warszawie</i>	181
Z.S. Siemaszko: <i>Siostry Dziewulskie</i>	193
J.M. Majchrowski, G. Mazur: <i>Generalicja II Rzeczypospolitej</i>	204
Krzysztof Tarka: <i>Rząd na uchodźstwie</i>	210
Tadeusz Wyrwa: <i>Lotny Oddział A.K. „Szarugi” na Lubelszczyźnie</i>	214
Piotr Żbikowski: <i>O insurekcji kościuszkowskiej i jej przywódcach</i>	221

LISTY DO REDAKCJI

Andrzej Bogusławski: <i>Uwagi krytyczne o książce Tadeusza Cieślaka „Historia Finlandii”</i>	236
Stanisław Bóbr-Tylingo: <i>Uzupełnienia dotyczące artykułu H. Świdorskiej „Król dla Polski?” (Zeszyty Historyczne Nr 112)</i>	237

ACHEVÉ D'IMPRIMER
LE 4 AOÛT 1995
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE NOUVELLE
16-24, RUE SOUBISE,
93400 SAINT-OUEN
Dépôt légal : 3^e trim. 1995
N° d'imprimeur : 4562

F 90